ST. A. WOTOWSKI

KOBIETA KTÓRA NIESIE ŚMIERĆ

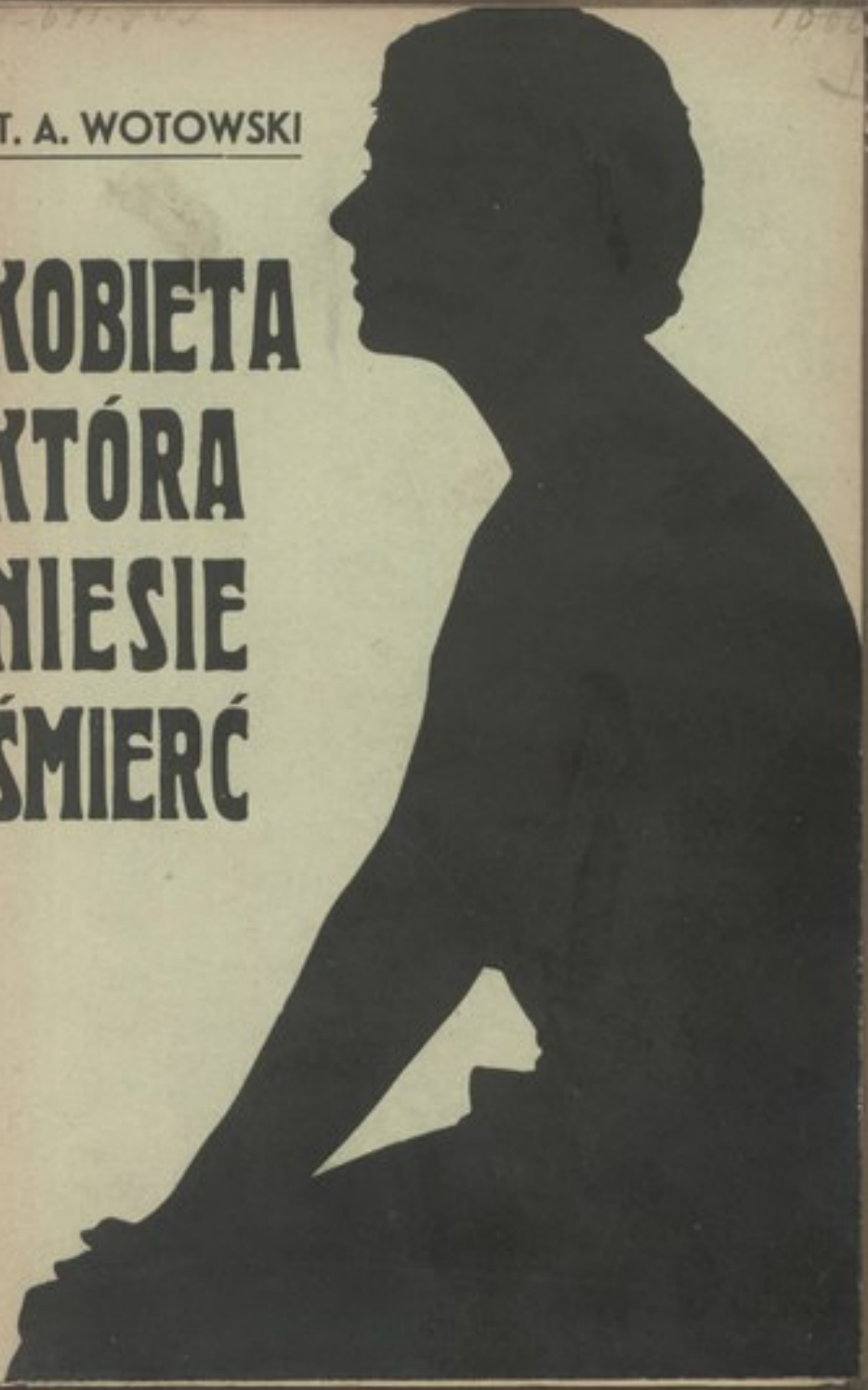

Kobieta, która niesie śmierć. Powieść - całość

Stanisław Antoni Wotowski

Księgarnia Popularna, Warszawa, 1937

Pobrano z Wikiźródeł dnia 24 sierpnia 2025

STANISŁAW A. WOTOWSKI

KOBIETA, KTÓRA NIESIE ŚMIERĆ

POWIEŚĆ

KSIĘGARNIA POPULARNA
W WARSZAWIE

Odbito z plat w Zakł. Graf. „Feniks“, W-a

ROZDZIAŁ I

GDY DEFRAUDUJE SIĘ PIENIĄDZE...

Jerzy Marlicz od godziny siedział w dość pustym o tej porze barze, wychylając kieliszek za kieliszkiem koniaku, ale nie przynosiło mu to pożądanego oszołomienia.

Rozumiał, że zbliża się koniec wszystkiego i wciąż dźwięczały mu w uszach straszliwe słowa szefa:

— Jutro sprawdzimy kasę.

Wiedział, że w kasie brakuje przeszło dwa tysiące złotych i że te pieniądze zostały zdefraudowane przez niego.

Tak, przez niego, gdy zastępował w czasie urlopu kasjera w banku prywatnym „Bracia Kuzunow i Sp.“ W dodatku w jak głupi sposób rozeszły się te pieniądze. Przed kilku tygodniami znacznie zamożniejsi koledzy wciągnęli go do potajemnego domu gry i przegrał tam początkowo względnie niewielką sumę. Tę jeszcze mógł pokryć z pensji. Na nieszczęście zachciało mu się odegrywać i tak poszło: karty.. wyścigi. Obecnie brakuje z górą dwa tysiące złotych i nie ma najmniejszej nadziei, aby je zdobyć do jutra.

Próżno usiłował pożyczyć od znajomych. Któż komu dziś grosz pożyczy? Próżnym byłoby również wyznać

wszystko Kuzunowowi i błagać go o litość. Byłoby to samo, co zechcieć wzruszyć tygrysa. Choć naczelny dyrektor Jan Kuzunow jest człowiekiem starszym i napozór wielkim dżentelmenem, w stosunku do podwładnych bywa niesłychanie bezwzględny i nie tylko nie zgodzi się na żaden kompromis, ale natychmiast zawezwie policję. Tym bardziej, że musiano mu coś naplotkować, gdyż czemu zapowiedział na jutro rewizję kasy, skoro kasjer nie wrócił jeszcze z urlopu? Tak jakiś usłużny kolega musiał mu donieść o wizytach Marlicza w klubach. Warszawa wszak jest tak plotkarskim miastem i wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich.

Czoło Marlicza zrosiły chłodne krople potu. Policja, więzienie. Nie, tylko nie więzienie. Mieć trzydzieści parę lat i znaleźć się za kratami, gdy zewsząd uśmiecha się życie. Nie zniesie podobnego wstydu..

Ale co robić? Do jutra pozostało zaledwie kilkanaście godzin. Teraz zbliża się dziesiąta wieczór, a jutro o dziewiątej rano Kuzunow będzie sprawdzał kasę. Co robić? Skąd zdobyć te przeklęte dwa tysiące złotych?

Marlicz machinalnie wypił jeszcze jeden kieliszek koniaku. Już się zdecydował. Zresztą od kilku godzin ten zamiar kiełkował w jego głowie. Ma jeszcze w kieszeni blisko dwie setki. Pójdzie do klubu i spróbuje szczęścia. Początkowo zamierzał uciec z Warszawy, ale zamiar ten ostudzała świadomość, że z podobną sumą niedaleko ucieknie. Lepiej raz jeszcze spróbować szczęścia, a jeśli się nie uda... Wczoraj pożyczył browning od znajomego. A może się uda... Dwa tysiące złotych wygrać w klubie łatwo,

a po stałym pechu, jaki go prześladował, spodziewać się było można, że karta się odwróci.

Tak, pójdzie do klubu. Godzina dziesiąta, właśnie gra tam się rozpoczyna.

Zastukał na kelnera, zapłacił rachunek i wyszedł z baru.

Był piękny, lipcowy wieczór. Neonowe światła reklam wesoło barwiły ulice, a po chodnikach snuł się tłum przechodniów. Śród niego migały strojne i roześmiane kobiety i niejedna z nich zachęcająco spoglądała na przystojnego i dobrze ubranego Marlicza. Ale on, zazwyczaj wielce czuły na wdzięki niewieście był obecnie kompletnie obojętny na te zachwyty i zapewne nie widział nawet tych wyzywających spojrzeń. Śpieszył wprost przed siebie na ulicę Nowogrodzką. Wiedział, że gracze zbierali się dzisiaj tam i że ich zastanie.

Wiadomo, że gra odbywa się w Warszawie tylko w potajemnych klubach, zazwyczaj nawet codziennie w innym mieszkaniu, aby tym trudniej amatorów hazardu mogła przyłapać policja, że trzeba z góry być powiadomionym, gdzie będzie miała miejsce i można się tam dostać tylko przy pomocy umówionych sygnałów. Wszystkie te rzeczy były znane Marliczowi, do którego organizatorzy potajemnych szulerni zdążyli już nabrać zaufania — i dlatego też, gdy znalazł się na pierwszym piętrze jednej z kamienic na ulicy Nowogrodzkiej, zastukał w drzwi w umówiony sposób.

Rychło rozwarły się one i wpuszczono go do środka.

— A, kochany dyrektor — przywitał go jeden z właścicieli, Trawski, wysoki, atletycznie zbudowany

mężczyzna — Dobrze że dyrektor przyszedł, wcale interesująco zapowiada się zabawa.

Trawski wiedział doskonale, jaką naprawdę Marlicz zajmuje socjalną pozycję i wiedział również, z jakiego źródła pochodzą przegrywane przez niego pieniądze. Umyślnie jednak tytułował go dyrektorem, gdyż każdy w takiej szulerni jakiś tytuł musi posiadać i obchodziło go tylko, by ten przynosił ze sobą jak najwięcej gotówki.

Marlicz wszedł w ślad za Trawskim do dużej jadalni, w której odbywała się gra. Ujrzał tam pozostałych wspólników Trawskiego, tęgiego Kloca i Bratowskiego, uśmiechniętego blondyna. Obok stał Kajzel, właściciel mieszkania, który z powodu kryzysowych czasów i niewielkich zarobków za skromną zapłatę stu złotych za wieczór, użyczał swego luksusowego apartamentu na przybytek hazardu. Ci panowie nie grali jednak, a obserwowali grających i głównym ich zadaniem było śledzić, aby miłośników kart nie pochwyciła nagle policja.

Przy stole zaś, znajdującym się w pośrodku pokoju, pod lampą, osłoniętą zielonym abażurem siedziało ośmiu mężczyzn, tak pochłoniętych grą, że nie zwrócili nawet uwagi na nadejście Marlicza.

Wśród nich zajął miejsce. Poznawał swoich zwykłych partnerów. Obok niego siedział bogaty przemysłowiec Przeniczny, dalej właściciel składu sukna Rękawiecki, jeszcze dalej hrabia Świtomirski gracz tak nałogowy, że choć stracił całą fortunę, codziennie za wydostane niewiadomo skąd pieniądze musiał się znaleźć w szulerni.

Marlicz wyciągnął pieniądze z kieszeni i zaczął grać.

Grał początkowo ostrożnie niewielkimi stawkami, jakby pragnąc wypróbować szczęście. Grano w chemin de fer‘a i każdy z graczy trzymał bank po kolei.

Nie można jednak powiedzieć, aby fortuna uśmiechnęła się zbytnio do Marlicza. Choć nie przegrywał to i nie wygrywał. Właściwie wszystko kręciło się w kółko. Albo kapitalik jego zmniejszał się o kilkadziesiąt złotych, albo też wzrastał nieznacznie. Banki decydujące o powodzeniu nie przechodziły mu, bał się zaś bić znaczniejsze stawki. Gra toczyła się dość ostro i gdyby chciał się hazardować, jego dwie setki zniknęłyby błyskawicznie.

— Co robić? — myślał z rozpaczą. — Przecież tak nie odegram się? A ten szczęściarz Przeniczny ściągnął przed chwilą ze stołu prawie dwa tysiące. Tyle, ile mi potrzeba.. Ale, nie bał się wpuścić setki do banku, a ja wychodzę z głupich dwudziestu złotych. Co robić? Ano, czekajmy. Tylko spokoju.

Siląc się opanować nerwy i jakim nieopatrznym zahazardowaniem się nie unicestwić wszelkich marzeń o ocaleniu, grał może godzinę bez rezultatu i zapewne grałby dłużej, gdyby wtem nie zaszła nieoczekiwana zmiana w grze.

— Dobry wieczór panom! — rozległ się raptem czyjś dźwięczny, wesoły głos.

Gracze podnieśli głowy z ponad stołu a wraz z nimi i Marlicz. Podniósł i drgnął. Przy wejściu do pokoju stała kobieta, niezwykłej urody. Szczupła, wysoka, o ruchach wężowych, miedziano złotych włosach i wielkich, zielonych oczach.

— Prawdziwy wamp! — pomyślał. — Ciekawe, kto ona? Wamp w potajemnej szulerni.

Nieznajoma powoli zbliżała się do stołu, a po niezwykłym szacunku, jaki jej okazywali, postępujący wślad za nią Trawski i Kloc, widać było, iż jest ona tu wielce cenionym gościem.

— A, baronowa! — zawołał przemysłowiec Przeniczny, nie wymieniając jednak jej nazwiska i zrywając się ze swego miejsca. — Proszę bardzo, niech baronowa tu siada, ja zaraz zdobędę inne krzesło.

Piękna kobieta zajęła miejsce i w odpowiedzi zaśmiała się głośno.

— Ach, pan Przeniczny — zaciągała nieco kresowym akcentem — pragnie być moim sąsiadem? Bardzo proszę! Mamy mały rachunek do uregulowania! Zabrał mi pan zeszłym razem parę tysięcy, to głupstwo, ale nie lubię na żadnym polu ulegać mężczyznom.

— Postaram się i dzisiaj!... — szeroka twarz przemysłowca rozpłynęła się w uśmiechu, podczas, gdy Kloc podsuwał mu fotel.

— Zobaczymy!

Przerwana na chwilę gra rozpoczęła się na nowo. Marlicz nieznacznie obserwował obsypane brylantami palce baronowej, widział, jak ta z małego woreczka z wężowej skóry wyciągnęła gruby zwitek banknotów, w którym napewno znajdowało się kilka tysięcy złotych.

— Taka nie martwi się o pieniądze — pomyślał. — Ale ładna!... — Któż to taki? Gdyby moja obecna sytuacja... Co tu sobie głowę zaprzątać baronową.

Gra, która i przed tym toczyła się dość ostro, ożywiła się teraz jeszcze więcej. Może pod wpływem pięknej kobiety, która bez wzruszenia biła znaczne stawki i sama wystawiała banki po paręset złotych i inni gracze ożywili się bardzo. Raz po raz leżało na stole po kilka tysięcy, a szczęście wyraźnie sprzyjało baronowej. Rosła przed nią kupka banknotów, na które jakby nie zwracała uwagi, ćmiąc obojętnie papierosa za papierosem, jakie wyjmowała z wąskiej, złotej papierośnicy.

Jeden tylko Marlicz trzymał się poprzedniego systemu i z przerażeniem stwierdzał, że choć nie hazardował się, kapitalik jego zmniejszył się do stu pięćdziesięciu złotych. A denerwowało go jeszcze więcej, że wydawało mu się, iż piękna baronowa wciąż na niego spogląda i uśmiecha się z politowaniem na widok jego skromnych stawek.

— Zakładam bank z dwudziestu! — wyrzekł, jak zwykle, gdy doszła kolej do niego.

— Tak pan nigdy dużo nie wygra! — odezwała się raptem i wydało się Marliczowi, że patrzy na niego drwiąco.

Zaczerwienił się gwałtownie.

— Sądzi pan? — bąknął. — W takim razie — zgarnął wszystkie, leżące przed nim pieniądze i wysunął je na środek stołu — wychodzę ze stu pięćdziesięciu!

— Kryję! — zawołał siedzący obok Marlicza kupiec Rękawiecki. — Pani baronowa namówiła młodego człowieka do złego! Zobaczymy, co z tego wyniknie!

Marlicz czuł, że drżą mu palce, ale starał się opanować. Przeklinał chwilę głupiej próżności. Co będzie jeśli

przegra? Rozdał karty i zajrzał szybko w swoje..

— Dziewięć! — oświadczył.

— Wygrał pan! — oświadczył Rękawiecki. — W banku trzysta złotych! Zabiję jeszcze raz!

Marlicz ponownie rozdał karty i znowu otworzył abataż. Miał teraz sześćset złotych.

— Nie biję dalej! — mruknął kupiec. — Na pana kolej, panie Przeniczny.

Przemysłowiec rzucił na stół sześć setek i bez słowa wyciągnął rękę po karty. Marlicz je rozdawał, jak przez mgłę. Miał dwójkę, dokupił do niej szóstkę, podczas gdy przemysłowiec zabastował na siódemce.

— Znowu pan wygrał! W banku tysiąc dwieście!

— Hm, — uśmiechnęła się baronowa. — Przecież namówiłam pana! Teraz moja kolej... Cóż ucieka pan, czy daje wszystko do bicia?

Nieokreślone, złe przeczucie ścisnęło sercem Marlicza.

— Nie dawaj, bo przegrasz! — szeptał mu do ucha jakiś tajemniczy głos.

Tysiąc dwieście złotych to była suma znaczna. Za to można było już dalej grać ostrożnie, lub ewentualnie nawet uciec z Warszawy. Ale... Jeśli przejdzie jeszcze jedną kartę i zwycięży tę dziwną, spoglądającą na niego drwiąco kobietę, będzie miał dwa tysiące czterysta złotych. Zdobyłby z nawiązką upragnione pieniądze. Tylko... Tylko, czemu ogarnia go taki lęk... Może lepiej się cofnąć?

— Cóż daje pan, czy tchórzy? — powtórzyła ironicznie, a w oczach jej, podobnych do oczu drapieżnika zagrały jakieś okrutne błyski — Obawia się pan zmierzyć ze mną?

Trusam w karty nie igrat! — dodała po rosyjsku.

— Daję! — głuchy wykrzyknik mimo woli wyrwał się z piersi Marlicza i w tejże chwili przeklął własne szaleństwo. Ale cofać się było zapóźno.

Rozdał karty i nerwowo zajrzał w swoje. Miał piątkę. Jeśli baronowa natychmiast nie otworzy abatażu — ósemki albo dziewiątki — jest jeszcze nadzieja na wygrane. Wpił się w nią wzrokiem. Powoli podniosła karty, jakby bawiąc się niepokojem Marlicza, zerknęła w nie i wymówiła:

— Proszę!

Oznaczało to, że pragnie kupić jeszcze kartę i że jest zapewne słabszą od bankiera. Gdyby podał jej figurę, nie liczącą się za punkt, mógł być pewien wygranej.

Szybko rzucił kartę i zbladł. Przed baronową padła siódemka. Bezwzględnie teraz posiadała większą ilość oczek od niego.

— I ja pociągnę! — wymówił ochrypłym głosem i otworzył kartę.

Wydało mu się, że wszystko runęło dokoła. Przed nim leżała druga piątka. Wraz z poprzednią piątką nie stanowiło to żadnego punktu i oznaczało ostateczną przegraną.

— Przegrałem! — wybełkotał. Chwycił się za głowę nie starając się nawet zachować pozorów obojętności.

— Tak, przegrał pan! — zabrzmiał jej lekko ironiczny śmiech. — I to w dziwny sposób. Gdyby pan nie ciągnął do piątki, byłby pan wygrał. Bo miałam czwórkę i kupiłam do niej siódemkę... Wygrałam zaledwie jednym oczkiem.

— Psiakrew! — mało nie zaklął głośno i zerwawszy się ze swego miejsca, nie patrząc na nikogo, wybiegł z pokoju.

— Czego się tak ciska ten młody człowiek! — pobiegł wślad za nim głos przemysłowca. — Przecież przegrał właściwie tylko sto pięćdziesiąt złotych.

Ale Marlicz już biegł po schodach i wnet znalazł się na ulicy.

Koniec! Teraz naprawdę koniec! Ma w kieszeni zaledwie kilkadziesiąt groszy. Och, jakie głupstwo popełnił! Tysiąc dwieście złotych! Za te pieniądze można było usiłować ułagodzić szefa, lub też w najgorszym wypadku uciec z Warszawy. Obecnie, nic nie wymyśli, nic nie poradzi. Wszystko przez tę przeklętą baronową i jej wyzywający, ironiczny śmiech. Czemuż dał się sprowokować i czemuż później nie stanął na piątce! Ach, jak bliskim był całkowitego ocalenia.

Potarł dłonią zroszone potem czoło. Próżny żal. Teraz pozostaje, jedno wyjście, to o którym myślał od dawna. Wszak wczoraj jeszcze pożyczył browning od znajomego i ten browning spoczywa w jego kieszeni. Ale, nie tu, na rogu Marszałkowskiej i Nowogrodzkiej, nie, tu życia sobie nie odbierze.

Machinalnie skręcił w Aleje Jerozolimskie i powoli skierował się w stronę mostu Poniatowskiego. A gdy znalazł się na moście, przystanął i oparł się o kamienny parapet. Była już pierwsza po północy, wszystko dokoła tonęło w półmroku i nigdzie nie widać było przechodniów. Cicho na dole pluskały fale Wisły i lekki chłodny wietrzyk biegł od rzeki. Ale, ani monotonny plusk fal, ani wiatr, muskający jego policzki nie przynosiły ukojenia.

— Ha! — myślał. — Lekkomyślnie zmarnowałem życie!

Mam dopiero trzydzieści dwa lata i już muszę umrzeć! Szkoda... Ale co tu długo się namyślać. — —

Szybko wyciągnął browning z kieszeni i odsunąwszy bezpiecznik, już miał broń podnieść do góry, gdy wtem czyjaś ręka spadła na jego ramię.

— Panie Marlicz!

Drgnął i spojrzał zdumiony. Obok stała baronowa.

Twarz pięknej kobiety miała obecnie zupełnie odmienny wyraz. Miast poprzedniej ironji, złączonej jak gdyby z okrucieństwem, widniała na niej stanowczość i powaga.

— Kiedy pan wybiegł z szulerni taki zrozpaczony — wyrzekła — domyślałam się odrazu, że coś złego się święci i postanowiłam nie dopuścić do tego! Pośpieszyłam wślad za panem. Na szczęście, zdążyłam na czas... A był pan taki zamyślony, że nie usłyszał pan, kiedy nadjechał mój samochód. Wskazała na małe, czerwone auto, stojące w pobliżu.

— Bardzo pani wdzięczny jestem! — odrzekł z rozdraźnieniem. — Ale cóż panią może obchodzić, co zamierzam uczynić. — Skąd podobne zainteresowanie się moją osobą?

— Ponieważ wygrałam...

— Och, gdyby pani nie wygrała, to wygrałby kto inny! Proszę się tem nie przejmować!

— Panie Marlicz — raptem zmieniła ton. — Skoro pan chce, pomówimy szczerze. Interesuję się panem i pragnę go ratować.

— Pani interesuje się mną? Skąd pani zna moje nazwisko?

— Mniejsza o to. Wiem nawet w jakim pan pracuje banku. Wiem również, że nie odbierałby pan sobie życia dla stu pięćdziesięciu czy też dwustu złotych, bo tyle pan tylko przegrał. To o daleko poważniejsze rzeczy chodzi. Ile panu potrzeba?

— Zaraz, zaraz... — ze zdziwieniem patrzył na nią. — Przódy chciałbym się dowiedzieć, czemu właśnie pani zamierza mnie ratować?

— Widocznie mam pewne zamiary wobec pana!

— Pani? — Zamiary wobec mnie?...

— Wszystkiego pan się dowie w swoim czasie!

Marlicz teraz nic nie rozumiał. Jeśli początkowo sądził, że tajemnicza baronowa, zdobywszy o nim szczegóły na miejscu, w klubie, pośpieszyła, chcąc go ratować, gdyż zainteresowała się nim, jako przystojnym mężczyzną, wnet jednak pojął, że to przypuszczenie jest niesłuszne. Oczy pięknej kobiety patrzyły nań poważnie i nie można w nich było dostrzec śladu najmniejszego wzruszenia, lub zalotności. Tak patrzy kupiec, który pragnie nabyć towar przedstawiający dlań pewną wartość, który pragnie nabyć dla wiadomych sobie celów.

— Pani pragnie mnie kupić? — wyrwał mu się mimowolny okrzyk.

— Może! — W jej oczach zagrały szmaragdowe błyski. — Proszę prędzej wymienić sumę, gdyż naprawdę śpieszę się do domu!

Pomyślał chwilę. Wszystko to było nadzwyczajne, ale przecież dziwna kobieta nie stawiała wzamian żadnych warunków. Czyż nie należało skorzystać z pomocy, bez

względu z jakiej strony ona przychodziła.

— Potrzeba mi dwa tysiące dwieście złotych! — wymówił.

— Oto, dwa i pół tysiąca! — szybko wyciągnęła z woreczka zwitek banknotów, zgóry widocznie przygotowany, jakby już zawczasu Marlicza otaksowała na tę sumę. — Resztę, proszę zatrzymać, przyda się panu..

— Ależ, pani...

— Niech pan bierze... — wetknęła mu zwitek banknotów prawie siłą do ręki.

— Kiedy to zwrócę?

— Zobaczymy...

— Jak panią zobaczę?

— Rychlej, niźli pan tego się spodziewa!

— Ależ...

Nie zwracając uwagi na ten wykrzyknik, baronowa uśmiechnęła się zagadkowo, skinęła mu swą ubrylantowaną rączką i szybko oddaliła się do oczekującego ją czerwonego auta.

— Pani! — zawołał. — Ja przecież tak nie mogę...

W odpowiedzi usłyszał tylko warkot motoru, samochód ruszył, zakręcił i Marlicz pozostał sam na ulicy.

Chwilę pozostał w zadumie, zastanawiając się nad niezwykłą, przeżytą przygodą. Był ocalony, a jednak dziwny niesmak osiadł mu na dnie duszy. Kim była ta dziwna kobieta i czemu właśnie w taki sposób pośpieszyła mu z pomocą? Cóż mogło jej zależeć na nim?

Powoli zaczął się oddalać z mostu Poniatowskiego, kierując się w stronę domu.

Może jeszcze więcej poczułby się zaniepokojony, gdyby mógł posłyszeć słowa jednego z dwóch mężczyzn, który stojąc w mroku wraz z drugim towarzyszem, po drugiej stronie ulicy, niespostrzeżony, obserwował całą poprzednią scenę.

— Och! — wymówił. — Baronowa pochwyciła w swe sieci jakiegoś młodego człowieka, a nawet daje mu pieniądze! Bardzo ciekawe, choć nie chciałbym być w jego skórze! Wszak to kobieta, która niesie śmierć! Będziemy musieli bliżej zainteresować się ta sprawą.

ROZDZIAŁ II.

W BANKU „BRACIA KUZUNOW I SP.“

Nazajutrz, kiedy Marlicz znalazł się w banku, czuł jednak pewien niepokój. Choć posiadał w kieszeni pieniądze całkowicie pokrywające sumę, zabraną przez niego z kasy, obawiał się, że wyniknąć mogą dalsze komplikacje. A nuż, mimo wszystko Jan Kuzunow zwąchał coś niecoś? Może usłyszał, że grywa w klubie i wydaje znacznie więcej pieniędzy, niż na to pozwala pensja? Czemuż patrzył na niego wczoraj tak dziwnie i z naciskiem powtórzył, że pragnie go widzieć o dziewiątej i że ma przedtem prokurentowi zdać stan kasy.

Dlatego też wsunął zgóry odliczone pieniądze do kasy, a później z miną nieskazitelnego urzędnika, poprosił

prokurenta, by zechciał ją sprawdzić. Oczywiście, zgadzało się wszystko, a gdy prokurent potwierdził — odetchnął z ulgą.

— Tedy, w porządku... Chociaż.

Mniej więcej przed dziewiątą w banku zjawił się Kuzunow i z miną, niewróżącą nic dobrego, przeszedł przez ogólną salę, do swego gabinetu, oddzielonego od niej wielkimi drzwiami o matowych szybach. Urzędniczki i urzędnicy kłaniali mu się nisko, lecz on ledwie kiwał głową w odpowiedzi na te powitania. Widać było, że jest czemś przejęty i z czegoś niezadowolony.

— Źle! — pomyślał Marlicz. — Jest wściekły! — Jeśli coś zwąchał — redukcja pewna!

Choć bank oficjalnie nazywał się „Bankiem braci Kuzunow i Sp.“ — Jan Kuzunow był obecnie niemal wyłącznym jego właścicielem, wszechwładnie rządził wszystkim, podczas gdy pozostali wspólnicy nie wtrącali się do niczego. Jeśli zadecydował czyjeś zwolnienie — próżno było odwoływać się do pozostałych dyrektorów.

W ślad za bankowym potentatem wszedł do jego gabinetu prokurent Krebs, ale nie długo tam zabawił. Wyszedł po upływie kilku minut i wnet rzucił w stronę Marlicza:

— Pan dyrektor prosi!

Powstał ze swego miejsca i starając się zachować spokój, skierował się do drzwi, pocieszając się w duchu, że przecież Krebs musiał już donieść, że wszystko znajduje się w porządku. Jednak, gdy znalazł się przed obliczem surowego a znanego z bezwzględności zwierzchnika, czuł, że nogi

uginają się lekko pod nim.

— Co pocznę, jeśli zredukuje? — myślał z przerażeniem. — Znajdę się na bruku! —

Jan Kuzunow, wygolony, szpakowaty mężczyzna, liczący blisko sześćdziesiąt lat, siedział pochylony nad papierami za dużym amerykańskim biurkiem. Choć stale chodził ubrany elegancko, dziś był jeszcze wytworniej odziany, niż zazwyczaj i uderzyła Marlicza bijąca dyskretnie od niego woń perfum.

Kuzunow perfumuje się! — stwierdził ze zdziwieniem. — Dotychczas tego nie zauważyłem! — Dziwne.

W rzeczy samej dotychczas Kuzunowa nikt nie mógł posądzać o kokieterię i wbrew zwyczajom innych dyrektorów nikt nigdy nie widział, aby rozmawiał poufale z najprzystojniejszą nawet z urzędniczek, których w banku wszak nie brakło. Słowem, był to typ zimnego angielskiego dżentelmena.

I teraz jego czoło przecinała ostra, poprzeczna zmarszczka, jak u człowieka który się szykuje na niemiłą rozmowę.

— Źle! — powtórzył Marlicz w duchu.

Kuzunow, nie patrząc nań, skinął ręką, aby zajął miejsce.

— Wezwałem pana — począł — gdyż — gdyż — mam do pana bardzo poważną sprawę...

— Oddałem kasę w porządku! — szybki frazes wyrwał się Marliczowi.

— Wiem o tym i na chwilę nie wątpiłem, że będzie w porządku! — zabrzmiała odpowiedź. — Była to tylko formalność! O co innego mi chodzi...

— Bo, panie dyrektorze... — począł Marlicz, sądząc, że Kuzunow chce mu wytknąć inne grzechy.

Ale Kuzunow nie pozwolił mu dokończyć.

— Nie wątpiłem na chwilę, że będzie w porządku — rzekł — gdyż uważam pana z gruntu za uczciwego człowieka, mam do pana całkowite zaufanie i dla tego pragnę mu polecić pewną poufną misję. Jeśli poleciłem, aby pan zdał kasę Krebsowi, to tylko dlatego, że chcę, żeby pan czuł się swobodniejszy.

Marlicz odetchnął najprzód głęboko, a później zaczerwienił się mocno, posłyszawszy niezasłużone pochwały zwierzchnika. Na to najmniej był przygotowany. Więc Kuzunow nie dowiedział się niczego? Czemuż najadł się takiego strachu? Jaką zamierza powierzyć mu misję?

— Słucham pana dyrektora!

Kuzunow wciąż nie patrząc na Marlicza, milczał przez chwilę, wreszcie począł:

— Pojedzie pan dziś w nocy do Wilna. Znajdzie się pan tam jutro rano, a o siódmej wieczór uda się pan na ulicę Jezuicką — tu podał mu kartkę ze szczegółowo napisanym adresem — do niejakiego Drangla. Odbierze pan od niego zapieczętowaną kopertę i doręczy mu wzamian pięć tysięcy złotych. Sumę tę, wraz z pieniędzmi, potrzebnymi na podróż, otrzyma pan z kasy.

— Rozumiem! — skinął głową, gdyż całe te zlecenie wydało mu się łatwe i jeszcze nie pojmował, czemu Kuzunow uczynił tak długi wstęp do niego.

— Tylko... — raptem wymówił dyrektor — sprawa jest poufna do najwyższego stopnia. Nie sądzę — spojrzał na

jakiś list, leżący przed nim — aby ten — od kogo pan ma odebrać papiery, chciał pana oszukać. Jak z tego listu wynika — dodał w zamyśleniu, raczej sam do siebie — zależy mu bardzo, by one znalazły się u mnie. Ale, natomiast inni mogą robić starania, żeby znaleźć się w ich posiadaniu.

— Zechcą mi je odbierać?

— Możliwe! Należy być przygotowanym na wszystko! Dlatego właśnie wybrałem pana i niech pan nie ufa nikomu i niczemu. Pod żadnym pozorem nie waż się pan zdradzić, że mu zleciłem tę misję i unikać proszę kobiet.

— Ależ ja nie zadaję się z niewiastami! — zawołał szczerze Marlicz — i napewno nie opowiem żadnej o tym, co zlecił mi pan dyrektor. — To te papiery są aż tak ważne?

— Tak, tak... — mruczał Kuzunow i znów wydało się Marliczowi, że unika jego wzroku. — Bardzo ważne... Ale, chwilowo nie obchodzi pana ich treść. Najważniejsze, aby pan je dostarczył w porządku pojutrze.

Po rzuceniu jeszcze kilku ogólnikowych informacyj, rozmowa została ukończona i Marlicz opuścił gabinet dyrektora.

Gdy usiadł za swym biurkiem, poczuł, że ciężar ostatecznie spadł mu z serca. Czemuż się tak namartwił i nadenerwował. Kuzunow nie tylko nie posądzał go o nic złego, ale żywił nawet duże zaufanie, skoro obarczał podobną misją. Cóż to za papiery, że aż tak dalece mu na nich zależy, że płaci za nie pięć tysięcy złotych i jest zażenowany, gdy napomina się o ich treści? Mniejsza o to! Postara się jaknajlepiej wypełnić zlecenie i napewno nie da

ich sobie odebrać, ani też nie zwierzy się żadnej kobiecie.

Tu uśmiechnął się lekko. W rzeczy samej, z żadną niewiastą w danej chwili nie łączyła go ani dalsza, ani bliższa przyjaźń, a żyjąc od paru tygodni w stałym strachu, że wyda się defraudacja, i mając myśli wyłącznie tym zaprzątnięte, jak ją pokryć — zapomniał prawie o ich istnieniu. Przepraszam, chyba wczorajsza tajemnicza baronowa, której nazwiska nawet nie znał. Lecz, co ta ma tu do rzeczy? Ale, ta baronowa? W jakim celu dała mu pieniądze i nie wymieniła nawet adresu? Dziwne! Napomknęła tylko, że sama go odszuka. Trzeba będzie ją odnaleźć i spłacić dług ratami. Więcej nie wda się w podobne historie i nie weźmie kart do ręki. Skończone. Kuzunow ma do niego całkowite zaufanie i nie wykluczone, że otrzyma podwyżkę.

— Cóż to pan kolega taki zadowolony i tak uśmiecha się do siebie? — Rozległ się wtem obok niego głos Krebsa, który zbliżył się do jego biurka. — Cieszy was mała przejażdżka, gdyż wiem, że dyrektor wysyła was dziś na kilka dni na prowincję.

— Zawszeć i to rozrywka! — odparł ogólnikowo.

— Hm... hm — chrząknął Krebs, który uchodził za największego plotkarza w banku — a nie zauważyliśmy zmiany w starym?

— Jakiej zmiany?

— Wyelegantowany, uperfumowany...

— Cóż z tego?!

— Jakto cóż z tego? — Krebs nachylił się nisko nad biurkiem. — Nie wiecie o największej sensacji? —

Kuzunow zakochał się i pragnie się żenić...

— Coprawda ma około sześćdziesiątki, ale i w tym wieku żenią się ludzie. Jest wdowcem i nie ma dzieci. A któż jest tą szczęśliwą, wybranką jego serca...

— Hm... — Krebs szeptał mu słowa prosto w ucho — oto właśnie chodzi. Kobieta, niezwykłej urody, ale podobno awanturnica.. Jakaś bardzo zagadkowa osoba. Należy się dziwić, że taki opanowany i niezwykle życiowo doświadczony człowiek, jak Kuzunow zadurzył się w podobnej kobiecie...

— Czasem podobne przygody spotykają najbardziej rozważnych ludzi. Jestem spokojny o Kuzunowa, da sobie radę...

— Właśnie, że stracił całkowicie głowę. Gdyż ta osoba...

Tu Marlicz posłyszałby zapewne jeszcze dalsze rewelacje o ukochanej dyrektora, gdyby wtem do Krebsa nie zbliżyła się jedna z urzędniczek z działu giełdowego z jakimś ważnym zapytaniem w sprawie wartościowych papierów.

— Ach, o te akcje chodzi! — zawołał prokurent. — Zaraz sam zatelefonuję na giełdę.

Oddalił się pośpiesznie i Marlicz pozostał sam.

Więc dyrektor zakochał się i dla tego dziś był tak wytwornie ubrany niczym Adolf Menjou. Zaiste, nielada sensacja! Lecz cóż to właściwie mogło obchodzić Marlicza i zapewne niezwykła ta wiadomość nie stała w żadnym związku z jego podróżą do Wilna, ani z odebraniem tajemniczych papierów. Zresztą, zapewne jeszcze więcej dowie się od Krebsa.

Ale w banku panował szczególny ruch i tylu było interesantów, że Krebs nie miał już czasu na poufniejszą pogawędkę z kolegą i nie zbliżał się do jego biurka. Również Marlicza pochłonęła codzienna praca i sam nie wiedział kiedy czas upłynął mu do trzeciej. Dopiero trzask okienek, zamykanych z hałasem przez urzędników, przypomniał mu, że zbliżył się kres zajęć.

Powstał ze swego miejsca i podszedł do prokurenta, sądząc, że razem udadzą się do domu. Ale Krebs, dłużej jeszcze zatrzymany jakąś robotą, pozostawał w banku. Poprzestał tedy na wypłaceniu Marliczowi pięciu tysięcy wraz z pieniędzmi przeznaczonymi na drogę — zgodnie z poleceniem dyrektora — po czym uścisnął jego rękę i rzekł tylko na pożegnanie:

— Szczerze wam zazdroszczę tej małej wycieczki. Uciekniecie przynajmniej na kilka dni od piekła w naszej budzie i od diabelskiego stukotu maszyn...

Marlicz opuścił bank i powoli skierował się w stronę restauracyjki, w której zwykle jadał obiady. Gorące lipcowe słońce wesołymi potokami zalewało ulice, a w jego świetle wszystko wydawało mu się obecnie radosne. Ach, jak odmienny był jego nastrój, od wczorajszego nastroju na moście Poniatowskiego, kiedy wydawało mu się, że żadnego ratunku już nie ma. Napewno nie popełni więcej żadnego głupstwa — rozpocznie nowe, solidne życie. Toć, czuje się, jakgdyby powtórnie przyszedł na świat. Może wszystkim śmiało patrzeć w oczy. A właściwie zawdzięcza to tajemniczej baronowej. Kimkolwiek jest ta tajemnicza baronowa, bezwzględnie wyciągnęła go z przepaści...

Szedł tak zamyślony, że nawet nie zauważył że po przeciwległej stronie jezdni, powoli posuwa się jakiś samochód. A powinien był zauważyć, gdyż było to małe, czerwone auto. Również nie zauważył, że z tego samochodu wysuwa się jakaś ręka i kiwa nań, aby się zbliżył.

Wreszcie samochód stanął, wyskoczył z niego szofer i podbiegł do Marlicza:

— Pani prosi!

— Jaka pani? — drgnął w pierwszej chwili, ujrzawszy przed sobą nieznajomego człowieka.

— Pani baronowa! Oczekuje pana w aucie! Wciąż kiwa, a pan nie widzi!

— Ach, pani baronowa!

Więc spełniła swą obietnicę i już odszukała go. Ucieszył się nawet z tego powodu, w nadziei, że wnet całą sytuację wyjaśni. Szybko przeszedł przez jezdnię i zbliżył się do auta. Nie dziwiło go nawet, że wiedziała gdzie i o jakiej porze go odnaleźć. Naprawdę, była to niezwykła kobieta.

— Niech pan prędzej wsiada! — zawołała, gdy podszedł i ucałował wyciągniętą rączkę. — Nie chcę, żeby nas widziano razem!

Szybko zajął obok niej miejsce. W tejże chwili szofer zatrzasnął drzwiczki, usiadł przy kierownicy i samochód ruszył naprzód.

— Więc pani była na tyle łaskawa... — począł, patrząc na nią z zachwytem, złączonym z wdzięcznością.

Przy świetle dziennym nie traciła jej uroda i szacować ją było można jako przecudowną kobietę. Zaiste, wykwit sex-

appelu. Złoto miedziane włosy wymykały się spod małego kapelusika, okalając matową, białą twarz, a purpurowe usta rozchylały się kusząco. Bił od niej jakiś zmysłowy czar, któremu z trudem mógł się oprzeć każdy mężczyzna. Była piękna i niepokojąca. Wyglądała na lat trzydzieści, ale ktoś, ktoby ją dłużej obserwował, wywnioskowałby, że musiała być napewno starsza, przeszła już niejedno i posiada doświadczenie życiowe. Jej smukłą postać znakomicie obciskał skromny sportowy kostium, a z pod sukienki wyzierały w cieniutkich pończoszkach i lśniących pantofelkach śliczne nóżki, którychby pozazdrościć mogła znana z pięknych nóg, paryska artystka Mistinguette.

Jeśli Marlicz łudził się, że może jakieś inne względy, prócz interesu, skłoniły baronową, by odszukała go, wnet po wyjściu z banku, piękna a dziwna kobieta rychło wyprowadziła go z błędu.

— Czy otrzymał pan zlecenie? — zapytała szybko i, widać było że jest czymś mocno podniecona.

— Jakie? — nie zrozumiał w pierwszej chwili.

— Czy Kuzunow polecił panu wyjechać do Wilna?

— Tak! — o mało nie wyrwał mu się ten wykrzyknik pod wpływem wzroku baronowej, lecz wnet się opanował. — Nie. — wybąkał, — nic o tym nie wiem. —

Z trudem powstrzymywał nerwowe drżenie. Niespodziewanie zaskoczyło go to zapytanie i najmniej się tego z jej ust spodziewał. Skąd dowiedziała się o podróży, która miała być tajemnicą dla wszystkich? Z przerażeniem przypomniał sobie nagle słowa dyrektora, że szczególnie miał się wystrzegać kobiet. Więc baronowa...

— Nic nie wiem o tym! — powtórzył. — Myli się pani...

— Proszę nie kłamać! — powtórzyła. — Chyba za to, co wczoraj uczyniłam dla pana, jest pan zobowiązany względem mnie do całkowitej szczerości!

Teraz Marlicz poczuł dopiero że wpadł w pułapkę.

— No tak... ale zapewniam...

— Proszę nie kłamać! — powtórzyła. — Kuzunow polecił panu udać się nocnym pociągiem do Wilna. Tam ma pan jutro odwiedzić niejakiego Drangla, doręczyć mu pieniądze i odebrać papiery. Daremne będzie wypieranie się, jak pan słyszy, — wiem wszystko...

Istotnie wiedziała wszystko.

— Kim pani jest? — szepnął zdumiony. — Nie znam nawet pani nazwiska?

— Kim jestem? — odpowiedziała spokojnie. — Nazywam się Tamara Dranglowa. Ongiś byłam żoną Drangla, tego samego, którego pan ma odwiedzić w Wilnie, a obecnie jestem narzeczoną pańskiego dyrektora, Jana Kuzunowa.

— Pani?! — aż podniósł się na swym miejscu. — Pani, narzeczoną Kuzunowa... Ach rozumiem. —

Nagle stanęły w jego pamięci rewelacje, posłyszane z ust prokurenta Krebsa. Więc dla niej sześćdziesięcioletni Kuzunow oszalał z miłości i ją właśnie Krebs nazwał awanturnicą. Choć Marlicz widział tę kobietę po raz drugi w życiu, jej postać poczynała się zarysowywać w jego oczach w nowym nieoczekiwanym świetle.

— Rozumiem! — powtórzył.

— Nie, pan jeszcze nie rozumie! — odrzekła

niecierpliwie, a w jej oczach zagrały te same, co wczoraj, szmaragdowe błyski. — Przed wielu laty wyszłam zamąż za barona Drangla, rosyjskiego arystokratę. Jestem z pochodzenia pół polką, pół gruzinką i dlatego mam na imię Tamara. Ale, krótko żyłam z mężem, gdyż szybko stracił, to co miał i rozpił się ostatecznie. Tego wszystkiego, oczywiście, nie powiedział panu Kuzunow. Obecnie, chcąc wyjść za mąż za niego, muszę mieć zgodę na rozwód od pierwszego męża. Właśnie pan jedzie po tę zgodę i za nią pan też zapłaci. Tanio otaksował się Drangiel — zawołała z ironią. — Tylko pięć tysięcy złotych! Ale to już jego rzecz, stoczył się na dno, podobno ostatecznie... Ale, prócz tego...

— Prócz tego? — powtórzył Marlicz, coraz więcej zainteresowany, — nie pojmuję, jeszcze że z tej sprawy uczyniono taką tajemnicę.

— Prócz tego — dokończyła — Drangiel ma jeszcze dołączyć pewne papiery. Papiery, które mi wykradł podstępem. Nic zapewne w nich nie ma — dodała, siląc się na obojętność — ale jest to taki łajdak i tak mnie nienawidzi, że nie wykluczone, gdy pochwyciwszy pieniądze, dołączy coś kompromitującego, aby mi zaszkodzić. Gotów nawet — poprawiła się, spostrzegłszy, że wygadała się zbytnio — nadesłać sfałszowane dokumenty...

Marlicz pojmował teraz wszystko i pamiętał, że przed dyrektorem leżał jakiś tajemniczy list. Zapewne od Drangla. Pojmował, że ten prócz zezwolenia, na rozwód, obiecywał nadesłać prawdopodobnie jakieś rewelacyjne informacje, które miały być tajemnicą dla wszystkich, i w żadnym razie

nie dotrzeć do rąk pięknej Tamary i że po to wysłano go do Wilna.

— Ach, tak.. — bąknął.

— Chodzi mi więc — wyrzekła teraz zupełnie otwarcie — abym mogła przejrzeć te papiery, zanim dotrą do rąk Kuzunowa. Rozumie pan? Musi pan mi je pokazać....

W Marliczu zagrały resztki uczciwości. Niedawno przysięgał sobie postępować, jak człowiek prawy, a to, co żądała od niego byłoby zdradą wobec dyrektora.

— Naprawdę nie mogę tego uczynić — wyrzekł.

— A wczoraj mógł pan ode mnie przyjąć pieniądze? — posłyszał ostrą, nieoczekiwaną odpowiedź. — Co za nagła dżentelmeneria.

Marlicz poczuł, że czerwień wstydu nagłą falą zalewa mu policzki.

— Sądziłem, że to tylko pożyczka!

— Pożyczka od obcej kobiety? Aby ukryć defraudację? Wszak zamierzał pan sobie strzelić w głowę?

— Z tego jeszcze nie wynika, żebym stale miał być szubrawcem!

— Więc odmawia pan? A co będzie, jeśli pójdę do Kuzunowa i opowiem mu w jaki sposób pokrył pan niedobory w kasie? Gdyż tylko na to mógł pan potrzebować pieniądze. Nikt z czterystuzłotowej pensji nie grywa grubo w klubie. Wiem, ile pan zarabia i ile pan przegrał.

Marlicz czuł, że w tej chwili nienawidzi tę kobietę i z trudem się opamiętywał, by nie rzec jej coś równie przykrego. Ale rozumiał, że jest całkowicie w jej władzy i że jeśli zechce opowiedzieć wszystko dyrektorowi, ten jej

uwierzy. Znów znajdzie się na bruku. Również przyszła refleksja, iż zapewne Kuzunow jest w niej tak zaślepiony, iż mimo wszystkich rewelacji ożeni się z nią, gdyż przy swym sprycie potrafi się wytłumaczyć z najgorszych zarzutów. A niedobrze było sobie zrobić śmiertelnego wroga z przyszłej żony zwierzchnika.

— Cóż namyślił się pan? — zapytała, zauważywszy jego wahanie.

— Tak! — odrzekł. — Uczynię, co pani żąda. Wszak mam wobec niej poważne obowiązki i pragnę się z nich jaknajszybciej wywiązać!

— Ach, nie mówmy o tem — zawołała zupełnie innym tonem, a uśmiech rozjaśnił jej twarz. — Naprawdę mi przykro, że przed chwilą zbyt ostro odezwałam się do pana, ale jestem wyjątkowo dziś zdenerwowana! Zapomnijmy o tym i bądźmy przyjaciółmi! Nikt na mnie się nie zawiódł i potrafię się jeszcze panu przydać w przyszłości. Oto ręka na zgodę. Więc zgadza się pan dać mi do przejrzenia papiery?

Znów był całkowicie pod jej urokiem i mówiła do niego, jak gdyby przed chwilą nie padły pomiędzy nimi szorstkie i obraźliwe słowa.

— Tak! — powtórzył całując wyciągniętą rączkę.

— Skoro pan przyjedzie z Wilna — wyjaśniła — uda się natychmiast do mego mieszkania. Mieszkam na Koszykowej pod Nr. 144. Zanim pan pójdzie do banku. Przejrzę papiery i zwrócę je panu. Pociąg przybywa o siódmej rano, już o ósmej będę oczekiwała pana. Po tym pan pójdzie do Kuzunowa, a spóźnienie łatwo wytłumaczy zmęczeniem.

Skinął głową.

— Omówiliśmy wszystko! — zakończyła. — Teraz już zwalniam pana!

Zastukała w szybę, dając znać szoferowi aby się zatrzymał.

— Jeszcze jedno! — zapytał Marlicz wysiadając z samochodu. — Czy pani wczoraj już wiedziała, że Kuzunow zamierza mnie wysłać do Wilna?

— Oczywiście! — zaśmiała się, ukazując rząd olśniewająco białych zębów. — Czyż inaczej odszukałabym pana w klubie. Jestem znakomitą detektywką i zbieram o potrzebnych mi ludziach zawsze ścisłe informacje.

ROZDZIAŁ III.

W WILNIE.

Marlicz przybył nazajutrz szczęśliwie do Wilna i zamieszkał w hotelu „Bristol“. Ponieważ do siódmej wieczór — a o tej godzinie miał się stawić u Drangla — było sporo czasu, począł zwiedzać miasto w którym po raz pierwszy w życiu się znalazł.

Wilno wraz z Krakowem są chyba najciekawszymi miastami w Polsce i najwięcej w nich można odszukać pamiątek zamierzchłej przeszłości. Krążył więc po małych, krętych ulicach, tchnących średniowieczem, podziwiał kościoły, klasztory i gmachy, pamiętające jeszcze czasy

Jagiellonów, dotarł nawet na Antokol, skąd roztacza się wspaniały widok na prastary gród.

Wreszcie zmęczony długim spacerem, gdy zbliżyła się już pora obiadowa, powrócił do hotelu i udał się do znajdującej się tam na dole restauracji.

W długiej, wąskiej sali prawie wszystkie stoliki były zajęte. Rozglądał się za wolnym miejscem. Wtem posłyszał znajomy głos:

— Ot, pan tu się znalazł! A pozwól do mnie kotusik! Bardzo, proszę....

To starszy pan siedzący samotnie przy stoliku pod oknem, zapraszał go uprzejmie. Wysoki, tęgi, o czerstwej, ogorzałej od słońca twarzy i sumiastym siwym wąsie — typowy żubr kresowy. Marlicz zapoznał się z nim w drodze, gdyż jechali tylko we dwójkę w kolejowym przedziale i tam już przywykł do jego jowialnego, nieco rubasznego obejścia. Starszy pan, widocznie gadatliwy z natury, pierwszy rozpoczął rozmowę i począł opowiadać, że ma duże dobra pod Wilnem, ale ciągle w ostatnich czasach musi kursować pomiędzy tym miastem, a Warszawą, bowiem stara się o pozwolenie na wyrąb lasów, a takie pozwolenie „kotusik“, teraz dostać nie łatwo.

„Kotusik“ było to jego ulubione przysłowie które wtrącał w prawie każde zdanie jednocześnie tykając Marlicza. Gdy ten spojrzał na niego w pierwszej chwili zdumiony taką poufałością, starszy pan spostrzegłszy jego minę dobrodusznie wyjaśnił:

— Ty się nie gniewaj na mnie „kotusik“ że tak gadam! Onufry Mongajłło jestem, lat siedemdziesiąt minęło,

wszystkim znajomym tak gadam, a teraz odzwyczaić się trudno.

Marlicz — kiedy posłyszał nazwisko starszego pana nie tylko nie obraził się, ale nabrał dlań respektu. Bank Kuzunowa, w którym pracował utrzymywał szerokie stosunki ze sferami ziemiańskimi, i dlatego też wiedział, że Mongajłłowie należeli prawie do rodów magnackich w Wileńszczyźnie i bodajże ten sam Onufry Mongajłło był klientem ich banku. Nie zwierzył mu się z tym, oczywiście, ale stał się dla starszego pana niezwykle uprzejmy, ten zaś darzył widoczną sympatią swego młodego towarzysza podróży.

To też, obecnie, chętnie skorzystał z zaproszenia, zbliżył się do stolika i uścisnąwszy rękę starszego pana, zajął naprzeciw niego miejsce, zadowolony nawet, że sam nie będzie spożywał obiadu.

Pan Mongajłło zajadał ze smakiem kołduny, zakrapiając je gęsto wódką i jako panek kresowy musiał tu być wysoce poważanym gościem, gdyż usłużnie nadskakiwał mu kelner, tytułując go „jaśnie panem, dziedzicem“.

— Ty też „kotusik“ zjedz kołduniki. — zwrócił się do Marlicza. — Nasza wileńska potrawa... Albo bigos... Takiego w Warszawie nie dadzą.... Choć tam się nazywa potrawa boska, bo tylko Pan Bóg wie, co te kuchmistrze za drańst wa do niego „nakładą“.

Marlicz dał się namówić na kołduny, później zrazy z kaszą, a chcąc zrobić przyjemność starszemu panu, kropnął z nim kilka kieliszków wódki. Później musiał wysłuchać długą opowieść o tym, że interesy Mongajłły układają się

znakomicie, zapewnie nie długo otrzyma pozwolenie na wyrąb lasu, gdyż dowiedział się z rana, że miejscowe urzędy nie stawiają trudności, tylko nie jest wykluczone, że jutro znów uda się do Warszawy.

— To drogę razem odbędziemy, kotusik...

Zapewne długo jeszcze słuchałby w milczeniu tych zwierzeń Mongajłły, gdyby wtem nie nastąpiła nieoczekiwana przeszkoda. Przy bufecie rozległy się jakieś podniesione głosy, a gdy Marlicz spojrzał w tym kierunku, zobaczył tam jakiegoś awanturującego się mężczyznę. Był to może pięćdziesięcioleci, szpakowaty, chudy jegomość o zniszczonej, zapewne od pijaństwa twarzy, w wytartym ubraniu, błyszczących niesamowicie oczach i nerwowych ruchach, który coś zawzięcie tłumaczył gospodarzowi, stojącemu za bufetem. Widać było, że siłą wdarł się na salę, gdyż w pobliżu stało paru kelnerów, jakby zamierzając go z niej usunąć.

— A ja wam gaworiu (powiadam) — wykrzykiwał po rosyjsku — dieńgi budut u mienia... (będę miał pieniążki).

— Niestety! — dość szorstko odrzekł gospodarz. — Na „budut“ (będą) nie możemy kredytować panu rotmistrzowi...

— A mało ja u was przepił?

— Kiedy to było? — A jeszcze więcej pan nam jest winien! Najlepiej pan zrobi, jak zaraz wyjdzie, bo nie skredytujemy, ani za grosz.

— Jej Bohu! (Na Boga)! Do wieczora... Takaja kucza dienieg budiet! (kupę pieniędzy będę miał) — szeroko rozstawił ręce. — Nu, choziajin? (Więc gospodarzu).

— Nie mogę....

Marlicz domyślił się łatwo, że awanturujący się musi być byłym rosyjskim oficerem, nałogowym alkoholikiem, żebrzącym niemal o kieliszek wódki u gospodarza. Nie zdziwił go ten obrazek, gdyż podobnych wykolejeńców łatwo spotkać można wszędzie, a słowa Mongajłły potwierdziły te spostrzeżenia całkowicie.

— Ot, do czego prowadzi wódka! — wyrzekł sentencjonalnie, jakby zapomniawszy, że sam łyknął conajmniej osiem dużych kieliszków. — A to naprawdę były rotmistrz gwardii carskiej... Skończony człowiek, spił się ostatecznie.

— Zna go pan?

— Znam... Tylko nie patrz na niego kotusik, bo zaraz się do nas przyczepi, a ja...

Niestety, było za późno. Były rotmistrz gwardii carskiej odwrócił się raptem w kierunku sali, powiódł po niej swoimi gorejącymi, błędnymi oczami, spostrzegł Mongajłłę i twarz mu się rozpromieniła w szerokim uśmiechu. Odtrącił kelnera, który starał się go zatrzymać i zbliżył się do ich stolika.

— A jaśnie wielmożny pan dziedzic! — dawno was nie widał, staryj drug!

— No tak... No tak, kotusik! — wybąkał Mongajłło bez zbytniego zachwytu — i ja ciebie rad widzieć rotmistrzu... Tylko widzisz, my z tym panem — wskazał na Marlicza, jakby dając do zrozumienia, że ma do odgadnienia ważne z nim interesy.

— Ponimaju, (Rozumiem) — wymówił pijak, podczas,

gdy kelner przezornie usuwał krzesło. Ponimaju i nie budu wam mieszat'! Ale za spotkanie napijemy się wódki! Tu nieproszony pochwycił stojącą na stole butelkę, nalał sobie szklaneczkę, podniósł ją do góry, po czym wychylił do dna.

— Za zdrowie pana Mongajłły!

— Napiłeś się to i dobrze, kotusik! — oświadczył z niezmąconym spokojem Mongajłło. — Ale teraz zostaw nas samych... Jeśli ci potrzeba, bo nie bardzo chcą ci, słyszę, kredytować — wyciągnął z kieszeni kamizelki pięciozłotową monetę — bierz... Bierz, ale nie przeszkadzaj, mamy konferencję.

— Bieri i idi k czortu? (weź i idź do diabła) — syknął. — A myślisz pan Mongajłło, że nie wezmę? Dlatego, że mi dajesz jak żebrakowi, bylem tylko nie usiadł przy twoim stoliku? Wstydzisz się ze mną siedzieć? Bywszyj gwardiejec? A skolko raz prežde ty so mnoju wypiwał? (A ileż to razy piliśmy razem?) Właśnie wezmę, bo chcę, tylko...

— Co, tylko, kotusik? — zapytał Mongajłło i widać było, że zaczyna go niecierpliwić ta rozmowa.

— Tylko — szybko pochwycił leżącą na stole monetę — przychodź wieczorem do Bristolu! Zobaczysz, jak rotmistrz będzie szastał pieniędzmi... ha... ha... A tepier proszczaj! (A teraz do widzenia).

Obrzucił Mongajłłę i Marlicza złym spojrzeniem i odszedł od stolika. Nie miał również widać zamiaru za zdobytą piątkę pozostać w restauracji, bo szybko przeszedł przez salę i skierował się do wyjścia. W przejściu tylko warknął na gospodarza:

— Jeszczo budiesz mnie kłaniatsia, prochwost! (Jeszcze będziesz mi się nisko kłaniał ty...)

Mongajłło był zadowolony, że pozbył się natręta.

— Niemożliwy człowiek, kotusik, — począł wyjaśniać — niemożliwy... Urządza skandale. Zawsze chętnie mu dam pieniądze, byle tylko odczepił się. Inaczej, jak się napije, to całą salę rozwali... A jaki kiedyś był elegancki człowiek! Pamiętam go jeszcze z carskich czasów. Nawet po wojnie, miał swój majątek. Wszystko przepuścił.

— Po wojnie miał majątek? — zdziwił się Marlicz, gdyż sądził, że wykolejeniec jest rozbitkiem rosyjskiej rewolucji — Też pod Wilnem?

— Duży majątek. Pięć lat temu jeszcze bogaty był, kotusik. W rok, w dwa wszystko poszło.. Przez kobietę.... Zakochał się w jakiejś osobie, nie znałem jej, ale podobno miała być prześliczna... Tylko.. Oj, te kobiety, kotusik.. Rzuciła go, kiedy nie miał pieniędzy, a on teraz pije..

— A jak nazywa się ten były rotmistrz?

— Grzegorz Drangiel.

— Co?

— Czemuś tak się zdziwił, kotusik? Że z takiej dobrej rodziny i tak się opuścił? Naprawdę, stary rosyjski ród. Mają nawet tytuł baronowski. Słyszałeś kiedy o nich?

— Nie! — skłamał, nie mogąc oczywiście wtajemniczać Mongajłły w sprawę w jakiej go wysłano do Wilna.

— A takieś się zdziwił! Ale co tu sobie głowę zaprzątać takim pijakiem. Na szczęście diabli go wynieśli stąd, kotusik...

Tu Mongajłło znów powrócił do opowieści o swoich

interesach.

Więc tak wyglądał ów Drangiel, mąż Tamary, do którego Marlicz miał udać się o siódmej. Coprawda wnosząc z jej słów i z tego, że za pozwolenie na rozwód miał mu wypłacić pieniądze, był na to przygotowany. Ale żeby wyzbyć się do tego stopnia wszelkiej godności i tak stoczyć się na dno? Za kieliszek wódki gotów był poniżyć się do ostatecznych granic. Oczekiwał widocznie na przyobiecane pięć tysięcy i za nie z powrotem zamierzał odgrywać pana. To oznaczały jego przechwałki, że wieczorem pokaże wszystkim, co jeszcze potrafi.

Wyciągnąłby chętnie z Mongajłły, jakieś dalsze szczegóły z małżeńskiego pożycia Drangla z żoną, ale wnet poznał, że stary ziemianin, sam jest w nich mało poinformowany. Zresztą, tak go zaprzątał wyrąb lasu, że mimo zręcznych nagabywań Marlicza, wciąż powracał do poprzedniego tematu.

Nie dowiedział się tedy Marlicz niczego nowego i pocieszał się tylko w duchu, że rychło sam zobaczy Drangla. Gdy żegnał się z Mongajłłą, opuszczając restaurację, biła godzina szósta.

Tedy za godzinę.

Przesiedział ten czas w swoim numerze, po czym wyszedł na miasto i skierował się w stronę ulicy Jezuickiej. Znalazł się przed kamienicą, wymienioną w kartce, doręczonej mu przez Kuzunowa. Kamienica była stara, jednopiętrowa i jak dowiedział się od dozorcy, Drangiel mieszkał tam w oddzielnym pokoiku, na poddaszu. Szybko wspiął się po wąskich, brudnych, drewnianych schodach, i

znalazł się przed drzwiami na których widniał bilet: „Grzegorz baron Drangiel, b. rotmistrz lejb gwardii pułku ułanów i obywatel ziemski.“

Zastukał. Z za drzwi rozległy się pośpieszne kroki, rozwarły się szeroko drzwi i ukazał się w nich Drangiel. Widocznie oczekiwał niecierpliwie wysłannika i zdziwił się w pierwszej chwili, ujrzawszy Marlicza, którego niedawno widział w towarzystwie Mongajłły, sądząc, że ten od niego z jakimś poleceniem przybywa.

— Ach! Pan od Mongajłły?

— Nie! — zaprzeczył. — Przybywam od pana dyrektora Kuzunowa!

— Od pana dyrektora Kuzunowa! — widoczne zadowolenie odbiło się na twarzy carskiego rotmistrza. — Tak, to czemuż pan siedział z Mongajłłą? — nieufne błyski zagrały w jego oczach. — Czy ten stary chrycz wie coś o naszej sprawie?

— Nie, nic nie wie! — pośpieszył go uspokoić. — Poznałem przypadkowo pana Mongajłłę i równie przypadkowo znalazłem się z nim w restauracji. Mongajłło nie wie nawet, że pracuję w banku dyrektora Kuzunowa.

— Charaszo! Wojditie... (Dobrze! Proszę wejść). Wślad za Dranglem, znalazł się w małej izdebce, urządzonej więcej, niż skromnie. Przy jednej ze ścian stało drewniane, z porozrzucaną, mocno przybrudzoną pościelą łóżko, pośrodku zniszczony stół, a obok niego dwa nadwyrężone krzesła. Obdrapana komoda w rogu dopełniała tego biednego umeblowania. Widać było, że z pokoju tego zniknęło wszystko, mogące przedstawiać jakąkolwiek

wartość, wyprzedane zapewne na wódkę. Tylko, na ścianie obok siebie wisiały dwa portrety, dobre portrety, zrobione za czasów świetności przez pierwszorzędnego malarza. Jeden z nich przedstawiał Drangla w mundurze z szeregiem orderów na piersi, drugi Tamarę, w stroju balowym, uśmiechniętą, zagadkową i kuszącą.

— Proszę usiąść! — wskazał Marliczowi na jedno z krzeseł, znajdujących się obok stołu, na którym leżały zatłuszczone papiery z resztkami wędliny, niedojedzony kawałek kwaszonego ogórka, oraz stała napoczęta butelka wódki, prawdopodobnie nie dawno zakupiona za pieniądze Mongajłły. — Cóż mi pan przywozi! A może pan napije się wódki?

— Dziękuję! — odparł, zajmując miejsce. — Nie piję!

— A z Mongajłłą pan pił! Trudno, skoro pan taki dumny sam się napiję!

Nalał sobie pół szklanki i wychylił ją błyskawicznie.

Marlicz z odrazą spojrzał na niego. W domu, — Drangiel bez marynarki i kołnierzyka, z rozczochranymi włosami nad spoconym czołem i zaczerwienioną twarzą, wydawał mu się jeszcze więcej odrażający. Przy tym musiał być już pijany.

— Cóż pan mi przywozi? — powtórzył. — Czy są pieniądze?

— Oczywiście!

— Całe pięć tysięcy?

— Tak! — Marlicz wyciągnął paczkę z pieniędzmi z kieszeni. — Ale, wzamian miałem otrzymać papiery.

— Chwileczkę. A dyrektor Kuzunow wie za co płaci?

Marlicza zaskoczyło to pytanie.

— Chyba!

— I ja tak myślę! Bo ten pański dyrektor, to bardzo mądry człowiek. Kocha się w mojej żonie i chce się z nią żenić, ale przedtem pragnie dowiedzieć się wszystkiego. Coprawda, sam mu o tym napomknąłem.... ha — ha... Nie tak, jak my, Rosjanie — Jak zakochamy się, to niech będzie nawet zbrodniarka... —

W podnieceniu przeszedł się po izdebce. Marlicz milczał.

— Niech się dowie! — mówił dalej. — Właśnie chcę, żeby się dowiedział. A dla czego? Ja mam wziąść te kilka parszywych tysięcy złotych — rzucił łapczywe spojrzenie na paczkę banknotów, leżących na stole, z których Marlicz przezornie nie usuwał ręki — i dalej żyć jak pies? A ona, która mnie zrujnowała, ma być „jaśnie panią“? O, niech wszystkiego się dowie, a później się żeni — dam chętnie zezwolenie na rozwód.

Znów napełnił szklankę wódką.

— Niech się dowie — warknął — że piękna Tamara była tu w Wileńszczyźnie tylko skromną guwernantką... Że swymi intrygami doprowadziła do tego, że w domu, w którym pracowała, syn chciał dla niej zabić ojca i matkę. Że była uwikłana w głośny proces i przezywano ją nawet kobietą, która niesie śmierć! Że nie wiadomo, jakby cała ta sprawa skończyła się, gdybym ja się nie nawinął i z nią nie ożenił. No i nie zatuszował niektórych rzeczy. Ale, pozostały papiery... — Papiery, o które tak Kuzunowowi chodzi... — Ot, tam — wskazał na stojącą w rogu komodę.

— Dzięki tym papierom, łatwo ustalić, kogo Tamara namówiła do zbrodni...

Marlicz słuchał teraz tych zwierzeń z zapartym oddechem, pojmując czemu baronowej tak zależało na przejrzeniu tych papierów, czy też ich zniszczeniu.

— A ze mną, jak postąpiła? — Drangiel wciąż trzymał w ręku napełnioną szklankę. — Wyssała, a po tym odeszła. Myśli pan, że nie pragnęła mojej śmierci? Nie chcę gadać, ale kiedyś w potrawie też znalazłem truciznę. Za co? Za co? Za to, że ją kochałem, wszystko dla niej poświęciłem, nawet kłamałem przed sądem... Ale, ona chciała być tylko baronową i bawić się, a kiedy mój majątek strwoniła w przeciągu kilku lat, myślała jakby mnie się pozbyć na zawsze. A kiedy nie udało się, uciekła... Teraz jest szczęśliwą narzeczoną dyrektora Kuzunowa. Kobieta, która niesie śmierć...

— W takim razie — odezwał się Marlicz — powinien pan, panie rotmistrzu, być zadowolonym, że rozchodzicie się ostatecznie!

Drangiel raptem podniósł szklankę do ust i wypił jej zawartość do dna.

— Zadowolony? — powtórzył, a coraz bardziej czerwieniejąca twarz świadczyła, że alkohol ostatecznie uderzył mu do głowy. — Zadowolony? — Pochwycił mocno ramię Marlicza i rzekł: — Ja ją jeszcze kocham!

— Pan ją kocha! Po tym, co mi pan powiedział?

— Kocham ją — krzyknął. — I nie chcę, żeby była żoną Kuzunowa? Ponimajesz...?

— I dlatego bierze pan pieniądze za swoje rewelacje?!

— Marliczowi o mało nie wyrwał się ten wykrzyknik.

Choć w porę ugryzł się w język, Drangiel, mimo, że pijany, musiał odgadnąć jego myśli.

— I żeby wszystko zepsuć, dostarczam Kuzunowowi papiery, które sam mu zaproponowałem, kiedy po raz pierwszy zwrócił się do mnie o zezwolenie na rozwód i za to otrzymuję pięć tysięcy? Tak ty siebie dumajesz? — gadał już teraz z poufałością pijacką do Marlicza. — Cóż, piat tysiacz, bolszaja kucza dienieg! Mógłby za to rotmistrz Drangiel znów odgrywać pana i w „Bristolu“ i u „George‘a“. I znów kłanialiby mu się te same swołocze, którzy go stamtąd teraz za kark wyrzucają, bo nie mam pieniędzy. Nawet pan Mongajłło, który mi dał, jak żebrakowi pięć złotych — wypiłby ze mną szampana, ot, co... — Aj, kutnąłby rotmistrz Drangiel! Tylko... — tylko że ja nie chcę tych pieniędzy...

— Pan nie chce tych pieniędzy? — zawołał Marlicz, zdumiony.

— K czortu ich, naplewat‘! — ryknął nagle i pchnął ręką w kierunku paczki banknotów tak gwałtownie, że gdyby Marlicz nie cofnął ich pośpiesznie, napewno byłby je rozsypał po pokoju. — Naplewat‘! Drangiel jest były rotmistrz gwardii i za takie rzeczy pieniędzy nie bierze...

Marlicz miał teraz wrażenie, że rozgrywa się przed nim jakąś scena z powieści Dostojewskiego.

— Więc czego pan właściwie chce? — zapytał zlekka zniecierpliwiony.

— Czego ja chcę? Jak ja stoczyłem się na dno, niech i ona stoczy się na dno... Wot, kak... — wykonał ruch,

jakgdyby coś łamał gwałtownie. — Albo, niech się tarza u moich nóg... Nie chce być moją żoną, to będzie niczyją! Rozmyśliłem się, nie oddam nikomu tych papierów! Niech wie, że jest w mojej władzy i że zawsze mogę ją zniszczyć! Schowaj pan te pieniądze przeklęte! — znów tknął z wściekłością kciukiem w kierunku banknotów.

Marlicz pośpiesznie schował je do kieszeni. Więc, cała jego misja skończyła się fiaskiem i Drangiel, pod wpływem pijaństwa, wolał zemstę, niż pieniądze...

— A czy nie lepiejby było — usiłował jeszcze załagodzić sytuację — całą sprawę załatwić tak, jak początkowo było ułożone z dyrektorem?

— Nie! — twarz pijanego nabierała dzikiego, nieprzyjemnego wyrazu.

— Dlaczego? Skoro dyrektor znajduje się w posiadaniu papierów...

— Ha — ha — ha... — Ale ja ich się wyzbędę raz na zawsze. Nie będzie Kuzunowa, będzie inny... Nie chcę... — Nie choczu, ponimajesz? Zresztą, dla czego tak nalegasz? — Może umówiłeś się z nią, żeby je zniszczyć po drodze... — Toć, ja ciebie nie znam wcale...

Oskarżenie to, rzucone przez pijanego było tak nieoczekiwane, a bliskie prawdy, że Marlicz poczerwieniał gwałtownie. Czyżby Drangiel intuicyjnie odgadł wszystko?

— Panie!

— A...! — ryknął tamten. — Czerwienisz się? Dobrze trafiłem! Nie choczu z toboj rozgowariwat!

— Ależ..

— Uchodi! Nie dam pozwolenia na rozwód, ani

papierów! W tej chwili wychodź stąd!...

— Pan mnie obraża!..

— Ja... tiebia!...

Drangiel pochwycił się za tylną kieszeń, jakgdyby chcąc wydobyć browning, a Marlicz zerwał się ze swego miejsca.

Co miał robić? Przyszły mu na myśl słowa Mongajłły, że Drangiel po pijanemu jest zdolny do wszystkiego. Zacząć bójkę i narazić się na postrzelenie? Co o tym wszystkim powiedziałby Kuzunow, który wogóle nie wiadomo jak ustosunkuje się do niego, po niekorzystnym załatwieniu sprawy?

— Precz! — ryczał tymczasem pijany i wydało się Marliczowi, że w jego ręku błyszczy jakiś metalowy przedmiot.

— Dobrze, odchodzę! — wymówił cofając się do drzwi. — Ale rozmówię się jeszcze z panem, biedy będzie trzeźwy.

— Won, swołocz!...

Marlicz zniknął za drzwiami. Pośpiesznie zaczął schodzić ze schodów, zastanawiając się, co ma teraz dalej począć. Skomunikować się z Kuzunowem telefonicznie i opowiedzieć mu wszystko, czy też natychmiast powrócić do Warszawy? A jeżeli Drangiel napisze o swych podejrzeniach dyrektorowi?

Tak łamał sobie głowę nad sytuacją, w jakiej się znalazł, gdy wtem przy końcu źle oświetlonych schodów na dole zobaczył czyjąś postać, w pierwszej chwili niewyraźną w półmroku.

— Ma pan papiery? — posłyszał cichy szept.

To baronowa Tamara oczekiwała na niego.

ROZDZIAŁ IV.

TRAGEDIA.

— Ma pan papiery? — powtórzyła — Byłam taka niespokojna że umyślnie popołudniowym pociągiem przyjechałam do Wilna. Wolę je tu przejrzeć na miejscu...

— Niestety!... — szeptem począł jej opowiadać przebieg niezwykłej wizyty. — Nie chce brać pieniędzy i twierdzi, że nie da ani pozwolenia na rozwód, ani też papierów!

Na twarzy Tamary zarysował się wyraz niezwykłej stanowczości.

— Tak powiada? — syknęła. — Rozmyślił się... Nie chce dać papierów? Trudno, sama z nim się rozmówię!

— Pragnie pani, abyśmy powtórnie udali się do niego, na górę?

— Nie! — odrzekła szybko. — Pan pozostanie, ja tylko pójdę!

Drgnął.

— Nie radzę tego czynić! Jest pijany i wściekły! Mnie groził browningiem..

— Ach, więc ma browning? — zaśmiała się krótko — Nie obawiam się broni!

Zanim zdążył ją zatrzymać, już biegła po schodach.

Chciał pośpieszyć w ślad za nią.

— Nie opuszczę pani!

— Proszę pozostać! — rzuciła takim tonem, że zatrzymał się na miejscu. — Pańska obecność może tylko wszystko zepsuć.

Pozostał sam i nadsłuchiwał. Na górze rozległo się stukanie do drzwi, później rozwarły się one i dobiegł go zdziwiony wykrzyknik Drangla. Później posłyszał, że drzwi zamykają się z powrotem, widocznie Tamara bez przeszkód znalazła się w mieszkaniu męża.

Może miała rację, że chciała rozmówić się z nim sam na sam. Może najłatwiej sobie z nim poradzi. Toć bezwzględnie kochał ją jeszcze i pragnął zobaczyć za wszelką cenę.

Ale, jeśli Drangiel znów dostanie napadu szału? Marlicz mimowoli począł wstępować na górę. Nie zamierzał interweniować, gdyby rozmowa miała przebieg spokojny. O ile jednak posłyszy wołania o pomoc, bezwzględnie pośpieszy Tamarze z ratunkiem.

Stał teraz prawie pod samymi drzwiami Drangla. Nie dobiegały zza nich podniesione głosy i dokoła panowała kompletna cisza. W starym tym domu musiało mieszkać niewielu lokatorów i żaden z nich nie kręcił się po schodach.

Minuty upływały za minutami i oczekiwał tak może kwadrans, gdy wtem wydało mu się, że słyszy zza drzwi głośniejszy okrzyk. Już miał zbliżyć się do nich, gdy wślad za tym okrzykiem, rozległ się huk wystrzału.

Bu — u — m...

Ogarnęło go przerażenie.

— Ten łajdak zastrzelił Tamarę! — wykrzyknął prawie głośno i rzucił się do drzwi.

Były zamknięte na klucz. Już miał w nie uderzyć z całej mocy, gdy wtem w pokoju rozległy się kroki, zgrzytnął klucz i rozchyliły się one.

Na progu stała baronowa. Była niezwykle blada.

— Drangiel zastrzelił się! — wymówiła przyciszonym głosem, jakby unikając jego wzroku, po czym wnet dodała. — Czy nikt nie posłyszał wystrzału?

Chwilę nadsłuchiwali. Ale huk browninga widocznie nie dotarł do słuchu lokatorów, gdyż żaden z nich nie wyjrzał na klatkę schodową.

— Niech pan wejdzie do środka! — pociągnęła go za rękę, a gdy znalazł się w pokoju, zamknęła drzwi za nim.

Gdy wszedł, cofnął się mimowoli. Tuż koło stołu leżał wyciągnięty na wznak Drangiel, z jakimś wyrazem zastygłego przerażenia w oczach, a ze środka czoła, wąską strugą sączyła się krew. Ręce miał szeroko rozrzucone, a w jednej z nich trzymał browning, ale jakoś nienaturalnie, jakgdyby ta broń w ostatniej chwili została mu wciśnięta do dłoni.

Tak przynajmniej wydało się Marliczowi. Tłumiąc mimowolną odrazę zbliżył się i pochylił nad leżącym, przekonał się, że Drangiel bezwzględnie już zakończył życie.

— Zastrzelił się? — wybąkał, przejęty tym strasznym widokiem. — Przecież... poprzednio nie zdradzał samobójczych zamiarów?

— A jednak... — odrzekła cicho i znów unikała jego wzroku — strzelił do siebie tak niespodziewanie, że nie zdążyłam temu przeszkodzić.. Był pijany do nieprzytomności... Napad białej gorączki... Przeczuwałam, że w podobnym stanie, kiedyś ze sobą skończy... Kiedy mu oświadczyłam, że nie powrócę do niego błyskawicznie wyciągnął browning i...

— Dziwne! — szepnął, odsuwając od siebie straszne przypuszczenie, iż Tamara sama zastrzeliła męża, a później upozorowała samobójstwo. — Dziwne! — a w myślach mu przebiegło — Wszak to podobno, kobieta, która niesie śmierć...

— Nic dziwnego tak dalece tu nie ma! — wymówiła już teraz swym zwykłym stanowczym głosem. — Może i lepiej się stało, bo jakaż go oczekiwała przyszłość? Ale, nie traćmy czasu, ważniejsze nas oczekują zadania, a czas nagli. Czy nie domyśla się pan gdzie zmarły przechowywał papiery?

Wyrzekła to tak, jak gdyby już poczytywała Marlicza za wspólnika.

— Zdaje mi się, że w komodzie — wyrwało mu się mimowolnie, choć nadal nie mógł się otrząsnąć z poprzedniego wrażenia. — Coś o tym wspominał..

— Oczywiście! Tylko tam! — zawołała zbliżając się do komody. — Toć w tej izbie nie ma innego mebla, gdzie możnaby cośkolwiek schować...

W zamku górnej szuflady tkwił klucz i nie była zamknięta. Wysunęła ją i szybko zaczęła przetrząsać znajdującą się tam brudną bieliznę. Jej ręce błądziły

nerwowo wśród pomiętych koszul i kołnierzyków. Próżne jednak widocznie były te poszukiwania, bo na jej twarzy zarysowywał się coraz bardziej niespokojny wyraz.

— Tu nie.. Następna.

Skoro tylko otwarła następną, z jej piersi wyrwało się uczucie ulgi. W pustej prawie szufladzie leżała spora, zapieczętowana koperta z napisem: „Wielmożny pan dyrektor Jan Kuzunow!“

— Więc przyszykował dla niego papiery! — zawołała rozrywając ją prędko i przeglądając jej zawartość. — Rozmyślił się dopiero w ostatniej chwili! Niczego tu nie brakuje... Przepraszam, zgody na rozwód... No, teraz obejdziemy się i bez tej zgody...

Nie pokazując Marliczowi papierów, równie szybko schowała je za gors koszuli. Na jej twarzy zarysował się wyraz zadowolenia.

— To byłoby wszystko! — szepnęła. — Ale... — raptem nowa myśl zasępiła jej czoło. — Niech pan mi szczerze powie — zwróciła się do Marlicza — Co mój nieboszczyk mąż o mnie panu powiedział?

— Nic! — skłamał.

— Nic? — wpiła się weń wzrokiem. — Nie opowiadał panu o mojej przeszłości?

— Ni..e!

— Mówi pan nieprawdę! — nie dała się zwieść jego zaprzeczeniom. — Napewno musiał panu naopowiadać o mnie jakichś niesłychanych bredni! Tak samo, jak te papiery, które schowałam w gruncie nic nie znaczą, ale przez osoby niechętne mogłyby być różnie komentowane.

Ale nie pora teraz na podobną rozmowę. Musimy natychmiast opuścić ten pokój, żeby nas tu ktokolwiek nie zastał obcy... tylko..

— Tylko?

— Na wszelki wypadek kilka wskazówek.. Ja wyjdę pierwsza i mam nadzieję, pan równie niepostrzeżenie się wydostanie... Ale gdyby trafem inaczej się stało, musi pan wiedzieć co ma mówić i jak się tłumaczyć...

— Jakie wskazówki? — jeszcze nie rozumiał.

— Oczywiście — wyjaśniała — nigdy nie byłam w tym pokoju i nie może pan się zdradzić, gdyż tajemnicą jest mój pobyt w Wilnie. Co się zaś pana tyczy, to przybył pan z polecenia dyrektora Kuzunowa do zmarłego Drangla po papiery, ale okazało się, że ten żadnych papierów nie posiadał, a okłamywał was tylko, chcąc wyłudzić od Kuzunowa kilka tysięcy złotych. Kiedy pan o tym się przekonał i odmówił stanowczo wypłacenia pieniędzy, pijany Drangiel, w napadzie furii, odebrał sobie życie. Tę wersję powtórzy pan również Kuzunowowi. Rzecz zrozumiała, że o ile pana nikt nie zobaczy, kiedy będzie wychodził z tego pokoju, nie potrzebuje pan opowiadać że Drangiel przy panu popełnił samobójstwo. Nastąpiło to, gdy już nie było pana...

— Ależ! — zawołał, przerażony — ja nie mogę tak kłamać! W co pani mnie wciąga? W jakieś niesłychane błoto! — Podeszła do niego blisko.

— Głupcze! — powtórzyła. — Pamiętaj, że Kuzunow jest stary, a ty młody.... Że od ciebie tylko zależy, abyśmy stanowili nierozerwalną spółkę i należeli do siebie... Czyż

nie rozumiesz, że nie przemawia przeze mnie tylko wdzięczność, że okazujesz mi wielką usługę, a podobasz mi się jednocześnie, jako mężczyzna...

Przywarła do niego całym ciałem i patrzyła na niego kusząco. A pod wpływem tego spojrzenia Marlicz zapomniał nie tylko o niedawnych swoich posądzeniach, ale i o tym co mu opowiadał niedawno Drangiel. Nawet o tym, że ten nieszczęśnik, zapewne jej ofiara, leży tu obok niego w pobliżu z przestrzelonym czołem.

— Zrobisz więc, jak powiedziałam — szeptała dalej, otoczywszy teraz jego szyję ramieniem, — gdy wyjdę, przeczekasz dziesięć minut i postarasz się równie szczęśliwie wydostać. O ile nikt nas nie zobaczy, wygraliśmy całkowicie sprawę. A kiedy wydostaniesz się niespostrzeżenie, w co nie wątpię, przyjdź do mnie za godzinę. Mieszkam również w hotelu „Bristol“; na pierwszym piętrze, tylko pod nazwiskiem Malskiej. To moje panieńskie nazwisko. Zachowałam z tych czasów paszport i dla tego bezpiecznie mogłam przyjechać do Wilna. Przyjdź, będę oczekiwała ciebie... Chyba, chcesz spędzić noc razem ze mną?...

Raptem jej gorące wargi przylgnęły do jego ust i poczuł, że kręci mu się w głowie. Lecz, wnet oderwała się od niego, na palcach podbiegła do drzwi, ostrożnie zajrzała za nie, a przekonawszy się, że nikogo nie ma na schodach, wślizgnęła się w nie, iście kocim ruchem i za nimi znikła.

A tak była pewna wygranej, że oczekiwała nawet na odpowiedź Marlicza.

Miała słuszność. Ten nie usiłował nawet walczyć ze

sobą. Zbliżył się do uchylonych drzwi i nadsłuchiwał z niepokojem, czy Tamara szczęśliwie, nie napotkawszy domowników zejdzie ze schodów. Odetchnął dopiero z ulgą, gdy ucichł odgłos jej kroków.

Po upływie dziesięciu minut opuścił tragiczny pokój. I tym razem schody były puste. W ponurej izdebce pozostał tylko martwy Drangiel z zastygłym wyrazem grozy na twarzy, jakgdyby chciał rzec:

— Strzeż się kobiety, która niesie śmierć!

Ale Marlicz był głuchy na to ostrzeżenie.

— — — — — — — — — — — — — — —

Chociaż śród upojnej nocy, jakiej nigdy Marlicz nie zaznał jeszcze z żadną kobietą, — wydawało snu się że w półmroku pokoju, oświetlonego przesłoniętym abażurem nocnej lampki, widzi przed sobą straszliwą twarz Drangla, a nawet dostrzega krople krwi, spływające po rękach kochanki. Były to oczywiście, tylko przywidzenia i szybko otrząsnął się z nich. Mało tego, że Tamara prędko zdążyła z niego wyciągnąć, to co zmarły opowiedział mu przed śmiercią, tak mu te fakty wytłumaczyła, że przysiągłby, iż była stale ofiarą najfatalniejszych zbiegów okoliczności. Grzegorz Drangiel szantażował ją podle i właściwie, znakomicie uczynił, że odebrał sobie życie. Słowem, rychło należał do niej duszą i ciałem. Inna natomiast trapiła go myśl:

— Tamaro! — zapytywał. — Czy ty naprawdę mnie kochasz? Zależy ci na mnie?

— Jakże możesz o to zapytywać? — uśmiechała się, a tylko jej powieki o niezwykle długich rzęsach, przezornie zakrywały zielone oczy, istne oczy drapieżnika. — Czyż inaczej znajdowałbyś się przy mym boku? I nie nazywaj mnie Tamarą... Dla ciebie, jam Mara... — Twoja Mara!

Długi pocałunek złączył ich usta.

Tamara była teraz całkowicie spokojna i pewna o Marlicza. A tam w piecu papiery, te papiery, o które tak lękała się, zamieniły się w kupkę popiołu. Nawet ten popiół został starannie porozrzucany i wszelki ślad przeszłości zaginął.

Tylko...

Kiedy Marlicz, o czwartej rano opuszczał pokój Tamary, spotkała go pewna przygoda, o ile to wogóle przygodą nazwać można. Tuż koło jej numeru natknął się na Mongajłłę. Starszy pan, nie mogąc zapewne zasnąć po zbyt obfitej kolacji i zmuszony do pewnych dyskretnych wizyt w nocy, kroczył naprzeciw w szlafroku.

— Kotusik! — zawołał, ujrzawszy Marlicza ze zwykłą sobie rubasznością. — Wiem gdzieś ty mi przepadł. Szukam ciebie cały wieczór, bo nudziło mi się, staremu... — Nigdzie znaleźć cię nie mogłem... Teraz rozumiem! Winszuję, Kotusik — Winszuję..

— Czegoż pan mi winszuje? — zapytał, niezbyt uprzejmie, podrażniony niedyskrecją starego.

— Fiu... fiu! — zagwizdał Mongajłło, mrużąc oko. — Taka kobieta... Pani Malska! — Dobrze przyjrzałem się jej wczoraj, Kotusik, kiedy wchodziła do swego numeru. A nawet zapytałem się służącej o nazwisko... Toć to Venus!

Ty, o czwartej od niej? — No, no... — Ale bądź spokojny, Kotusik, nie powiem nikomu...

— A może pan opowiadać! — burknął. — To moja narzeczona i niedługo nasz ślub!

— Narzeczona?

Ale Marlicz, nie wdając się w dalszą pogawędkę, uścisnął tylko rękę starszego pana i szybko oddalił się do swego numeru.

Nie wiadomo czemu, wściekły był, że dziwnym zbiegiem okoliczności natknął się na starego oryginała, gdy cały hotel był jeszcze uśpiony i na dnie duszy czuł dziwny niepokój.

Ale, Mongajłły chyba nie spotka więcej? Również nie zamierzał mu opowiadać w jaki sposób zakończył niesławny żywot jego przyjaciel, były rotmistrz gwardii carskiej.

Rozdział V

SZCZĘŚCIE DYREKTORA

Nazajutrz w godzinach popołudniowych, gdy bank był już oficjalnie zamknięty i tylko paru urzędników na ogólnej sali układało jakieś spieszne wykazy, dyrektor Kuzunow, znajdował się w gabinecie.

Siedział nie za biurkiem, a na dużej, obitej zielonym suknem otomanie, stojącej w rogu pokoju, naprzeciw zaś, w

klubowym fotelu, przedzielonym od kanapy okrągłym, mahoniowym stolikiem, zajmował miejsce doktór Lund, jego kuzyn i serdeczny przyjaciel.

Choć rozmowa była prowadzona niemal szeptem, musiała być ożywiona, gdyż Kuzunow raz po raz niespokojnie poruszał się na kanapie.

— Przepraszam cię bardzo, Janie — mówił cicho Lund — jeśli wyrządzam ci przykrość. Ale wprost za obowiązek sumienia uważałem sobie, powtórzyć ci to wszystko i cię ostrzec.

— Nie cierpisz Tamary — Kuzunow niecierpliwie potrząsnął głową — i od samego początku pragnąłeś, abym zerwał tę znajomość — szczególnie kiedy dowiedziałeś się, że mam zamiar ożenić się z nią. Ale, cóż ty właściwie konkretnego możesz jej zarzucić?

— Raz jeszcze ci powtarzam, że bardzo różnie mówią o niej... Przezywają ją nawet „kobietą, która niesie śmierć“.

— Głupie plotki... Wiem, o co ci chodzi. Była zamieszana w proces i uniewinniona. Później, jej mąż wykorzystał to i przedstawił wszystko w złośliwym świetle.

— A ta historia na moście? — (Lund był jednym z nieznajomych, którzy obserwowali, jak Tamara doręczyła Marliczowi pieniądze na moście Poniatowskiego) — Przyznaj, że w każdym razie zachowuje się dziwnie? Znajdował się ze mną przypadkowo jeden z detektywów prywatnych, którego osoba pani Tamary interesuje mocno i wprost oświadczył, że ma wrażenie, iż knuje ona coś niewyraźnego.

Kuzunow począł nerwowo poprawiać perłę w krawacie.

Chwilami opadała z jego twarzy zimna maska, którą starał się nosić, niczym prawdziwy syn Albionu.

— Jak wyglądał ten młody człowiek?

— Twarzy nie mogliśmy dobrze rozróżnić. Ale, był wysoki, szczupły, elegancko ubrany. Coprawda, muszę zaznaczyć, że nie robiło to wrażenia miłosnego spotkania. Pani Tamara doręczywszy pieniądze, odjechała natychmiast nie podając mu nawet ręki.

Choć rysopis ten odpowiadał całkowicie wyglądowi Marlicza żadne podejrzenie nie zbudziło się w głowie dyrektora. Raczej ucieszyły go ostatnie słowa Lunda.

— Więc, nie miłosne spotkanie. To, co opowiada jakiś stary, pokątny szpicel jest dla mnie mało przekonywujące! Możliwe, że Tamara zwracała jakiś dług, lub pragnęła dopomóc znajomemu.

— O północy, na moście Poniatowskiego? Wszystko to wygląda bardzo podejrzanie.

Kuzunow powstał z kanapy, jakby pragnął przerwać niemiłą rozmowę.

— Każdą rzecz można dowolnie tłumaczyć! — oświadczył. — Cenię twoją przyjaźń Alfredzie, wiem, że, powtarzając mi te niemiłe rzeczy, wyłącznie powodujesz się dobrem moim i dlatego również odpowiem ci szczerze. Mam blisko lat sześćdziesiąt, posiadam pewne doświadczenie życiowe i nie pędzę na oślep w przepaść, jak to wy, moi przyjaciele przypuszczacie, skoro wciąż przychodzicie mnie ostrzegać. Więcej nie powiem. Na skutek tych właśnie ostrzeżeń, postanowiłem sprawdzić niektóre momenty z życia Tamary — nie nadmienił, że mąż

jej, Drangiel, sam zaofiarował się z dostarczeniem kompromitujących dokumentów — i jeśli będą odpowiadały prawdzie to zerwę z nią... — Jeśli zaś okażą się plotkami, sami przekonacie się, jaką wyrządziliście krzywdę z gruntu przyzwoitej kobiecie, znosząc mi te kalumnie....

— Szczerze cieszę się. — Lund również powstał z miejsca, — że zdecydujesz się sprawdzić wersje krążące o pani Tamarze. Jeszcze więcej będę rad, gdy przejrzysz ostatecznie.

Kuzunow z trudem stłumił odruch gniewu.

— Pozwól, że o tym sam zadecyduję!

Kiedy Lund opuścił jego gabinet, niecierpliwie przeszedł się parokrotnie po pokoju.

Zdenerwowały go już nie tyle słowa Lunda, bo przywykł do tych ostrzeżeń, wywołanych rzekomą życzliwością dla niego, a które w gruncie poczytywał za zwykłą złośliwość ludzką, co brak wiadomości od Marlicza. Spodziewał się, że dzisiaj rano powróci, a jego jeszcze nie było. Toć odebranie papierów od Drangla i wypłacenie za to odpowiedniej sumy nie przedstawiało skomplikowanej sprawy. Ale, cóż zawierają te papiery o których treści Drangiel wspominał tylko ogólnikowo. Kuzunow pragnął je mieć jaknajprędzej, a jednocześnie obawiał się tej chwili, gdy ostatecznie znajdą się w jego rękach. Lecz, czemuż Marlicz nie wraca?

Raptem rozległo się pukanie do drzwi.

— A, pan... — mało nie zawołał radośnie, ujrzawszy przed sobą Marlicza.

— Panie dyrektorze — ten począł tłumaczyć, znalazłszy się w gabinecie — zaszły takie okoliczności, że nie mogłem wyjechać rannym pociągiem (okolicznością tą była wizyta w numerze Tamary) i powróciłem dopiero przed chwilą. Szukałem nawet pana dyrektora w domu, ale powiedziano mi, że znajduje się w banku.

— Papiery pan ma?

— Niestety...

Niezadowolenie zarysowało się na twarzy Kuzunowa.

— Proszę mówić prędzej. Co zaszło?

— Ten pan Drangiel — począł recytować, ułożoną z Tamarą relację swych przygód w Wilnie — wogóle nie posiadał papierów i chciał tylko wyłudzić pieniądze... — Kiedy przekonałem się o tym, nie dałem mu pieniędzy!..

Wyciągnął paczkę banknotów z kieszeni i położył ją na biurku dyrektora.

Twarz Kuzunowa, zazwyczaj pochmurna, rozjaśniła się raptem w uśmiechu pełnym zadowolenia.

— Więc nie miał papierów — zawołał ucieszony, że dowody mające skompromitować Tamarę, okazały się fikcją. — Kłamał najzwyczajniej... Cóż to za człowiek, wogóle, ten Drangiel?..

— Był to nieszczęśliwy wykolejeniec, który z pijaństwa ostatecznie stoczył się na dno, od którego odsunęli się wszyscy i który za kieliszek wódki gotów był uczynić, co kto chciał... Mówię był, gdyż nie żyje....

Kuzunow otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

— Nie żyje?!

— Tak — pobiegła dalej kłamliwa relacja i Marlicz, nie

czerwieniąc się nawet, począł opowiadać o szczegółach, w jakich rzekomo odbyło się samobójstwo. — Zastrzelił się w kilka minut, po mojej wizycie... — Zapewne w napadzie białej gorączki, gdyż w czasie rozmowy ze mną już był nieprzytomny. Może ze złości, że przyłapałem go na chęci oszukania pana dyrektora i nie dałem pieniędzy. Dość, że nie żyje. Oto, dlaczego dłużej zabawiłem w Wilnie. Chciałem się przekonać, czy mimo wszystko nie pozostawił jakiegoś listu...

— I cóż?

— Absolutnie, nic..

Marlicz obserwował ukradkiem twarz dyrektora i stwierdził w duchu, że gdyby przyniósł mu wiadomość, że zarobił na giełdzie parę milionów złotych, nie uczyniłby mu większej przyjemności. Twarz Kuzunowa prawie promieniała. Nic dziwnego. Nie tylko Tamara wychodziła całkowicie czysta z tej sprawy, ale ostatnie trudności rozwodowe, dzięki niespodziewanej śmierci Drangla, zostały usunięte.

— Panie Marlicz — mocno potrząsnął ręką swego urzędnika — wyświadczył mi pan znaczną przysługę, której panu nie zapomnę. Domyślił się pan, zapewne, że to o daleko poważniejsze rzeczy chodziło, niż o zwykłe przywiezienie papierów i poznał pan niektóre bardzo poufne sprawy z mego życia. A ponieważ, ze swej misji wywiązał się pan bez zarzutu, zaczynam go traktować od dziś, jako bliskiego mi człowieka. Sądzę, że pani Tamara Dranglowa, moja narzeczona, z którą obecnie w najbliższej przyszłości, mogę się ożenić, również będzie panu

wdzięczna. Chcę pana nawet przedstawić jej, żeby to wyraziła panu osobiście. Zechce więc pan przybyć o dziewiątej wieczór do restauracji „Europa“, gdzie będziemy na kolacji. Sądzę, że to zaproszenie nie czyni panu przykrości?

— Och, panie dyrektorze! — zawołał i po raz pierwszy poczuł, że ogarnia go piekący wstyd i poczyna się brzydzić samym sobą. — Naprawdę...

— O dziewiątej! — powtórzył Kuzunow i raz jeszcze uścisnął rękę.

Kiedy Marlicz znikł, szybko pochwycił słuchawkę telefoniczną i począł nakręcać na tarczy pożądany numer.

— Byle tylko wyzdrowiała! — pomyślał — jeszcze będę musiał odwołać zaproszenie!

Istotnie, od wczoraj Tamara była dla dyrektora niewidzialna. Nic dziwnego, gdyż znajdowała się w Wilnie. Oficjalnie jednak, nazywało się, że cierpi na niezwykle silną migrenę, przedłużającą się bez końca i taką odpowiedź otrzymywał od jej pokojówki, gdy wciąż telefonicznie zapytywał o zdrowie ukochanej. Przypuszczał tylko, że ta migrena jest wywołana niepokojem, jaka nadejdzie odpowiedź od Drangla, gdyż chociaż ukrył przed nią, że Drangiel ofiarowywał mu jakieś papiery, zawierające rewelacje, wiedziała ona, że z jego ramienia udał się urzędnik do Wilna po zezwolenie na rozwód, co też otrzymać było niełatwo.

Tym razem jednak, migrena Tamary minęła w cudowny sposób i gdy tylko nakręcił pożądane numery, posłyszał jej głos na drugim końcu telefonicznego drutu. Co prawda,

mocno przyciszony, jak przystało na kobietę, która po męczącym cierpieniu, z trudem przychodzi do siebie...

— Słucham! Ach, to ty, Janie...

— Tak, ja! — Jak się czujesz, Maro?

— Dziękuję, znacznie lepiej...

— Mam wrażenie, że wyzdrowiejesz niedługo ostatecznie. Powrócił mój urzędnik z Wilna..

— I cóż? — udała zaniepokojenie...

— Drangiel nie żyje! — począł powtarzać, znane jej świetnie szczegóły, zatajając tylko historię o papierach. — Nic nie stoi na przeszkodzie naszego ślubu...

— Nie żyje, biedak! — udała, że wiadomość ta wywarła na niej wrażenie. — Wiele uczynił mi krzywdy, w każdym razie...

— Możemy tedy — przerwał Kuzunow te czułe wywody — od dziś występować jako narzeczeni... Za nasz rychły związek wypijemy buteleczkę szampana w „Europejskim“. Chyba, czujesz się na tyle dobrze, że mi nie odmówisz...

— Właściwie, czuję się jeszcze fatalnie... I ta wiadomość o Dranglu. — Ale, czego nie zrobiłabym dla ciebie, Janie...

— Przed dziewiątą przyjadę do ciebie samochodem... Ale, zapomniałem powiedzieć...

— Co takiego?

— Taki byłem ucieszony, kiedy powrócił mój urzędnik, z tą wiadomością, że i jego zaprosiłem. Chyba nie zrobi ci to przykrości...

— Pewnie jakaś nudna figura? — wzgardliwie zabrzmiał głos Tamary.

— Przeciwnie! Młody, przystojny, bardzo dobrze

ułożony. Nazywa się Marlicz.

— Ach, niech będzie... ten Paslicz — czy jak tam się nazywa...

Marlicz, punktualnie o dziewiątej znalazł się w restauracji „Europejskiej“. Kuzunowa jeszcze nie było. Wnet jednak zbliżył się do niego zarządzający, a dowiedziawszy się na kogo czeka, oznajmił, że pan dyrektor zamówił stolik telefonicznie i prosił, aby panu Marliczowi powiedzieć, że wraz z panią przybędzie lada chwila.

Wobec tego oświadczenia, zajął miejsce przy wskazanym stoliku i zapalił papierosa. Czuł się trochę zdenerwowany. Czy potrafi zachować należyte pozory obojętności, gdy Tamara się zjawi.

Gdy tak siedział zamyślony, zaciągając się dymem, raptem czyjaś dłoń z tyłu opadła poufale na jego ramię.

Obejrzał się. Za nim stał „Kotusik“, który zgodnie ze swoją zapowiedzią również powrócił do Warszawy i widocznie mieszkał w „Europie“.

— A... pan? — wymówił bez zbytniego zapału, chcąc się jaknajprędzej pozbyć nudziarza.

— Cóż się tak dziwisz? — Mongajłło potrząsał jego rękę niedźwiedzią łapą i cieszył się, niczym najserdeczniejszym przyjacielem. — Toć mówił Kotusik, że tu jadę, tylkoś ty na mnie nie chciał zaczekać. Taki byłeś rozamorowany z twoją narzeczoną...

— Jaką narzeczoną? — nie rozumiał w pierwszej chwili, zapomniawszy, że w ten sposób mu przedstawił Tamarę.

— No, ta, coś od niej, Kotusik, z numeru wychodził!

Takeś mi powiedział... że, niby wasz ślub niedługo...

— Tak, tak...

— Widzisz, Kotusik! Co ty już nie pamiętasz, jaką masz narzeczoną? Aj, baba, śliczna baba... Kotusik, można tu się do ciebie?..

— Niestety! — wyrzekł sztywno, chcąc się odczepić ostatecznie od Mongajłły. — Oczekuję, właśnie ją... Bardzo mi przykro, ale dziś nie mogę służyć towarzystwem, może innym razem.

Kresowiec nie obraził się o tę chłodną odprawę.

— Oczekujesz? A... to nie będę przeszkadzał... Wiesz, co? Pójdę z „Europy“... Nikogo ze znajomych tu nie ma, a samemu pić, nudno... W innej knajpie może spotkam kompana.

Uścisnął rękę Marlicza, że aż zatrzeszczały kości i znikł. Ten, odetchnął z ulgą. Odejście Mongajłły z restauracji było mu wysoce na rękę i zadowolony był, że go nie zobaczy w towarzystwie Kuzunowa i Tamary. A nuż znał dyrektora? Jakiś dziwny niepokój ścisnął sercem Marlicza.

— W każdym razie — pomyślał — dobrze się stało, że diabli stąd wynieśli tego starego byka! Też licho nadało, żem go musiał spotkać na korytarzu w hotelu i ratując honor Tamary, powiedziałem mu, że to moja narzeczona. Jeszcze wynikną z tego przykrości. Et, chyba żadne... Teraz, na szczęście wyszedł, a jutro pewnie wróci do Wilna...

Dalsze rozmyślania przerwało ukazanie się Tamary i Kuzunowa w drzwiach sali restauracyjnej. Marlicz zerwał się ze swego miejsca i pośpieszył na ich spotkanie.

Tamara, w czarnej, lśniącej, głęboko wyciętej wieczorowej sukni wyglądała jeszcze ponętniej, niż zazwyczaj. Tylko lekkie cienie pod oczami świadczyły o tragicznych przeżyciach i bezsennie spędzonej nocy.

— Pan Jerzy Marlicz! — przedstawił go dyrektor.

— Bardzo mi miło! — wymówiła, nie patrząc na niego i podając obojętnie rękę do pocałunku.

Lecz, jeśli piękna kobieta zachowywała się istotnie tak, jakgdyby po raz pierwszy widziała go w życiu, Marlicz nie mógł powstrzymać mimowolnego drżenia i czerwień raptowną falą zalała jego policzki.

Na szczęście, Kuzunow tak był zaprzątnięty własnym szczęściem, że nie zwrócił uwagi na zmieszanie podwładnego. A może przypisał je wrażeniu, jakie wywarła na niego uroda narzeczonej i był z tego dumny.

— Siadajmy! — zawołał. — I tak pan Jerzy dość się naczekał, ale pani Tamara była cierpiąca i ledwo udało mi się ją nakłonić do odwiedzenia restauracji!

Zajęli miejsca przy stoliku i wnet pani kelnerów wraz z maitre d‘hotel‘em zaczęli na nim ustawiać butelki i zakąski. Dzięki temu Marlicz ochłonął całkowicie a nawet popatrzył na Tamarę. I ona rzuciła mu ukradkiem wiele znaczące spojrzenie, które mówiło:

— Bądźże mężczyzną! Przecież widzisz, wszystko idzie znakomicie!

Istotnie, wszystko szło znakomicie. Kuzunow był taki ożywiony i rozmowny, że Marlicz nie mógł wyjść z podziwu, pamiętając go stale, jako sztywnego i cedzącego słówka zwierzchnika. Sypał żartami, zamawiał

najwyszukańsze potrawy, a gdy zgodnie z zapowiedzią złocisty szampan zaperlił się w kieliszkach, wymówił serdecznie do niego:

— Sam pan rozumie, że dzisiejsza kolacja jest naszą cichą ucztą zaręczynową!

— Wobec tego — zawołał Marlicz, którego opuściło całkowicie początkowe zażenowanie — pozwolę sobie wznieść zdrowie pana dyrektora i jego pięknej narzeczonej! — Tu uniósł się nieco z miejsca.

Kuzunow podziękował mu skinieniem głowy, a Tamara uśmiechem. Trącili się kieliszkami.

— Tak! — rzekł dyrektor po chwili. — Dzisiejszy wieczór będzie należał do najpiękniejszych w moim życiu i tych, którzy w nim wzięli udział będę stale poczytywał za moich przyjaciół!

Była to wyraźna aluzja do Marlicza.

— Sądziłam, że sprowadzisz jakiegoś nudziarza, — dodała Tamara, znakomicie grając komedię — tymczasem pan Marlicz jest bardzo miły!

Marlicz pochylił głowę, a pod wpływem drugiego kielicha szampana, znikały resztki skrupułów. Nie zastanawiał się już nad tym, że popełnia podłość. Przeciwnie, przed jego podnieconą wyobraźnią poczynały się rysować zawrotne horyzonty. Przy pomocy Tamary będzie awansował niezwykle szybko, stanie się prawą ręką, kto wie, może zastępcą Kuzunowa, finansowego potentata. Ileż korzystnych zmian zaszło w ciągu tych kilku dni od czasu, gdy on, mały urzędnik — defraudant pragnął sobie odebrać życie. A że to, co uczynił nie zgadzało się zbytnio z

oficjalną moralnością, nie należało się tym przejmować.

— W podłożu każdej szybkiej kariery — starał się usprawiedliwić w duchu, przeczytanym gdzieś sofizmatem — leży stale wielkie świństwo.

Drgnął raptem, gdy tak rozmyślał. Spostrzegł ze zdziwieniem, że w drzwiach sali restauracyjnej ukazał się z powrotem Mongajłło który widocznie, nie znalazłszy kompana, raz jeszcze tu zajrzał, przed udaniem się na spoczynek.

— Znowu go tu diabeł przyniósł! — pomyślał. — A cóż to właściwie może mnie obchodzić?! — Jest gruboskórny, ale nie ośmieli się podejść do stolika, skoro zauważy, że siedzę w obcym towarzystwie — Zresztą, uprzedzałem go...

Ale znów wstrząsnął nim nieokreślony niepokój.

— Niedobrze, że mnie widzi powtórnie z Tamarą. Ależ, żeby już prędzej sobie poszedł...

Tymczasem towarzyski „kotusik“ nie myślał o odejściu. Uważnie rozglądał się po sali i wreszcie zatrzymał swój wzrok na ich stoliku. Popatrzył i zaczął się uśmiechać... Ale choć początkowo można było sądzić, że cieszy się, widząc razem „narzeczeńską parę“ — Marlicza z Tamarą — ten uśmiech skierowany był nie do nich. I wtedy stało się to najstraszniejsze.

Mongajłło powoli, niczym niedźwiedź począł się toczyć do ich stolika, a zatrzymawszy się przed nimi o kilka kroków, uśmiechnął się jeszcze serdeczniej i otwierając szeroko ramiona, jakby kogoś pragnął porwać w objęcia, huknął swym tubalnym głosem.

— Janek! Kotusik! Kogo ja widzę?! Stary druchu, jaki

jestem rad, żeśmy się spotkali!

— Ach, to ty, Onufry?! — równie radośnie zawołał Kuzunow, spostrzegłszy Mongajłłę i, podniósłszy się ze swego miejsca, zbliżył się do niego.

Podczas, gdy przyjaciele poczęli się ściskać i całować, zimne ciarki przebiegały wzdłuż pleców Marlicza. Stało się to, czego się obawiał najbardziej. Mongajłło znał widocznie doskonale Kuzunowa i nieszczęście chciało, że spotkali się tu wszyscy w restauracji „Europejskiej“. Zaraz bomba pęknie.

— Ten bencwał widział nas w Wilnie! Mieszkał w „Bristolu“! — szepnął, zdławionym głosem, nachylając się do Tamary. — Jest głupi. Obawiam się, że wszystko wypaple!

— Niemożliwe! — zabrzmiała jej cicha, przestraszona odpowiedź i widział, że zbladła.

Tymczasem Kuzunow, wypuszczony z niedźwiedzich objęć kresowca, zaprosił go serdecznie do stolika.

— Chodź, Onufry! Będzie nam bardzo miło! Nie będziesz nam wcale przeszkadzał...

— Z przyjemnością, kotusik!

Marlicz najchętniej zapadłby się teraz pod ziemię.

— Jak tu dać do zrozumienia temu idiocie — myślał niespokojnie — żeby trzymał język za zębami?

Niestety, było już zapóźno.

Dyrektor, podprowadziwszy go bliżej, począł przedstawiać:

— Pan Mongajłło, mój stary przyjaciel... Moja narzeczona... Pan Marlicz, urzędnik mego banku...

Mongajłło, wprawdzie ucałował wyciągniętą rączkę Tamary, uśmiechając się z przymusem, nawet klepnął Marlicza po ramieniu, ale wnet na jego obliczu odbiło się zdziwienie.

— Czyja narzeczona, kotusik?

— Moja! — z uśmiechem powtórzył Kuzunow, sądząc, że kresowiec jest już po kilku dobrych kieliszkach i dla tego orientuje się z trudem.

— Twoja? Nie pana Marlicza?

— Cóż to znaczy? — dyrektor spoważniał raptem. — Znasz pana Marlicza?

— Jak go mam nie znać? — walił dalej gruboskórny „kotusik". — Toż, my się spotkali w Wilnie... I pani tam była, mieszkała w „Bristolu". Sam mi powiedział że to jego narzeczona.

— Co takiego?

Tamara podniosła się z miejsca.

— Ten pan jest naprawdę pijany! — starała się uratować sytuację. — Sam nie wie co plecie! Ja miałam być w Wilnie? A... — zaśmiała się nerwowym śmiechem. — Chyba mój sobowtór! Chodź, Janie, jestem zmęczona, pojedziemy do domu!

— Głupstwa pan gada! — zawołał Marlicz czerwony, jak burak. — Nigdy panu nic podobnego nie mówiłem! Źle pan mnie zrozumiał!

Ale słowa te dolały tylko oliwy do ognia i rozdrażniły ostatecznie ambitnego kresowca.

— Ja mam głupstwa gadać, kotusik? To wy tu robicie jakieś szacher macherki, z których nic nie rozumiem!

Mieszkała pani wczoraj jeszcze w Wilnie, pod nazwiskiem Malskiej, a ten pan — wskazał na Marlicza — wychodził od pani w nocy z numeru... To skąd ja mogłem wiedzieć, że o tym mówić nie wolno? A teraz dowiaduję się, że pani jest narzeczoną Kuzunowa! Wy przed nim, kotusik, macie jakieś tajemnice! Rozumiem, dlaczego pan Marlicz przed tym nie chciał, żebym podchodził do waszego stolika! Ot, co jest, kotusik!

Kuzunow był blady, jak płótno. Pojął, że Mongajłło nie kłamie. I to spotkanie w Wilnie i panieńskie nazwisko Tamary dało mu wiele do myślenia. Więc, był najbezczelniej oszukiwany i rację mieli ci, którzy go ostrzegali. Podobna przewrotność! Tamara zdołała już usidłać Marlicza, ten wychodził od niej w nocy z numeru, napewno razem zniszczyli papiery i nie wiadomo, jak naprawdę przedstawiała się sprawa samobójstwa Drangla — a on jeszcze dziękował temu łajdakowi.

Zbyt jednak był opanowany na to, aby wywoływać awantury na sali, tym bardziej, że poczynano się już odwracać od sąsiednich stolików, dzięki tej podnieconej rozmowie.

— Chodźmy Tamaro! — wyrzekł, na pozór spokojnie, choć drżało w nim wszystko. — To istotnie jakieś przykre nieporozumienie i Onufry musiał się pomylić. Bardzo cię przepraszam — zwrócił się do niego — że nadal ci nie będziemy służyli towarzystwem. Zajdź jutro, do mnie do banku, to o wszystkim pogadamy obszernie.

W ślad za Tamarą przeszedł przez salę, jakgdyby nic nie zaszło, a za nim podążył Marlicz, raczej umarły ze strachu,

niż żywy. Tylko „kotusik“ pozostał sam przy stoliku.

Dopiero, gdy znaleźli się na ulicy, przed wejściem do hotelu „Europejskiego“, gdzie oczekiwał samochód Kuzunowa, ten otworzył drzwiczki, ale nie zapraszając Tamary do środka, wyrzekł drwiąco:

— Daruj, moja droga, że cię nie odwożę. Będzie to należało do obowiązku twego nowego narzeczonego!

— Janie! — zawołała. — Pozwól się wytłumaczyć! Ten dureń upił się naprawdę!

— Nie ma tłumaczenia! — wyrzekł ostro i zagrał w nim długo tłumiony gniew. — Jesteście parą łajdaków, z którą nie chcę mieć nic wspólnego! Wszystko pomiędzy nami skończone, pani baronowo Drangiel!

— Janie! Potworny zbieg okoliczności... Sobowtór!.. Niecna intryga — nerwowo wyrzucała z siebie, jeszcze usiłując go zatrzymać.

Lekko odsunął jej rękę.

— Naprawdę szkoda pani ładnych słówek... i nie moja to wina, że tak pięknie uknuta intryga spaliła na panewce, do której wciągnęła pani nawet mego urzędnika. Wstyd! Co znów pana się tyczy — zwrócił się do Marlicza, który z nisko opuszczoną głową, nie śmiąc spojrzeć w oczy dyrektorowi, stał na chodniku — to sądzę, że nie posunie pan swej bezczelności do tego stopnia, aby jutro zjawić się w banku. Mogłoby tam pana spotkać niemiłe przyjęcie. A teraz — dowidzenia... Wiele szczęścia życzę zakochanej parze!

Kuzunow znikł w samochodzie, który natychmiast ruszył z miejsca.

Chwilę popatrzyli na siebie w milczeniu.

— To wszystko przez ciebie — raptem Tamara skupiła cały swój gniew na Jerzym. — Coś ty za głupstwa naplótł temu staremu idiocie? Jeszcze, nie rozumiem! Pocoś mu mówił, że jestem twoją narzeczoną?

— Nieszczęście chciało, — począł tłumaczyć — że natknąłem się na niego, wychodząc z numeru. Nie mogłem postąpić inaczej...

— Co teraz pocznę? — błysk rozpaczy przemknął w jej oczach. — Tyle zachodów straconych napróżno! — może myślała o śmierci Drangla. — Z czego będę żyła? Powtarzam, wszystko przez twoją głupotę...

— Toć i ja zostałem na bruku! — odparł, myśląc, że gdyby nie napotkał Tamary, nie zaplątałby się w tę całą historię.

Ale, Tamara nie lubiła nigdy żałować długo tego, co się stało, lub daremnie rozpaczać. Skoro Kuzunow był stracony bezpowrotnie, należało wymyślić coś innego.

— Ha, trudno! — zwykła energia zabrzmiała w jej głosie. — Powiadasz, zostałeś przeze mnie na bruku? Gdyby nie ja, leżałbyś pewnie na ziemi z kulą w głowie! Wszystko zepsuło się przez twoją nieostrożność, bo gdybyś nie zawierał znajomości z tym idiotą, nie nastąpiłoby to, co się stało. Nie będę ci teraz również robiła wymówek. Widocznie, los tak chciał... Ale, los ten również nas zbliżył i jesteśmy teraz złączeni minionymi wypadkami i obecnym nieszczęściem. Czy chcesz iść dalej ze mną przez życie?..

Raptem, Marlicz, pod wpływem jej wzroku zapomniał o tym, co zaszło.

— Z tobą? — zawołał. — Na koniec świata!

— Tak daleko nie pojedziemy! Wsiądziemy do taksówki i udamy się do mego mieszkania! Tam naradzimy się, co dalej czynić. Mam pewien plan...

ROZDZIAŁ VI

CO DALEJ?

Rychło znaleźli się w małym, ale niezwykle wykwintnie urządzonym apartamenciku Tamary, przy ulicy Hożej. Nie budząc służącej, wskazała Marliczowi, aby zaczekał na nią w saloniku, a sama udała się do sypialni.

Kiedy stamtąd wyszła po chwili, zdążyła się już przebrać, gdyż miast wieczorowej sukni, przyoblekała ją czerwona, jedwabna piżama, czyniąc jej sylwetkę jeszcze więcej wężową i jeszcze więcej kuszącą.

Usiadła obok Marlicza, na szerokim tapczanie, zarzuconym nieskończoną ilością poduszeczek i poduszek. Sięgnęła po papierosa ze srebrnego pudełka, ustawionego na małym stoliczku, znajdującym się obok tapczanu, zapaliła go i w milczeniu kilkakrotnie zaciągnęła się dymem.

Teraz dopiero, widać było, że rozważa ogrom katastrofy jaka ją spotkała. Tyle subtelnych intryg, które spełzły na niczem, daremna podróż do Wilna, kto wie, może daremnie przelana krew? A już sądziła że będzie żoną bogatego

dyrektora Kuzunowa, już sądziła że raz na zawsze ułoży sobie życie, że skończą się bezpowrotnie awanturnicze przygody i wieczna pogoń za złotem.

Wszystko trzeba zaczynać od początku.

Jakby z rozgoryczeniem spojrzała na Marlicza, mimowolnego sprawcę nieszczęścia. Lecz, na cóż przydałoby się czynić mu teraz wyrzuty, szczególniej, gdy na przyszłość mógł jej być pożyteczny.

Doskonale rozumiał, co się dzieje w duszy pięknej kobiety, a choć nie mniej ucierpiał sam, czuł się winnym. Lecz, z tym uczuciem łączyły się i inne. Gdy Kuzunow z nią zerwał, będzie należała do niego.

— Tak! — wymówiła po chwili, pierwsza przerywając ciszę i nawiązując do ich poprzedniej rozmowy na ulicy. — Nie będziemy mogli tu pozostać...

— Sądzisz? — bąknął.

— Nie będziemy mogli! — powtórzyła, obrzucając spojrzeniem jakby pełnym żalu urządzenie wykwintnego saloniku, z którym zamierzała się rozstać. — Musimy wyjechać. Ja właściwie... Po podobnym skandalu, nigdzie nie będę mogła się pokazać! Już przed tym, rozpowszechniano przeróżne plotki na mój temat a obecnie? Kuzunow ma długie ręce, będzie się mścił...

— Czyżby?

— Jestem przekonana! Znam go dobrze. Gotów zwrócić uwagę policji na wypadek w Wilnie!

Marlicz zbladł.

— Będzie się obawiał kompromitacji!

— Może! Zresztą nic nie udowodni! Drangiel —

wymówiła z zawziętością — przecież sam odebrał sobie życie! W każdym razie, moglibyśmy być narażeni na policyjne dochodzenie, a tego lepiej uniknąć! Nie chcę być zamieszana w nowy, nieprzyjemny proces!

— A żeby wszyscy diabli porwali tego przeklętego Mongajłłę — zawołał z wybuchem gniewu. — Czyż mogłem kiedy przypuścić że przez tego dziada rozbije się wszystko! Po co się z nim wdawałem?

Wzruszyła ramionami.

— Raz ci już powiedziałam, że nie należy myśleć o tym co się stało i co się nie odstanie, a o tym, jak postąpić obecnie. Na przyszłość będziesz miał naukę, żeby z nieznajomymi nie zawierać zbytecznych przyjaźni, bo to pociąga nieobliczalne konsekwencje. Ale, pozostawmy w spokoju Mongajłłę. Powtarzam, musimy jaknajprędzej opuścić Warszawę w ciągu najbliższych dni. Gotowa jestem sprzedać za grosze wszystko, co posiadam, byle wyjechać jaknajprędzej.

Znów popatrzyła melancholijnie na luksusowe, stylowe meble, kosztowne dywany i obrazy, zdobiące salonik, a zakupione przez Kuzunowa.

— Dokąd zamierzasz wyjechać?

— Przecież nie pozostanę w kraju. Plotka rychło dotrze tu wszędzie i uniemożliwi wszelkie zamiary. Należy wyjechać zagranicę. Tylko tam są ludzie bogaci, a ja nie zrezygnowałam jeszcze ze zdobycia majątku. Tutaj go nie zdobędę i nie nawinie mi się drugi Kuzunow. A ja nie umiem się ograniczać. Kocham złoto, kocham to wszystko, co w życiu pieniądz może zapewnić.

Drgnął. To, co szczerze wyrwało się teraz z ust Tamary, napełniło go mimowolnym lękiem i nie rozumiał w tym wszystkim dobrze swojej roli.

— Ty pojedziesz? — szepnął — A ja...

— Pojedziemy razem! Czy władasz francuskim?

— Zupełnie biegle! — odparł, gdyż mówił poprawnie w tym języku. — Ale jakże mogę z tobą pojechać, kiedy nie mam grosza.

— Mam trochę pieniędzy..

— Tamaro!...

— Pozostało mi jakieś osiem tysięcy złotych — poczęła obliczać, nie zwróciwszy uwagi na jego wykrzyknik. — Miałabym więcej, ale — tu urwała, nie chcąc wspominać, że oddała Marliczowi dwa i pół tysiąca, które w gruncie nie przyniosły jej żadnej korzyści. — Mniejsza z tym... Więc osiem tysięcy. — O ile dodać do tego, to co otrzymam ze sprzedaży rzeczy, zapewne kilka tysięcy, bo są to przedmioty w każdym razie wartościowe, nawet gdyby je sprzedać za połowę ceny, sądzę, że zbiorę około dwunastu tysięcy! To wystarczy nam, na początku, zagranicą.

— Ależ, Tamaro! — powtórzył. — Przecież nie mogę jechać za twoje pieniądze!

— Głupi jesteś! — raptem pochyliła się do niego i pocałowała go w policzek.. — Naprawdę jesteś głupi.

— Posłuchaj! — wysuwał nowe zastrzeżenia. — Dwanaście tysięcy, suma wcale ładna i trudno ją zdobyć. Lecz, zagranicą, gdy nie będę zarabiał, rozejdzie się prędko. Co poczniemy? Nie chcę ci być ciężarem.

Uśmiechnęła się, jakby w swej głowie miała już ułożony

gotowy plan..

— Nie będziesz mi ciężarem. I na ciebie mam swoje zamiary.

— Zamiary?

— Dopomożesz mi w pewnej sprawie!

— Ja, dopomogę?

— Tak! Tylko ślepo musisz mi ufać, ślepo wykonywać, czego zażądam...

— Ależ...

— Widzisz! — poczęła tłumaczyć. — Nie udała się z Kuzunowem, zaczniemy gdzie indziej od początku. Powiedziałam ci już, że kocham dobrobyt i muszę zdobyć majątek. Chcesz go zdobyć razem ze mną i na zawsze pozostać przy mnie? Ja będę z tobą całkowicie szczera — tu jej zielone oczy spoczęły nagle na wzorach dywanu, jakby nie chciała się przed nim zdradzić czymkolwiek wzrokiem — nie powiem, żebym kochała się już w tobie bezgranicznie, ale czuję, że mogę się zakochać. (Powtarzała mniej więcej to samo, co raz już z jej ust słyszał w Wilnie) — W każdym razie, podobasz mi się bardzo i wolę z tobą iść przez życie, niż z kim innym, gdyż złączyły nas ubiegłe wypadki. A potrzebny mi jest mężczyzna, na którym mogłabym się oprzeć i który byłby mi całkowicie oddany. Teraz rozumiesz, na co liczę z twojej strony...?

Gdyby Marlicz był przenikliwy, powinien był zrozumieć, że jeśli Tamara proponuje mu wspólny wyjazd za granicę i to w dodatku za jej pieniądze, nowa ta wyprawa może się stać dla niego wysoce niebezpieczna.

Każdy inny pojąłby, że skoro rozwiały się projekty z

Kuzunowem, pragnie ona momentalnie gdzie indziej zarzucić swe sieci i że do tego potrzebny jej jest oddany wspólnik. Wszak wspomniała wyraźnie, że ma już w swej głowie pewien plan i jeśli chciała wyjechać, to na grunt z góry przygotowany. Zrozumiałby to każdy, na miejscu Marlicza, ale, jak już zdążyliśmy się przekonać, był on życiowo niewyrobiony i naiwny. Poza tym zakochany w Tamarze i jak każdy zakochany, ślepy.

Mimo wszystko, zagrały w nim jednak resztki ostrożności.

— Więc dlatego — zapytał — chcesz mnie zabrać ze sobą zagranicę, że przeznaczasz mi pewną rolę?

— Pewnie! — wyrwało się jej mimowoli.

— Jakaż to będzie rola?

— Zbyt wcześnie o tym mówić! Dowiesz się w swoim czasie...

— W każdym razie... Znasz tam kogoś? Pragniesz przeprowadzić pewne sprawy?

— Napewno nie jadę dla własnej przyjemności. Jeśli chcesz wiedzieć koniecznie, to zaledwie przed kilku miesiącami powróciłam z zagranicy, gdzie miałam pewną poważną sprawę i wówczas nawinął mi się Kuzunow. Uważałam, małżeństwo z nim za daleko lepsze i pewniejsze, niż to, o czym ci wspominam, ale obecnie nie mam wyboru. Przyznaję, jest to sprawa dość trudna i niebezpieczna, ale pachnie setkami tysięcy i jestem przekonana, że ją pomyślnie załatwimy.

— Niebezpieczna?

— Tak! Chyba nie jesteś tchórzem? Masz dobry wygląd

— taksowała go teraz, a w jej wzroku nie było cienia miłości, raczej kupieckie wyrachowanie — umiesz się znaleźć w towarzystwie, poza tym będziesz tylko to robił, co ci wskażę.

— Tamaro! — zawołał. — Czemuż czynisz z tego taką tajemnicę? Czemu nie powiesz szczerze, a co chodzi? Może będzie to coś...

— Na co nie mógłbyś się zgodzić?

— Tak! — wyrwało mu się szczerze — tak, chociażby ta historia w Wilnie! Przyznaję, lękam się krwi!

Oczy pięknej Tamary podniosły się na Marlicza i zapłonął w nich gniew.

— O czym wspominasz? — syknęła. — Przypuszczasz, że to ja zastrzeliłam Drangla? Jak śmiesz?!

— Ależ — zawołał przestraszony — wcale tego nie miałem na myśli! Tylko...

— Tylko — powtórzyła z ironią, — ponieważ wspomniałam, że grozi niebezpieczeństwo, już się cofasz i wysuwasz zastrzeżenia. Więc, wybieraj sobie: czy chcesz jechać ze mną i być panem, czy tu pozostać, jako bezrobotny inteligent, bo przecież Kuzunow wyrzuci cię z banku i rychło na robotach publicznych kopać kartofle?

— Tamaro!

Do systemu demonicznej kobiety, należało, wnet po brutalnie rzuconych słowach, przejść do udanej miłości. Zresztą, tak już z nim postąpiła kilkakrotnie.

— Głupcze! — wymówiła, zupełnie innym tonem. — Po cóż doprowadzać do podobnych scen? Czyż ci robię wymówki, że przez twoją lekkomyślność straciłam

Kuzunowa? Że obecnie wszystko muszę zaczynać od początku? Nie robię tego, gdyż wiem, że stało się to wbrew twej woli. Ale, ty miej charakter! Nienawidzę mężczyzn słabych i niezdecydowanych. A jeśli tak będziesz postępował, rychło rozczaruję się w tobie...

Przy tych słowach, niby przypadkowo rozchyliła się piżama Tamary i wyjrzało z pod niej, niczem z marmuru wykute jej ciało.

— Nie! — wykrzyknął, pożerając ją wzrokiem i wspominając szaloną noc, spędzoną w jej objęciach w Wilnie. — Za żadne skarby nie chcę cię stracić. Gotów jestem dla ciebie wszystko uczynić, stale czynić będę czego tylko zażądasz!

Rozumiała doskonale, co się z nim działo.

— Pocóż — wyrzekła z uśmiechem — czas tracić w takim razie na próżne słowa! Słuchaj mnie się stale, a wszystko będzie dobrze! Chodźmy teraz do sypialni, gdyż godzina już późna a jutro poważna praca cię czeka...

Powstała z tapczanu i przeciągnęła się kusząco.

Marlicz spowrotem był jej niewolnikiem. Tak samo, jak wtedy gdy niszczył papiery i uczyła go mówić z Kuzunowem. Tylko niewiadomo dlaczego w jego pamięci stanęła dawno przeczytana historia o egipskiej królowej Kleopatrze. Przepiękna Kleopatra chętnie zgadzała się należeć do tych, którzy jej pożądali, ale pod warunkiem że za jedną noc rozkoszy zapłacą życiem, aby nikt chwalić się później nie mógł, że spoczywał w ramionach królowej. I wielu znajdywało się takich, którzy godzili się na ten warunek, wiedząc, że nazajutrz zrana wypiją czarę,

zawierającą truciznę podaną przez królewską kochankę.

Historia ta przypomniała mu się nagle a serce jego ogarnęło złe przeczucie, czy za cenę podobnej nocy nie zgadza się na rzeczy, które mogą go zaprowadzić bardzo daleko.

Wnet jednak, otrząsnął się z niemiłego wspomnienia. — Tamara nie jest Kleopatrą! — pomyślał — a ja jestem głupcem! Iluż na moim miejscu, zgodziłoby się ślepo pójść za nią! Musi mnie kochać, skoro zabiera mnie ze sobą, a jeśli zaproponuje coś takiego, czego nie będę mógł wykonać, zawsze będzie czas się cofnąć!

Niestety nie pamiętał czy nie chciał pamiętać, że w podobny sposób uspakajał swe sumienie w Wilnie i że kosztowało go to utratę posady złączoną z wykolejeniem. Nie pamiętał, a gdy powstał z miejsca, aby podążyć za Tamarą do sypialni, tylko zapytał:

— Dokąd pojedziemy?

— Do Paryża! — odparła. — A jeśli tam nie zastanę tego, o kim wspomniałam, to dalej... do Nizzy...

— Do Paryża — Nizzy...

— Tak! Dam ci pieniądze, musisz się zająć przygotowaniami do wyjazdu. Ja przez ten czas zlikwiduję mieszkanie i postaram się jaknajwięcej sprzedać rzeczy.

— Dobrze!

— Musimy wyjechać jaknajprędzej, bo Kuzunow... — tu urwała, a na jej twarzy odbił się pewien lęk, że dyrektor może pokrzyżować te zamiary.

Znikli w sypialni.

Tymczasem Kuzunow, powróciwszy do domu, ofuknął,

chyba pierwszy raz w życiu lokaja, który uprzejmie zapytywał, czy mu czego nie trzeba, po czym, — zamknąwszy się w swoim gabinecie, długo nerwowymi krokami chodził po pokoju.

Wreszcie opadł na fotel.

A wówczas, nikt nie poznałby w tym, w przeciągu godziny postarzałym mężczyźnie, siedzącym nieruchomo, z błędnym, utkwionym przed siebie wzrokiem, zazwyczaj sztywnego i opanowanego Kuzunowa, który jeszcze niedawno na ulicy ironicznie żegnał Tamarę.

— Łajdaczka! — szepnął. — I on łotr skończony... żeby mnie tak podejść, tak oszukać...

Ale w tonie głosu nie przebijał gniew, ani chęć zemsty, której tak obawiała się Tamara, raczej rozżalenie. Wzrok Kuzunowa biegł mimowolnie ku wielkiej fotografii, w kosztownej ramie, ustawionej na biurku, na której widniała piękna kobieta, w balowej sukni, uśmiechnięta kusząco.

— Tamaro! — z jego piersi wydarł się głuchy jęk, a oczy, które nigdy jeszcze nie płakały, przesłoniła mgła. — Dlaczegoś to zrobiła? Przecież, gdybym się dowiedział rzeczy najgorszych, jeszcze darowałbym ci wszystko...

Patrzył na wizerunek przez chwilę, po czym cicho dodał:

— Jak ja nisko upadłem! Ja ją jeszcze kocham...

Mimowoli ręka Kuzunowa podniosła się do telefonicznego aparatu, jakby chciał pochwycić za słuchawkę.

— Nie! — otrząsnął się nagle. — Nie odezwę się do niej! Powiadają, że miłość zabija ambicję... Ja miałbym ją prosić o przebaczenie? Wolę co innego...

ROZDZIAŁ VII

ZAGRANICĄ

Wyjazd Tamary i Marlicza do Francji odbył się bez przeszkód i wszelkie obawy, że Kuzunow będzie im robił jakiekolwiek trudności, okazały się płonne.

Przede wszystkim, przybyli do Paryża, gdzie Tamara czuła się, jak u siebie w domu. Oprowadzała kochanka po stolicy świata, ale celem tych wycieczek było nie tylko obejrzenie muzeów, galerii, pomników i przeróżnych osobliwości miasta, nad którymi Marlicz chętnie zatrzymywał się dłużej a jakim Tamara nie poświęcała zbytniej uwagi, co poczynienie najprzeróżniejszych zakupów.

Nie tylko sobie kupowała najdroższe suknie i bieliznę, których jej i tak nie brakło, ale od stóp do głów ubrała Marlicza. Nosił teraz garnitur od pierwszorzędnego paryskiego krawca, jedwabne koszule, jakich jeszcze nigdy w życiu nie nosił i kosztowne włoskie kapelusze. Nawet laskę ze złotą rączką i takąż papierośnicę kupiła mu, a kiedy nieco zażenowany, począł jej robić wymówki, że tyle pieniędzy na niego wydaje, wzruszyła tylko ramionami.

— Musisz wyglądać jak prawdziwy pan, a nie urzędniczyna bankowy! To pierwszy warunek dla naszego powodzenia! Wiem, co robię i bynajmniej nie dla fantazji

ubieram cię, niczym lorda. Dla kogoś, co nie ma nic, dobry wygląd jest wszystkim i zawsze można to zdyskontować. Tylko ludzie naprawdę bogaci, mogą się ubierać niedbale.

Marlicz przyrzekł już nie oponować jej i stale zgadzał się na to, czego zażądała. Zgodził się nawet na wydrukowanie biletów wizytowych z dziewięciopałkową koroną i nie raziło go, gdy poleciła stale służbie tytułować go hrabią... Powoli sam nawet, nie wiedząc kiedy, zamieniał się z człowieka, w gruncie rzeczy uczciwego w hochsztaplera, a zmysły i próżność mile łaskotane przez Tamarę, dopomogły tej przemianie.

— Cóż — oświadczył — chcesz, żeby mnie nazywano hrabią? Nie ma w tym nic strasznego! Marliczowie to stary ród i właściwie należy mu się tytuł.

— No, tak — odrzekła, starając się ukryć nieco ironiczny uśmiech, gdyż już zdążyła z niego wyciągnąć, że nieboszczyk, ojciec Marlicza był skromnym urzędnikiem kolejowym. — Bardzo znakomity ród! Co prawda, każdy Polak za granicą usiłuje udawać hrabiego, ale nie w tym rzecz! Musimy uchodzić za małżeństwo, a mnie potrzebny jest tytuł. Dla tego ozdobiłam cię dziewięciopałkową koroną!

— I rychło będziemy tym małżeństwem?

— O, napewno!...

Musiała jednak mieć poważniejsze troski na głowie, niż wyznaczenie bliższej daty ślubu, gdyż kiedy, Marlicz pytał o to, wnet zmieniała temat rozmowy.

Natomiast często opuszczała hotel, pod pozorem załatwienia różnych spraw na mieście, a gdy powracała,

mógł zauważyć, że jest zdenerwowana.

Gdy ją zapytywał o przyczynę podniecenia, odpowiadała krótko:

— Nie mogę odnaleźć kogoś, na kim mi zależy...

— Czy to ta osoba — starał się wyciągnąć bliższych szczegółów, — z którą cię wiąże ów poważny i niebezpieczny interes, o jakim wspomniałaś w Warszawie?

— Może!

— A kiedy mnie poinformujesz o wszystkim?

— Dowiesz się w swoim czasie.

Tamara w swych odpowiedziach bywała lakoniczna. Więcej jeszcze. Prócz szalonych nocy, w których wyładowywał się jej niepohamowany temperament, traktowała Marlicza, jako podrzędnego pionka, który, słuchał jej się ślepo. Niestety, nie zwracał na to uwagi, całkowicie opanowany namiętnością do Tamary i oszołomiony luksusowym życiem do jakiego dotychczas nie przywykł. Żył całkowicie za jej pieniądze i dziwić się tylko należało jego naiwności, że nie pojmował dobrze swojej roli.

Wreszcie pewnego dnia Tamara powróciła rozpromieniona:

— Dziś jedziemy do Nizzy! — zawołała.

— Więc tam znajdzie się ten ktoś?

— Tak! — wyrwał się jej szczery wykrzyknik. — Odrazu ci wspominałam, że jeśli nie odnajdę go w Paryżu zastanę go w Nicei. Ukrywają umyślnie jego miejsce pobytu, ale udało mi się wszystko ustalić! Powinnam była dawno tego się domyślić, ale nie chciałam jechać na

niepewne, bo nie mam za dużo pieniędzy...

— No, tak! — wspomniał poczynione kosztowne zakupy.

— Pakuj kufry! Musimy zdążyć na wieczorny pociąg! Każda godzina w Paryżu jest stracona!

Istotnie, nazajutrz zrana znaleźli się w Nizzy. I tutaj zaraz poznać było można, że Tamara zna doskonale tę luksusową, kąpielową miejscowość. Zresztą wspomniała, że właśnie po dłuższym pobycie, stamtąd przyjechała do Polski.

Więc, po krótkim, dwudniowym odpoczynku w pierwszorzędnym hotelu „Carlton“, wnet wynajęła na jednej z bocznych ulic, prywatne mieszkanie, niewielkie, trzypokojowe, ale urządzone niezwykle wytwornie, za względnie przystępną cenę. Właściciel tego mieszkania, zamożny przemysłowiec, udawał się dla swoich spraw handlowych do Ameryki i zgodził się ustąpić mieszkanie, nawet ze służącą, na okres półroczny. Zapłaciła mu żądaną sumę, a gdy na drzwiach znalazł się bilet, oczywiście, w języku francuskim, z napisem: „Tamara i Jerzy, hrabiostwo Marliczowie“, — odetchnęła:

— Tu nam będzie wygodnie! — oświadczyła. — Po za tym, znacznie taniej, niż w hotelu, a my musimy się liczyć z każdym groszem. No i w hotelu zbyt dużo jest ciekawych, ściany mają uszy, a ja nie lubię tego.

Ale, choć zaznaczała wciąż, że należy zachować jaknajdalej posuniętą oszczędność, nie raz Marlicz zastawał ją przy tym, jak rachowała swe pieniądze, widocznie obliczając, czy jej wystarczy, zanim ów tajemniczy plan,

nie dojrzeje. Natomiast nie szczędziła wydatków, gdy chodziło o reprezentację.

Skoro, tylko urządzili się w mieszkaniu, ubrała się jaknajwytworniej i, nałożywszy biżuterię — jak zdążył się przekonać większość jej stanowiła świetną imitację — w jego towarzystwie poczęła odwiedzać kasyno, promenady, modne bary i kawiarnie. Zbyteczne dodawać, że zwracała uwagę na każdy szczegół ubioru i zachowania się Marlicza i często wołała nań ze zniecierpliwieniem:

— Trzymaj głowę więcej do góry... Nie miej zażenowanej miny... Nie trzymaj rąk w kieszeniach, gdy wchodzisz na salę... Tak się nie zachowuje hrabia.

Stale dawała mu tysiąc frankowe banknoty, by płacił nimi nawet za najmniejsze restauracyjne rachunki.

— Tu widzą i notują wszystko! — mówiła. — Opinia szofera i kelnera jest decydująca! A musimy sprawiać wrażenie bardzo zamożnych ludzi.

Istotnie, gdziekolwiek pokazali się, nadskakiwano im z uniżonością. Niezwykła uroda Tamary, jej kosztowny strój, wcale niezła — mimo jej strofowań — prezencja Marlicza, no i sowite napiwki, sprawiły, że poczytywano ich naprawdę za parę arystokratyczną, która dla rozrywki przybyła nad lazurowy brzeg, ma lekką rękę i bez rachunku ciska pieniędzmi.

Tylko...

Choć Marlicz zdążył już przywyknąć do pełnych podziwu, lub pożądliwych spojrzeń, jakiemi mężczyźni w miejscach publicznych obrzucali Tamarę, niektóre z tych spojrzeń uderzyły go mocno.

Właśnie dla tego, że malował się w nich i nie podziw i nie pożądanie, a raczej jakaś ironia.

Co to znaczyło? Czyżby, znano tu Tamarę i poprzedni jej pobyt zaznaczył się jakim skandalem. Że posiadała znajomych, nie ulegało wątpliwości, gdyż kilku panów już ukłoniło jej się na ulicy. Ukłony ich jednak znamionował całkowity szacunek.

Chyba, wydało mu się, lecz, tegoż dnia, gdy szedł obok Tamary na promenadzie, spotkała go jeszcze dziwniejsza przygoda.

Z tyłu, posłyszał zupełnie wyraźnie, rzucone po francusku zdanie:

— Tiens! Piękna przyjaciółka Panopulosa znowu zawitała do Nizzy! Że też miała odwagę?!

Marlicz obejrzał się momentalnie.

Szło za nim dwóch eleganckich, młodych ludzi i doznał wrażenia, że spoglądają drwiąco na Tamarę. Ale, kiedy zmierzył ich ostro, wnet odwrócili głowy i ściśle ustalić nie było można, czy słowa ich tyczyły się Tamary, czy też przystojnej i szykownej osóbki, która mijała ich w tej chwili.

— Maro! — zapytał wzburzony, podczas gdy jej uwagi uszła ta cała scena. — Czy ty znasz jakiegoś Panopulosa?

Przystanęła i, zbladła.

— Panopulosa? — powtórzyła, zaskoczona zapytaniem.

— Znasz podobne nazwisko?

— Tak... Nie... — widział, że czerwieni się, chyba po raz pierwszy od czasu ich znajomości. — Skąd, ty? — W jaki sposób? —

— Wymieniło to nazwisko przed chwilą dwóch młodych ludzi, dodając do tego komentarz niezbyt pochlebny pod twoim adresem.

— Łajdaki! — syknęła, nie zapytując nawet, jakiej treści był ten komentarz.

— Byłbym ich spoliczkował, ale nie miałem pewności, że o ciebie chodzi, wnosząc jednak z twego zmieszania...

— Lepiej — przerwała — żeś nie wywołał skandalu!

— Kimże jest ten Panopulos?

— Zaraz...

Może Marlicz dowiedziałby się ostatecznie, kim jest ów tajemniczy Panopulos, gdyby w tejże chwili od barwnego tłumu, spacerującego po promenadzie, nie oddzielił się wykwintny pan, którego zbliżenie przerwało ich podnieconą rozmowę.

— Mój znajomy! — szepnęła. — Milcz! Później ci wszystko wyjaśnię.

Tym, który podszedł do Tamary, był mężczyzna w sile wieku, już szpakowaty, ubrany spokojnie, ale niezwykle wytwornie. W lewym oku, wygolonej twarzy, o typowo angielskich, arystokratycznych rysach, połyskiwał monokl w złotej oprawie, a kosztowna perła zdobiła czarny krawat.

— Cieszę się, że widzę panią baronową! — skłonił się, całując jej rękę. — Przybyła pani na długo?

— Oh! — rzekła. — Nie wiem! W moim życiu zaszły duże zmiany. Pozwoli pan, że go poznam z moim mężem — wskazała na Marlicza, po czym przedstawiła: — Sir Artur Monsley, — mój mąż, hrabia Marlicz.

Anglik drgnął i z pewnym zdziwieniem popatrzył na

Marlicza, był jednak zbyt dobrze wychowany, aby zdradzić się jakąkolwiek głośną uwagą.

— Jestem zachwycony! — wymówił, usiłując zachować typową, brytyjską flegmę i mocno ściskając jej dłoń dalej mówił: — Jestem zachwycony z poznania pana hrabiego.

Wzrok zza monokla przeczył jednak tym uprzejmym słowom i widać było, że Monsley taksuje Marlicza, a może nawet spogląda na niego z nienawiścią.

— Czemu się na mnie tak patrzy? — pomyślał. — Kochał się w Tamarze i jest wściekły, że jak mniema, została moją żoną...

Anglik, widocznie sam zrozumiał, że przygląda się zbyt natarczywie, gdyż raptem wywołał na swej twarzy coś na kształt uśmiechu i zapytał:

— Dokąd państwo się wybierają? Czy nie do kasyna? W takim razie poszlibyśmy tam wspólnie! Mam wielką ochotę dziś spróbować szczęścia w ruletce.

— Doskonale! — zawołała zadowolona, że przerwana została ta niemiła, milcząca scena. — I ja zagram! Ale, przy innym stole, niż pan, baronecie! Stale przynosiliśmy sobie dawniej pecha...

— Tak, pecha... — powtórzył znacząco, poczem, po chwili dodał. — A czy pani hrabina wie — wymienił jej nowy tytuł z naciskiem — że Panopulos od kilku dni bawi w Nizzy?

Marlicz nerwowo zagryzł wargi. Znowu Panopulos.

— Wiem, doskonale! — odrzekła, niby obojętnie — ale, dziwię się, że pan wspomina o nim! No, chodźmy do kasyna.

Widać było, że zapytanie Monsley‘a dotknęło ją, ale stara się nadrabiać humorem. To też rozmawiając obojętnie na różne tematy i śmiejąc się, podążyła obok Anglika, do kasyna, podczas, gdy Marlicz, coraz więcej zdenerwowany postępował nieco z tyłu za nimi.

Rychło znaleźli się w jasno oświetlonym i luksusowo urządzonym apartamencie zapełnionym szczelnie eleganckim i podnieconym tłumem. Słychać było stereotypowe wykrzykniki krupierów i brzęk przerzucanych sztonów. Przy stolikach tłoczyły się młode zupełnie osóbki i staruchy w brylantowych koliach, nałożonych na trzęsące się szyje. Eleganci, o typowym wyglądzie gigolaków i panowie, po których łatwo poznać było można, że posiadają dobrze napchane portfele w kieszeni.

Gorączka złota wyryła swe piętno na sali, a na twarzach wszystkich widać było niezdrowe wypieki. Nic dziwnego, gdyż jeśli gra nawet była tu słabsza, niż dawniej, gdyż kryzys też we Francji dał się we znaki, w przeciągu kilku godzin dzięki ruletce można było zdobyć tysiące, albo też wyjść bez grosza.

— A więc, baronecie — wymówiła Tamara, rozglądając się po sali — idzie pan do innego stolika, i my do innego. A później, spotkamy się i opuścimy razem kasyno..

— All right!

Gdy Anglik odszedł, Marlicz nie mógł pohamować dłużej swego zdenerwowania.

— Cóż to za małpa w monoklu? — syknął ze złością. — Przyglądał mi się impertynencko! Przyznaj się, że kochał się w tobie, jest wściekły, że złączyłaś się ze mną.

— Nie żadna małpa — odparła zimno — ale człowiek z najlepszego towarzystwa. Czy się kochał, nie wiem, ale w każdym razie mam w nim oddanego przyjaciela. Musisz być dla niego uprzejmy.

— Uprzejmy? Oddanego przyjaciela? — irytował się coraz więcej. — A też ci przyciął tym Panopulosem.

Jakiś skurcz przebiegł po jego twarzy.

— Nic nie rozumiesz!

— Może! Lecz, czy dowiem się nareszcie, kim jest ta tajemnicza osobistość?

Zielone oczy Tamary zaiskrzyły się złym błyskiem.

— Tylko bez scen zazdrości! Monsley patrzy na nas.

— Ach, Monsley?

— Nie chcę, żeby miał o tobie złe wyobrażenie. A co się Panopulosa tyczy, rychło wszystkiego się dowiesz.

— Nie zapierasz się, że go znasz?

— Wcale nie mam zamiaru! A teraz, przestań mnie nudzić. Podejdźmy do stołu...

Marlicz zrozumiał, że więcej nic z niej nie wydobędzie i wślad za Tamarą zbliżył się do jednego ze stołów, przy którym odbywała się gra.

Przyglądała się grze, obojętnie, jakby nie pociągał jej hazard. Ale Marlicza szybko ogarnęła dawna namiętność, a pod jej wpływem zapomniał na chwilę o Monsley‘u i Panopulosie i świecie całym.

— Maro! — szepnął. — Mam pieniądze! — była to reszta z tysiączłotowego banknotu, zmienionego już, jak zwykle przy obiedzie w restauracji. Spróbuję...

— Ani mi się waż! — spojrzała nań ostro.

— Drobna stawka...

— Nawet najdrobniejsza! Gra jest dobra tylko dla głupców. Chcesz, żeby się powtórzyło to samo, co było w Warszawie w klubie? Zabraniam, stanowczo! Ja, co innego... Mogę grać, bo nie zapalam się nigdy, gra nie pociąga mnie wcale i dla tego, często wygrywam.

Patrzył na nią, myśląc w duchu, jak pod wielu względami dawniej ją źle rozumiał. Ta, na pozór lekkomyślna i lubiąca się bawić Tamara, jakże w gruncie była wyrachowana.

— Ja, co innego... — powtórzyła.. — Zaryzykuję, sto franków a jeśli przegram odejdę natychmiast. Tybyś tego nie potrafił. Daj mi pieniądze. Wszystkie...

Posłusznie wyciągnął zwitek banknotów z kieszeni.

— Proszę!

Wzięła pieniądze do ręki i już miała wymienić pieniądze na sztony, gdy wtem nastąpiła nieoczekiwana przeszkoda.

— Pardon, madame! — Obok niej rozległ się czyjś głos.

To jakiś brunet, który od dłuższego czasu natarczywie przyglądał się pięknej kobiecie, zbliżył się do niej i teraz kłaniał jej się nisko.

Stanowczo miała dziś szczęście do spotkań. Choć, widocznie obecne nie należało do najmilszych, bo twarzy Tamary nie rozjaśnił uśmiech, raczej drgnęła z niezadowolenia.

— Najmocniej przepraszam panią baronową, że ją niepokoję — mówił tymczasem nieznajomy — ale nigdy nie sądziłem, że tu właśnie się spotkamy. A skoro spotkaliśmy się, pragnąłbym z nią zamienić kilka słów...

— Może później...

— Wolałbym, natychmiast...

Głos nieznajomego bruneta brzmiał uprzejmie, jednak stanowczo. Przy tym, skinął głową, jakby wskazując, żeby odeszła od stołu, przy którym grano, gdyż w obecności obcych nie powinna toczyć się ich rozmowa.

Tamara wzruszyła ramionami, schowała banknot do woreczka i podążyła w głąb sali. W ślad za nią, oczywiście, Marlicz, oraz brunet, wciąż, na pozór kłaniający się i ugrzeczniony.

A gdy się znaleźli w rogu przy wielkiej palmie, przy której nie było nikogo i nikt nie mógł ich podsłuchać, przystanęła i zapytała:

— Czym mogę służyć?

— Oczywiście, poznaje mnie pani baronowa?

— Naturalnie, monsieur Bemer...

— Tak jest... — tu wzrok bruneta pobiegł w kierunku Marlicza. — Czy przy panu?

— Mój mąż, hrabia Marlicz! — przedstawiła go Tamara. — Nie mam przed nim tajemnic.

— Ach tak! — ucieszył się brunet. — Szczerze winszuję, pani baronowej, przepraszam, chciałem powiedzieć, pani hrabinie. Nie wiedziałem że pani wyszła zamąż... Chociaż, przecież wtedy... Tylko, że wydawało mi się, że pani narzeczony nazywał się Kuz... Koz... — począł sobie łamać język nad trudnym do wymówienia dla francuza nazwiskiem.

— Kuzunow! — pomogła mu... — Ale, cóż to ma do rzeczy. Miałam wyjść za Kuzunowa zamąż, a wyszłam za

obecnego hrabiego Marlicza. Mój mąż — ma rozległe dobra w Polsce.

— Tak... tak — znów kłaniał się — bardzo mi przyjemnie... A ja jestem Gaston Bemer, właściciel podobno największego sklepu w Nizzy.

Marlicz nic nie rozumiał, ale podał mu rękę, którą Francuz potrząsnął z zapałem.

— Więc, mogę mówić swobodnie? — powtórzył.

— Tak jest!

— Oczywiście, domyśla się pani hrabina, że chodzi mi o wyrównanie tego rachunku.

— O te trzydzieści tysięcy.

Skinął głową.

— Miała nam pani hrabina dostarczyć pewną rzecz, — nie dostarczyła, a myśmy zgóry dali trzydzieści tysięcy franków zadatku. Pan Panopulos, oczywiście oświadczył, że ta cała historia nic go nie obchodzi, a pana Kuz... Kuzunowa, z którym się pani wówczas zaręczyła, nie chcieliśmy niepokoić. Tym bardziej, że pani nas upewniła, że wszystko sama ureguluje po ślubie. Tymczasem wyjechała pani do Polski, nie otrzymaliśmy żadnej wiadomości. Byliśmy bardzo zaniepokojeni, bo i dla nas trzydzieści tysięcy jest sumą znaczną. Nie wiedzieliśmy co robić, chcieliśmy wszcząć kroki prawne...

Lekko pobladła.

— Przecież napisałam list! — odrzekła, choć w rzeczy samej, nie napisała żadnego listu.

— Nie otrzymaliśmy listu. Skoro jednak, pani hrabina powróciła tutaj, sądzę, że wszystko będziemy mogli

załatwić polubownie.

— Oczywiście!

— Może pani... może pan hrabia — Marlicza[1] — zwróci nam zadatek?

— Oczywiście — powtórzyła — o ile nie będę mogła dostarczyć panom wiadomej rzeczy, zwrócę w najbliższej przyszłości zadatek. Mój mąż spodziewa się znacznej sumy pieniężnej, którą mu mają nadesłać z Polski. Sądzę jednak, że dam panu rzecz, o której mowa.

— Będzie nam pani mogła ją dostarczyć? — zdziwienie zarysowało się na twarzy Francuza.

— Jestem przekonana, tylko...

— My się nie cofniemy!

— Ile panowie zapłacą?

— Pół miliona, jak wtedy zostało pomiędzy nami ułożone. Właściwie czterysta siedemdziesiąt tysięcy po potrąceniu zadatku.

— Doskonale!

Widocznie jednak, to o czym wspomniała Tamara, wydawało się jubilerowi tak mało prawdopodobnem, że począł dalej zapytywać:

— Czy nie łudzi się pani hrabina? — Przecież i przedtem wyznaczała nam pani różne terminy, a później okazywało się, że doręczenie tej rzeczy jest niemożliwe. Naprawdę, nie możemy czekać dłużej. Ja, może osobiście... ale mam wspólników. Niecierpliwią się, nie chciałbym pani czynić przykrości... Wobec tego, prosiłbym o ścisłe wyznaczenie, w jakim to nastąpi okresie czasu?

— Do tygodnia...

— Tydzień? Hm... hm... — Albo sama rzecz, albo zadatek? Bien... Ça va! Tylko naprawdę prosiłbym, gdyż inaczej...

— Panie Bemer! — zawołała Tamara raptem innym tonem. — Nie lubię pogróżek! Sama wyznaczam panu termin, nie uciekłam, a przyjechałam do Nizzy i przedstawiam panu mego męża, który jest jednym z zamożniejszych obywateli ziemskich w Polsce. To panu powinno wystarczyć i nie moja wina, że listu pan nie odebrał. Zresztą, wynajęłam tutaj prywatne mieszkanie przy ulicy Rivoli — wymieniła dokładny adres — i zawsze może mnie pan tam odnaleźć. Zbyteczne więc są te aluzje o grożących mi konsekwencjach...

Słowa Tamary, wypowiedziane z wielkim tupetem, uczyniły wrażenie na jubilerze. Szczególnie, zapewne uderzyła go wzmianka o znacznych dobrach ziemskich Marlicza w Polsce, oraz o tym, że posiadają w Nizzy mieszkanie.

Znów począł się kłaniać i przepraszać.

— Ależ pani hrabino... Zbyt gorąco bierze pani wszystko i nie miałem zamiaru jej dotknąć. Chętnie, poczekamy tydzień. Jestem kupcem, sprawy traktuję po kupiecku, lecz do pani hrabiny żywię całkowite zaufanie. Czy w określonym terminie sam mam przybyć, czy też pani hrabina zgłosi się do mnie?

— Przyjdę do pana!

Rozmowa została ukończona i Bemer, ucałowawszy rękę Tamary oraz uścisnąwszy z wielkim respektem dłoń Marlicza, odszedł od nich. Zapewne, opuścił kasyno, gdyż

pojawił się tutaj, nie tyle przyciągniony grą, ile chcąc egzekwować należności od różnych dłużników. Wiadomo, że ludzie, gdy im szczęście dopisze przy ruletce są chojni i względnie łatwo płacą długi.

Westchnienie ulgi wyrwało się z piersi pięknej kobiety.

— I my stąd pójdziemy, Jerzy! — wyrzekła. — Straciłam chęć do gry.

Wyszli z sali, nie żegnając się nawet z Monsley‘em, którego wysoka, rasowa sylwetka widniała zdala przy jednym ze stołów. Na kamiennej twarzy, śród której połyskiwał tylko monokl, nie widać było żadnego wzruszenia i trudno było określić, czy przegrywa, czy wygrywa.

Dopiero, gdy znaleźli się w aleji, wysadzanej palmami i tonącej w mroku nocnym — było już po jedenastej wieczór — a owiał ich, bijący od morza, przyjemny, ciepły wietrzyk, Marlicz rozejrzał się dokoła i, upewniwszy się, że nikt ich nie obserwuje, dał upust poprzedniemu podnieceniu.

— W co ty mnie pakujesz? — wyrzucił z rozdrażnieniem. — Pół biedy, że zrobiłaś ze mnie hrabiego, ostatecznie, głowy mi za to nie utną. Ale, przedstawiasz mnie jako bogatego właściciela ziemskiego, co ma niby stanowić dla ciebie gwarancję dla twoich zobowiązań. Niech taki Bemer to sprawdzi i przekona się, że twoje słowa nie odpowiadają prawdzie, mogą wyniknąć poważne przykrości.

— Nie będzie sprawdzał! Wiem, co robię! Widziałeś, że odrazu zmienił ton.

— No, tak — irytował się dalej — lecz wogóle nie rozumiem, po co przyjechaliśmy do Nizzy, wiedząc, że masz tu wielu niechętnych i dawne zobowiązania? Doprawdy, szaleństwo. — Nie nadmieniał, że taką, jak oni „hrabiowską“ parą łatwo może zainteresować się policja.

Na jej twarzy zarysował się ironiczny uśmiech.

— Sądzisz? Genjalne są twoje spostrzeżenia i warte góry złota. Tymczasem dowiedziałam się rzeczy najważniejszej — oszczędziło mi to wizyty u Bemera — dodała, jakby sama do siebie.

— Mianowicie?

— Że nie cofają się od tranzakcji i chcą nadal zapłacić pół miliona. O to tylko lękam się, czy się nie rozmyślą.

Nic nie rozumiał.

— Może, nareszcie, wytłumaczysz — zawołał — co znaczą te wszystkie historie? I ów przedmiot, za który mają ci zapłacić pół miliona i zdążyłaś już pobrać trzydzieści tysięcy, z czego mogą wyniknąć nieprzyjemności? I ów tajemniczy Panopulos, którego nazwisko łączy się z tą sprawą? Nawet Kuzunow, bo jubiler wspomniał przecież i o nim?

Przez chwilę szła w milczeniu aleją, śród drzew, a później zaczęła mówić, jakby uważając, że jest mu winna choć jako takie wyjaśnienie.

— Zaraz, zrozumiesz! Powiem ci wszystko. Powinieneś już był się domyślić, że z tym Panopulosem łączyła mnie bliższa znajomość.

— O, tak! — zawołał, przypomniawszy sobie słowa owego młodego człowieka i mimowolnie trawiony

zazdrością o jej przeszłość. — Byłaś jego przyjaciółką!

— Nie powtarzaj głupstw! Panopulos kochał się we mnie i chciał się ze mną ożenić!

— Więc dla czego nie wyszłaś za niego zamąż? Któż to jest właściwie?

— Niesłychanie bogaty Grek. Bez porównania bogatszy od Kuzunowa. Bankier, posiada swój bank w Paryżu, ale przeważnie przebywa we własnej willy w Nizzy... Zresztą, dość często zmienia miejsce pobytu, gdyż ma różne interesy po świecie. Na szczęście, jest tu obecnie...

W głowie Marlicza przemknęło spostrzeżenie, że miała szczególne szczęście do bankierów, lub może umyślnie wyszukiwała podobne znajomości.

— A dla czego nie wyszłam za mąż? — mówiła dalej. — Bo, choć prawdziwy to nabab, jest obrzydliwy i brzydki, prócz tego ma wstrętny charakter. Chytry, podstępny Grek. Musiałam znosić go z pewnych względów, ale nienawidziłam go i nieraz pomiędzy nami dochodziło do niezwykle ostrych scysyj. Och, i teraz nienawidzę! — raptem syknęła z dziwną zawziętością, nie tłumacząc jednak bliżej czym spowodowana jest ta nienawiść. — Wtedy nawinął się Kuzunow. Nie wiesz jeszcze o tym że z Kuzunowem poznałam się tu właśnie, w Nizzy — teraz Marlicz dopiero przypomniał sobie, że jego dyrektor przed pół rokiem wyjeżdżał do tej miejscowości na urlop. — Poznałam się, a ponieważ w tym czasie doszło pomiędzy mną a Panopulosem do poważnego zatargu, zerwałam z nim i wyjechałam do Warszawy. Kuzunow nic nie wiedział o Greku, a choć był mniej bogaty i również niemłody,

wolałam go znacznie od Panopulosa. Resztę, wiesz... No, jak sądzisz, nie mam zbytniego szczęścia w życiu. Stale rozbija się puchar, nie mogę dotrzeć do brzegu ustami. Przepraszam — rzuciła żartobliwie, choć twarz jej wykrzywił bolesny uśmiech, — zostałam teraz, hrabiną Marliczową.

Nie zwrócił uwagi na ten żart. Słowa Tamary, choć bardzo ogólnikowe i zapewne ukrywające sprawy przykre, w które nie chciała go wtajemniczać, wyjaśniały mu wiele, ale nie wszystko.

— Dobrze! — odparł. — Teraz pojmuję rolę Panopulosa i wiem, w jaki sposób poznałaś się z Kuzunowem. Lecz, cóż to za przedmiot, za jaki Bemer ma ochotę zapłacić ci pół miliona?

Zdołała się już całkowicie opanować i przemawiała teraz ze zwykłą stanowczością.

— Panopulos — odrzekła — miał mi doręczyć pewną rzecz, niezwykle wartościową. Sam słyszałeś, że można otrzymać za nią tę olbrzymią sumę. Teraz, powiem ci całą prawdę i sądź sobie jak chcesz moje postępowanie. Nie znałam jeszcze Kuzunowa, ale chciałam uciec od Panopulosa. Dość miałam rozamorowanych starców. Chciałam więc, otrzymawszy ową rzecz, sprzedać ją a za otrzymane pieniądze wyjechać i urządzić się gdzie indziej, będąc całkowicie niezależna. A tak byłam pewna, że to otrzymam, że zgóry ułożyłam się z Bemerem i wzięłam od niego zadatek. Znał doskonale Panopulosa, moje interesy i miał do mnie całkowite zaufanie. Niestety, Grek był chytrzejszy ode mnie, coś zwąchał i nie doręczył mi tego,

co miał doręczyć. Później, nastąpiło zerwanie i poznanie Kuzunowa. Przed nim, musiałam milczeć z pewnych względów o tej tranzakcji, Bemer zaś zgodził się zaczekać ze zwrotem zadatku, gdyż wiedział, że Kuzunow jest bogaty a ja sądziłam, że napewno zostanę jego żoną...

— No, tak! Ale, co teraz zrobisz? Jak możesz obiecywać Bemerowi, że mu doręczysz ową rzecz — nie wiem, nawet co to jest — skoro jej nie masz? Zamierzasz pogodzić się z Panopulosem?

— Przenigdy! Powtarzam ci, że nienawidzę tego chytrego lisa.

— W jakiż inny sposób — powtórzył — możesz dostarczyć to, czego nie posiadasz?

— A jednak, dostarczę...

— Nie rozumiem.

— I nie potrzeba, żebyś rozumiał! — zaśmiała się głośno.

— Maro! — wykrzyknął. — Nadal nie chcesz być ze mną szczera i bawisz się w tajemnice! Obawiam się, że wpakujesz nas w jakąś potworną historię!

Spoważniała.

— Zgóry uprzedzam, że grozi pewne niebezpieczeństwo. Chyba teraz się nie cofniesz? Zresztą, przypomnij sobie nasz układ! Masz się ślepo słuchać!

Szli bez słowa, przez dłuższy czas aleją nad brzegiem morza. Dokoła panowała całkowita cisza, tylko wiatr szumiał liśćmi drzew, a na dole monotonnie pluskały fale. Marlicz poddawał się mimowoli urokowi, roztaczającego się przed nim krajobrazu i z zachwytem patrzył na

granatową taflę morską, oświetloną promieniami księżyca, którą gdzie niegdzie tylko przecinały statki, mknące chyżo i połyskujące rojem różnokolorowych reflektorów i lampionów.

Ponieważ nie znał Nizzy, nie miał pojęcia, czy dążąc tą nadbrzeżną aleją, dotrą do ulicy, na jakiej zamieszkiwali, czy też Tamara dla własnej przyjemności powiodła go na nocną przechadzkę.

— Dokąd idziemy? — zapytał. — Mam wrażenie, że tędy nie trafimy do domu?

— Zupełnie słusznie!

— Romantyczny spacer o północy? I ty bywasz czasem sentymentalna?

Ujął ją pod ramię i chciał przytulić się do niej. Odepchnęła go lekko.

— Nie zawsze — odparła — przechadzki o północy są podyktowane wyłącznie sentymentem!

— Czemu jesteś taka? — wymówił z wyrzutem, zmrożony jej obojętnością i usiłując ją pocałować.

— Ach, zaczekaj...

Niespodziewanie, wyrosła przed nimi biała willa, zasłonięta dotychczas drzewami przed ich wzrokiem. Stała nieco na uboczu, była niewielka, ale naprawdę, prześliczna. Tonęła śród egzotycznych drzew i kwiatów, a jej taras graniczył bezpośrednio z morzem. Była odgrodzona od ulicy posrebrzanymi, metalowymi, ale dość niskimi sztachetami i wydawała się całkowicie uśpiona. Jej mieszańcy wcześnie musieli udawać się na spoczynek, gdyż w żadnym z okien nie połyskiwało światło.

— Jaka śliczna willa! — zawołał mimowolnie. — Chyba jedna z najładniejszych w Nizzy?

— Podoba ci się? — syknęła ironicznie.

— Bardzo!

— Mnie również! Szczególniej, że miała stanowić moją własność.

— Żartujesz chyba?

— To willa Panopulosa!

Podeszli bliżej, a wówczas mógł się przekonać, że na sztachetach widniała mosiężna tabliczka z napisem: „Willa „Astra“, Konstantyna Panopulosa“.

— Jaki mściwy! — mruknęła, patrząc na tabliczkę. — Kiedy wyjeżdżałam, ta willa nazywała się jeszcze „Tamara“! Podobno, na moją cześć. Obecnie przezwał ją „Astrą“! Chce zatrzeć wszelkie wspomnienia.

Stała przez dłuższy czas w milczeniu, przyglądając się uważnie to willi, to sztachetom.

— Panopulos jest niezwykle chytry — wyrzekła po chwili, jakby odpowiadając samej sobie na jakieś pytanie — ale zbyt dobrze się nie zabezpiecza. Te sztachety, nie stanowią poważnej przeszkody dla włamywacza i do domu dostać się łatwo.

— Czyżbyś zamierzała się tam włamać?

Wzruszyła ramionami, ale popatrzyła nań dziwnie.

— Et!

Może dłużej jeszcze podziwiałaby willę greckiego bankiera, w sobie wiadomym tylko celu, gdyby wtem nie zaszła nieoczekiwana przeszkoda.

Niespodzianie, za sztachetami, wyłonił się jakiś

człowiek, dotychczas ukryty śród drzew i, zbliżywszy się w kierunku Tamary, po przez ogrodzenie, wymówił do niej:

— Bardzo mi miło powitać panią baronową! Pan prezes Panopulos już jest uprzedzony o jej przyjeździe do Nizzy. Prosił mnie nawet, abym pani powtórzył, że o ile zamierza pani złożyć mu wizytę, aby to uczyniła w dzień, a nie w nocy.

Mówiący był dość młodym jeszcze mężczyzną, o energicznym wyrazie twarzy.

Naprawdę trzeba było niezwykłego opanowania Tamary, aby po tych słowach nie okazać zmieszania, gdyż Marlicz, choć nie przypuszczał, aby nieznajomy zrozumiał cośkolwiek z ich poprzedniej rozmowy, prowadzonej po polsku, poczuł się nieswojo.

— Kim pan jest? — zapytała ostro. — Czemu pan zwraca się w tej formie do mnie? Zdaje się, że wolno każdemu przystanąć koło willi, nawet o północy i nie zabraniają tego policyjne przepisy!

— Och, tak! — odparł ironicznie. — Oczywiście, pani baronowo! Kim jestem? Prywatnym detektywem, na usługach prezesa Panopulosa. A powtarzam tylko to, o co mnie proszono.

— Prywatnym detektywem? — powtórzyła wzgardliwie. — Śliczne to zajęcie i bardzo gorliwie pan wypełnia swoje obowiązki. Zechce więc pan powiedzieć swemu patronowi, panu Panopulosowi, że nie składam wizyt w nocy, ale jutro zrana napewno go odwiedzę.

Nie przedstawiła teraz Marlicza, jako swego męża i nie popisywała się hrabiowskim tytułem. Detektyw z pozornym

szacunkiem, nadal stojąc za sztachetami, słuchał jej słów, nieco ironicznie uśmiechnięty, mierzył go tylko badawczym wzrokiem.

— Proszę więc to powtórzyć — rzuciła, skinąwszy głową detektywowi na pożegnanie. — A na przyszłość powstrzymać się od podobnych aluzji!

Ujęła Marlicza pod rękę i odeszła od willi. Dopiero, gdy znaleźli się od niej w pewnej odległości i nikt nie mógł ich podsłuchać, wybuchnęła:

— Podły, podstępny Grek! Już dowiedział się, że tu jestem i mnie śledzi! Detektyw, nawet w nocy pilnuje willi, w obawie przede mną!

— Hm... — mruknął, na chybił trafił — trudna sprawa!

— Trudna? — zabłysły jej oczy. — Zobaczymy! To uparte bydlę sądzi, że zawsze będzie górą? Nie pomogą mu detektywi. Tu już nie o pieniądze chodzi, a o moją ambicję. Och, jak ja nienawidzę tego łajdaka.

— Naprawdę zamierzasz go jutro odwiedzić? Po tym wszystkim?

— A cóżeś ty myślał? Sądzisz, że mnie nie przyjmie? Nie tylko ja go odwiedzę, ale Bemer będzie miał za tydzień to, co mu obiecałam.

ROZDZIAŁ VIII

KONSTANTYN PANOPULOS

Konstantyn Panopulos, główny akcjonariusz „Banku Wschodniego“ w Paryżu, prezes przeróżnych rad nadzorczych i członek wielkich koncernów, człowiek z którym liczyli się najpoważniejsi europejscy finansiści choć nie zawsze byli o nim pochlebnego zdania, — siedział w wygodnym fotelu, w swoim, z niezwykłym przepychem urządzonym gabinecie, zatopiony w czytaniu gazety.

Istotnie, rację miała Tamara, kiedy twierdziła, że jest brzydki, a twarz ma niesympatyczną. Panopulos był mały, bardzo otyły, miał potężny brzuszek, aż za wyraźnie rysujący się spod ślicznego szlafroka, w jaki obecnie był ubrany. Jeśli do tego dodać głowę, nieco podobną do kuli bilardowej, gdyż czaszkę całkowicie łysą i twarz wygoloną, śród której wystawał duży gruby nos, a pod nim znajdowały się mięsiste, obwisłe, zawsze zaślinione wargi — trudno go było nazwać adonisem. Tylko, duże czarne oczy pod krzaczastymi brwiami nadawały ożywienia tej napozór ospałej twarzy, ale te oczy Panopulos najchętniej zakrywał powiekami i trzymał je przeważnie przymrużone, jakby nie chcąc się zdradzić, z tym, co myśli. Nic dziwnego, nazywano go najchytrzejszym z bankierów i tylko temu sprytowi zawdzięczał karierę, gdyż zacząwszy od zwykłego, ulicznego sprzedawcy słodyczy w Konstantynopolu, w przeciągu czterdziestu lat zamienił się w finansowego potentata.

Co prawda, bardzo różnie mówiono o sposobach, jakiemi zdobył fortunę i przeważnie określano go jako „skończonego łajdaka“. Nie wiele sobie z tego robił, gdyż dzięki posiadanym milionom, kłaniano mu się wszędzie i

chwalił się sam, że jeszcze nie znalazł się taki, kto potrafiłby go oszukać. Istotnie, w czas wycofał się ze słynnego koncernu Kreugera i nie naciągnął go Stawiski, mimo, że kilkakrotnie przyjeżdżał do Nizzy, proponując mu rozmaite miliardowa interesy. Za to, władca Monte Carlo, również Grek z pochodzenia Bazyli Zacharow, który trząsł wszystkimi operacjami finansowymi na Wschodzie nazywał go swoim przyjacielem i bez niego nie załatwiał żadnej poważniejszej tranzakcji.

Równie chytry, jak w sprawach finansowych był Panopulos i w swym życiu prywatnym, szczególnie w postępowaniu z kobietami. Choć nie młody, bardzo lubił urodziwe niewiasty i liczył wielką ilość miłosnych przygód. O ile to wogóle nazwać było można przygodami i nosiły one osobliwy charakter.

Wiedział, że powierzchowność ma brzydką, śmieszną, a czasem nawet obrzydliwą. Ale, również wiedział, że każda z popularnych rewiowych artystek paryskich, modnych kokot, ba, nawet początkujących starów filmowych, jego nalaną, czerwoną i pofałdowaną twarz, nazywać będzie piękną i całować będzie jego zaślinione wargi, o ile zapłaci tysiące. To też płacił i kupował, a w swoich stosunkach z kobietami, bynajmniej nie był skąpy. Lecz płacąc i kupując, mścił się jakby na tych, które zdobywał pieniędzmi i odchodziły od niego przeważnie wściekłe, nazywając go „podłym Grekiem“.

Rzucał im początkowo, bliżej nieokreślone obietnice wielkiej kariery przy jego boku, a gdy naskakały się i natańczyły, udając wielką miłość dla zaślinionego grubasa,

odprawiał je, oświadczając, że naprawdę za to, co zamierza im ofiarować tak trudzić się nie warto i obdarzał je na pożegnanie hojnym prezentem, lub pieniężną dość znaczną sumą, ale nie wielką w stosunku do jego fortuny, podczas gdy liczyły na trwałą „przyjaźń“, lub setki tysięcy.

Mimo to, różnych kandydatek, pragnących trafić do serca, a raczej do kieszeni Panopulosa nie brakło, ale żadna nie potrafiła przykuć go na dłużej.

Był wprawdzie wyjątek. Tamara. Lecz, takich kobiet, jak ona nie wiele rodzi się na świecie. Była równie przebiegła i podstępna, jak on i dorównywała mu sprytem. To też, gdy wspominał o niej, aż zagryzał mięsiste wargi z gniewu. Wszak chciał się z nią żenić i chciał wszystko dla niej poświęcić, on, który dotychczas traktował kobiety, jak podrzędne istoty. Tak się poniżył, klęczał przed nią, żebrał o miłość a ona? Co prawda, odpłacił jej się później, ale czyż to była dostateczna zemsta?

— Jeszcze spotkamy się! — myślał z nienawiścią. — Śledzę każdy twój krok! A gdy się spotkamy, rozpocznie się gra... Jesteś dla mnie równorzędną przeciwniczką!

Prócz kobiet Panopulos miał drugą namiętność, a namiętnością tą było kolekcjonerstwo. Z zamiłowaniem zbierał obrazy, bronzy, porcelanę, rzeźby i jego willa w Nizzy wyglądała wewnątrz jak małe muzeum. Ale, specjalnie lubował się, jak każdy człowiek Wschodu w pięknych klejnotach. A śród nich, jako ozdobę swojej kolekcji, posiadał niezwykle piękny brylantowy naszyjnik, składający się z kamieni o idealnej czystości, który ongi miał podobno stanowić własność angielskiej królowej, a

obecnie był szacowany na bardzo wysoką sumę.

Jak już powiedzieliśmy, Panopulos siedział wygodnie w fotelu, w swoim gabinecie, ubrany we wzorzysty szlafrok, ćmiąc drogie hawajskie cygaro (trzy dolary sztuka, przy spadku dolara) i czytając gazetę. Widocznie, uderzyła go wzmianka, jaką przeczytał, gdyż drgnął, a jego nogi, obute w czerwone ranne pantofle i spoczywające na rozesłanej przed fotelem skórze białego niedźwiedzia, poruszyły się niespokojnie.

— Hrabina Tamara i hrabia Jerzy Marlicz, przybyli do Nizzy. — Była to wzmianka, którą Tamara umyślnie umieściła w piśmie, w rubryce o przyjezdnych. — Chyba ona? Wiem, że jest w Nizzy i dla tego kazałem Drenkowi strzec willi. Ale hrabina Marliczowa? W jaki sposób? Przecież miała wyjść zamąż za Kuzunowa? Wogóle nie rozumiem, po co tu przyjechała? Porachunek ze mną?

Rozmyślania te przerwało dyskretne pukanie do drzwi.

— Proszę! — zawołał, opuszczając gazetę na kolana.

Do gabinetu wszedł ten sam młody człowiek, który wczoraj wieczorem rozmawiał w ogrodzie z Tamarą. Był to Drenk, wspomniany przed chwilą przez Panopulosa, mający stały obowiązek strzec zarówno osoby, jak i bogactw Greka, który liczył wielu wrogów oraz amatorów, pragnących się bliżej poznać z jego bogactwem.

— Więc Tamara! — zawołał na jego widok i nie czekając nawet na to, co ten powie — jest nie tylko w Nizzy, co pan już przedtem ustalił, ale obecnie występuje jako hrabina Marliczowa.

Detektyw skłonił się z uniżonością.

Pan prezes doprawdy nie potrzebuje moich usług! Sam, zgóry wie, co mu pragnę zakomunikować. Właśnie przybyłem z tą wiadomością.

Panopulos uśmiechnął się, posłyszawszy to pochlebstwo.

— No, tak! — mruknął, nie wspominając, że domyślił się tego ze wzmianki w gazecie. — A któż to jest ten Marlicz?

— Jeszcze nie zdążyłem przeprowadzić o nim ścisłego wywiadu. Podobno zamożny polski arystokrata. Wynajęli przy ulicy Rivoli prywatne mieszkanie i mają zamiar tu dłużej pozostać. Ale, przynoszę jeszcze coś ważniejszego.

— Mianowicie?

— Wczoraj o północy miałem szczęście napotkać panią Tamarę koło willi, a nawet rozmawiałem z nią.

Panopulos poruszył się na fotelu.

Tu detektyw powtórzył przebieg wczorajszej rozmowy z Tamarą.

Panopulos z radości aż uderzył się ręką w kolano.

— Więc tak jej pan powiedział, panie Drenk? — że jeśli chce, niech składa wizyty w dzień, a nie w nocy? — Doskonale...

Począł się śmiać i teraz przypominał rechocącą żabę. Trząsł mu się wystający brzuszek i trzęsły obwisłe policzki. Raptem spoważniał.

— Sądzi pan, że te nocne oględziny willi w towarzystwie owego młodzieńca, zapewne małżonka, miały swój cel?

— Przypuszczam! Wszak pan prezes wspomniał że pani Tamara jest bardzo niebezpieczną osobą i pała zemstą do pana prezesa. Zachowywała się tak, jakby rozmyślała nad

tym, w jaki sposób dostać się do willi?

— A ów młody człowiek?

— Wyglądał dość przyzwoicie.

Przez chwilę panowało milczenie. Wydawało się, że Grek zastanawia się nad czymś innym, wreszcie rzekł:

— Co innego pogróżki, a co innego ich spełnienie. Kazałem panu pilnować panią Tamarę, bo z nią nigdy nic nie wiadomo i mocno podejrzany wydaje mi się ten przyjazd do Nizzy. Zresztą, wciąż ją śledzę... Ot, tak, może dla przyjemności. Ale, żeby w nocy? Nie, to byłoby głupie. Jak pan sądzi, czy ona naprawdę mnie odwiedzi?

— Przypuszczam! Szczególniej po moich słowach, a właściwie po tym, co kazał mi powtórzyć pan prezes, uczyni to przez samą ambicję.

— Ciekawe...

Jakby na potwierdzenie tych słów detektywa, w tejże chwili rozległo się pukanie do drzwi gabinetu. Tym razem ukazał się lokaj, niosąc bilet wizytowy na srebrnej tacy.

— Ona! — zawołał — hrabina Marliczowa! Wcześniej przybyła, niż sądziłem, gdyż dopiero jedenasta rano.

— Czy mam prosić?

— Oczywiście! Właściwie — popatrzył na swój wzorzysty szlafrok — powinienem się przebrać, gdyż nie wypada, aby w podobnym stroju przyjmować panią hrabinę. Ale trudno. Niechaj i tak będzie. Nie chcę, żeby czekała zbyt długo.

A gdy lokaj znikł, skinął na detektywa.

— Wejdzie pan do sąsiedniego pokoju!

Drenk przymrużył oko, porozumiewawczo i opuścił

gabinet.

— Ano, zobaczymy! — raz jeszcze burknął Panopulos, gdy pozostał sam, a na jego twarzy zarysowała się chytrość, złączona z nienawiścią.

Wnet, jednak wygładził swe oblicze i wykwitł na nim nawet pozornie uprzejmy uśmiech.

Do gabinetu weszła Tamara.

— Jakże się cieszę! — zerwał się ze swego miejsca i zbliżywszy się do niej ucałował jej rękę. — Jakże się cieszę, że raczyła pani mnie odwiedzić. Szczególnie, po ostatniej naszej rozmowie, nie sądziłem nigdy...

Uprzejmie przysuwał jej fotel, a gdy usiadła, powrócił na swe poprzednie miejsce i wskazując na swój strój, dodał:

— Zechce pani mi wybaczyć. Nie sądziłem, że wizyta nastąpi tak wcześnie.

Tamara wzruszyła ramionami, patrząc na te objawy niezwykłej towarzyskiej uprzejmości.

— Panie Panopulos! — rzekła. — Doskonale pan wiedział, że dzisiaj rano przyjdę, gdyż oznajmiłam o tym pańskiemu człowiekowi, owemu lokajowi, czy też detektywowi. Może, nastąpiłoby to później, gdyby nie wczorajsze spotkanie. Ale, czy wolno się zapytać, czemu pan mnie śledzi i dla czego ten detektyw zwracał się do mnie w nieprzyzwoitej formie?

— Oh! — opuścił powieki, jak to zwykle czynił w momentach, gdy szykował się do walki. — Trudno się dziwić, że interesuję się osobą pani hrabiny. A mój detektyw...

— Istotnie! — podchwyciła. — Widzę, że już pan ustalił,

że wyszłam zamąż i jak się nazywam!

— Pani hrabina Marliczowa! Nie trudno ustalić, gdyż tak brzmi bilet! — wskazał na wizytówkę.

— Wiedział pan wcześniej!

— Nie przeczę!

W Tamarze trzęsło się wszystko. Nie mogła jednak za żadną cenę dać poznać po sobie, do jakiego stopnia nienawidzi tego człowieka. Przeciwnie, musiała zmienić całkowicie ton, o ile chciała wygrać swą grę.

— Słuchaj! — wymówiła poufale, — porzućmy te wzajemne przycinki! Jeżeli przybywam do ciebie, to jako przyjaciel, a nie wróg. Pragnę, na zawsze przekreślić przeszłość i jeśli to możliwie pozostać z tobą w dobrych stosunkach. Czyż nie rozumiesz, że podobnym postępowaniem kompromitujesz mnie wobec męża?

Panopulosa zaskoczył widocznie ton Tamary i nie był na to przygotowany.

— Kompromituję?

— Pewnie! Przecież mój mąż nic nie wie o mnie, a jeśli słyszy podobne odezwania detektywa, może przypuszczać nie wiedzieć co!

— No, tak... — bąknął, jakby nieco zażenowany — ale, po tym, co zaszło pomiędzy nami, sama rozumiesz, że muszę się zabezpieczyć. Szczególniej, że przyjechałaś do Nizzy. Co prawda byłem na to przygotowany, bo w Paryżu zawiadomiono mnie, że dopytujesz się, gdzie mnie można odnaleźć. Domyśliłem się, że przyjedziesz. Musiałem przedsięwziąć pewne kroki ostrożności.

Wiedziała teraz, w jaki sposób został uprzedzony o jej

przyjeździe.

— Kroki ostrożności! — zawołała. — Ty, człowiek taki rozsądny, traktujesz poważnie pogróżki, rzucone w gniewie, przez kobietę? Czy sądziłeś, naprawdę, że pragnę pozbawić cię życia?

— Och! — wykonał jakiś nieokreślony ruch ręką, jakby chciał zaznaczyć, że Tamarze nie zbywało na dobrych chęciach, postąpienia tak właśnie.

— Sądziłeś — mówiła gwałtownie — gdyż uniosłam się i przysięgłam ci zemstę? Sama później śmiałam się z tego! Wogóle, zawdzięczasz wyłącznie swojej podejrzliwości, że rozeszliśmy się ostatecznie. Czy nie żałujesz, obecnie?

W Greku zagrały stare wspomnienia.. Nie zważając na to, że posłyszeć go może detektyw, znajdujący się w sąsiednim pokoju, tym razem szczerze począł wyrzucać ze siebie:

— Ja miałbym żałować? A jak ty, postąpiłaś ze mną? Chciałem wszystko dla ciebie poświęcić, wszystko składałem u twych nóg, a ty medytowałaś tylko nad tym, jakby mnie oszukać, wyciągnąć jaknajwiększą sumę, no i to jeszcze, co ci obiecałem, a później uciec. I do pomocy dobrałaś sobie tego Anglika Monsley‘a.

— Monsley był tylko moim przyjacielem.

— Przyjacielem, którego zastałem w nocy w twoim pokoju!

— Nic takiego strasznego! Niepotrzebnie wywołałeś skandal...

— Tamaro, wiem co mówię!

Z góry była przygotowana na te zarzuty i nie miała

ochoty, wdawać się w niebezpieczne dla niej szczegóły.

Znowu wzruszyła ramionami.

— Trudno, jeśli nie dajesz się przekonać! A czy ja ci robię wymówki, żeś mi wówczas odebrał różne prezenty oraz to, co już stanowiło moją własność, że pozostałam bez grosza na bruku. Nie dziw się, że w tej chwili gniewu, groziłam ci śmiercią. Co stałoby się ze mną, gdyby nie Kuzunow?

— No, tak! — mruknął. — Monsley był dla ciebie za biedny. Wtedy, poznałaś Kuzunowa, bankiera. Owszem, sprawdziłem. Zamożny człowiek i cieszy się doskonałą reputacją. Czemu nie wyszłaś za niego zamąż?

— Wolałam Marlicza.

— A któż to taki ten Marlicz?

— Chyba już zebrałeś o nim informacje? — wołała z tupetem — skoro mnie tak śledzisz. Marlicz należy do starej arystokratycznej rodziny, a prócz tego posiada rozległe dobra w Polsce.

— Ma być młody i przystojny! — podkreślił, jakoby z odcieniem zazdrości. — Winszuję! Taki bogaty? Nie słyszałem. Co prawda, mało jestem poinformowany o stosunkach w Polsce.

— Nic dziwnego!

Chwilę, w gabinecie panowało milczenie. Panopulos siedział nieruchomo, ze skrzyżowanymi rękami na okrągłym brzuszku, opuściwszy powieki.

— Powtarzam — poczęła pierwsza — że nie przybywam tu, jako wróg. Co się stało, nie odstanie i nasze życia poszły różnymi drogami. Może czasem żałuję, że cię straciłam.

Bo, mimo wszystko, lubię cię bardzo. Wiesz za co? Za twój rozum i spryt.

Rzucił jej spojrzenie z pod oka.

— No... no... — burknął łagodniej.

— Dla tego też uważam — mówiła dalej — że powinny ustać pomiędzy nami wszelkie nieporozumienia. Możemy być dobrymi przyjaciółmi. Po co, służyć za pastwę złośliwym językom ludzkim, szczególniej, że mam męża i muszę liczyć się z opinią. Skoro zobaczą że zapanowały pomiędzy nami dobre stosunki, ustaną plotki. Dość się naopowiadano o skandalu, jaki wywołałeś, kiedy zastałeś u mnie Monsley‘a i nie mało mnie kosztowało trudu, aby te brudy nie dotarły do Kuzunowa. Nie pragnę, aby to samo powtórzyło się z moim mężem. I tak jacyś durnie na promenadzie rzucali niewłaściwe uwagi pod moim adresem.

— O to ci chodzi?

— Pewnie! Gdy będziemy widywali się, choćby rzadko, ale nadal, a nawet poznam cię z moim mężem, nikt nie ośmieli się wygadywać głupstw i będę spokojna o przeszłość. Jesteś chyba na tyle rozsądny, że potrafisz to zrozumieć. Tyle dla mnie możesz uczynić! — tu rzuciła mu zabójcze spojrzenie. — Czy ty naprawdę, mnie nienawidzisz? Nie wierzę! Chwilami inaczej wspominasz Tamarę?

Widać było, że jej słowa poruszyły coś w Greku, gdyż drgnął w swym fotelu niespokojnie. Nienawiść często chodzi w parze z miłością i zdawał sobie sprawę, że piękna kobieta mimowoli poczyna na niego wywierać dawny

wpływ.

— Zaczekaj! — wymówił powstając z miejsca, poczem zbliżył się do drzwi i wszedł do sąsiedniej sypialni, gdzie znajdował się Drenk. — Może pan odejść! — szepnął. — Nie trzeba...

Następnie powrócił do gabinetu.

— Więc chodzi ci o to — spowrotem usiadł w fotelu — żeby choć dla oka ludzkiego zapanowały pomiędzy nami dobre stosunki?

— Nie tylko dla oczu ludzkich! — zaprzeczyła. — Jeśli chcesz, będę ci nadal wierną przyjaciółką. Złą mam głowę? Czy nie raz nie doradzałam ci dobrze w interesach?

— No, tak...

— Wszystko będzie zależało od ciebie...

Panopulos patrzył teraz na nią zupełnie inaczej i nawet nie opuszczał powiek. Widać jednak było, że grają w nim resztki nieufności.

— Co za zmiana! — szepnął. — Czyżby?

Zrozumiała.

— Myślisz że mam może, jakie ukryte cele na widoku? Twoja wieczna nieufność cię gubi. Wiem, co ci przychodzi na myśl. Że mój mąż, choć jest młody i pochodzi z arystokratycznej rodziny, nie jest zbyt bogaty i blaguję ci tylko o jego znacznej fortunie. Że z tego względu, pragnę nawiązać z tobą stosunki, może dla jakichś materialnych korzyści. Grubo się mylisz.

Tu wzrok Tamary znów tak kusząco spoczął na Greku, że ten aż lekko poczerwieniał. Wściekły był na siebie, ale czuł, że pożera ją wzrokiem.

— Szatan, nie kobieta! — pomyślał. — Trudno jej się obronić! Ależ, ma nóżki! Daje mi wyraźnie do zrozumienia, że mimo, iż posiada młodego męża... Tam, do licha! Głupieje na starość Panopulos... Toć, przed godziną jeszcze rozszarpałbym ją w kawałki.

— Czemuż tak się wiercisz niespokojnie! — rzuciła, ledwie tłumiąc śmiech. — Trafiło ci do przekonania, to co powiedziałam?

— Ty, naprawdę...

— Widzisz! Zaraz cię przekonam, że nie powodują mną żadne materialne korzyści!

— Przekonasz mnie?

— Tak!

— Ciekawym?

Teraz zbliżał się kulminacyjny moment rozmowy, ale Tamara wiedziała, że przygotowała grunt znakomicie. Domyśliła się nawet, że Panopulos, złapawszy się na wędkę jej czułych słówek i spojrzeń, oddalił detektywa, znajdującego się w sąsiednim pokoju.

— Teraz — poczęła tłumaczyć — wyłożę ci interes, który mnie do ciebie sprowadza i wnet zobaczysz, że dla mego męża pieniądze nie grają żadnej roli. Sądzę, że mi nie odmówisz, a naprawdę, możesz liczyć na moją wdzięczność. Jest to pewien mój kaprys, może więcej, niż kaprys. Chodzi o zaspokojenie ambicji. Szczególniej, że jeśli się zgodzisz, plotkarze raz na zawsze umilkną.

— Nie rozumiem?

— Pragnę kupić naszyjnik!

— Ty?... Kupić naszyjnik! — zdumienie zadźwięczało w

głosie Panopulosa.

— Cóż w tym dziwnego!

Naszyjnik ów, o którym już wspomnieliśmy, stanowił ozdobę kolekcji Greka i miał swoją historię, łączącą się ściśle z Tamarą. Mianowicie, Panopulos przeznaczył go na prezent ślubny i ten naszyjnik znajdował się nawet w jej posiadaniu. Po straszliwej awanturze, kiedy zastał u niej Monsley‘a, odebrał prawie siłą ten naszyjnik i zaniósł do domu, co doprowadziło ją do takiej wściekłości, że głośno przy świadkach groziła mu śmiercią. Nic dziwnego, wszak nazajutrz miała go doręczyć Bemerowi i zabrała już przed tym trzydzieści tysięcy franków zadatku od jubilera. Oczywiście historia ta, choć nie przedostała się do pism, wywołała wielkie poruszenie w Nizzy i cudem tylko nie dotarła do Kuzunowa, który w miesiąc później tam przybył, gdyż powtarzano ją wciąż, wspominając o Tamarze, jak choćby ci dwaj młodzi ludzie, napotkani na promenadzie przez Marlicza. Oto, było podłoże nienawiści Tamary do Greka i przysięgła sobie, ów naszyjnik zdobyć spowrotem.

Oczywiście, grała teraz znakomicie komedię.

— Cóż w tem dziwnego! — powtórzyła. — Wszyscy wiedzieli, że dla mnie przeznaczyłeś ten naszyjnik, a nawet publicznie pokazałam się w nim kilka razy. Później poczęto plotkować, żeś mi odebrał. Śmieją się ze mnie! Rozumiesz, jaki będzie efekt jeśli go nałożę spowrotem.

Panopulos pokręcił głową.

— Twój mąż naprawdę chce go kupić?

— Dla czegoż nie miałby go kupić? Stać go na to, a wie, że zrobi mi wielką przyjemność.

— No... no...

— Nie kiwaj głową, jak chińska lala! Powtarzam, nosiłam go i pragnę nosić. Wytłumaczyłam ci, z jakich względów. Sądzę, że zgodzisz się na tę tranzakcję, skoro swego czasu zamierzałeś mi go podarować. A pojmujesz, że będę ci za to niesłychanie wdzięczna...

Panopulos pomyślał, że naprawdę ktoś odmienił Tamarę. Przybyła do niego, nie chcąc się mścić, ani nawet nie zamierzając go naciągnąć, a poprostu pragnąc kupić naszyjnik i dając do zrozumienia, że może liczyć na to ustępstwo bardzo wiele, pomimo, że posiadała młodego męża. Czyżby to nie był tryumf istotny?

— Cóż, zgadzasz się? — nalegała.

— Hm... — odrzekł, po chwili.. — Czegoż nie zrobiłbym dla ciebie. Wprawdzie lubię naszyjnik...

— A jednak znajdował się już u mnie!

— Dlatego to, ostatecznie mógłbym ci go odstąpić! Tylko...

— Mąż mój wszystko zapłaci gotówką! — zgóry przewidywała jego zastrzeżenie. — Wymień tylko cenę...

Zastanowił się chwilę.

— Sześćset tysięcy franków — wymówił powoli. — Chyba nie będzie drogo! Tyle da każdy za niego. W rzeczy samej jest wart znacznie więcej. Szacują go na milion. Ale, dla ciebie robię możliwe ustępstwa.

Nie kłamał. Naszyjnik, istotnie oceniano na milion, a jeśli Bemer dawał połowę, to tylko dla tego, że jako kupiec pragnął na nim dobrze zarobić. Sto tysięcy nadwyżki, wymienione przez Panopulosa nie były w tym wypadku

wielką nadwyżką, i tyleż naprawdę zapłaciłby mu każdy bogaty amerykanin, lub inny, nie liczący się z groszem amator kosztownej biżuterii.

Ale Tamara, choć nie miała zamiaru zapłacić ani grosza, poczęła się targować dla niepoznaki.

— Och, drogo! Myślałam że ustąpisz mi go za pół miliona...

— Naprawdę, nie mogę...

— Nie bądź uparty...

— Dobrze! — zawołał ze śmiechem. — Niech będzie pięćset pięćdziesiąt tysięcy!

Zaśmiała się również.

— Widzisz że ustąpiłeś! Więc, zgoda! Pięćset pięćdziesiąt tysięcy! Porozumiem się z mężem i odwiedzimy cię razem, żeby sfinalizować tę tranzakcję. Sądzę, że nastąpi ona w najbliższych dniach gdyż spodziewamy się znacznej pieniężnej przesyłki z Polski.

— Doskonale!

Układ został zawarty. Tamara wyciągnęła rączkę, którą Grek ucałował teraz z wielkim zadowoleniem.

— Widzisz! — wyrzekła. — Po co było się kłócić! Czyż nie tak lepiej? Sądzę, że będziemy wielkimi przyjaciółmi.

— Niczego nie pragnę więcej!

Powstała z miejsca.

— Muszę uciekać! Zasiedziałam się, jak na pierwszą wizytę. Ale, mam nadzieję, że często będę cię teraz odwiedzać z mężem i bez męża! — dodała filuternie.

— Acz, jaknajczęściej bez męża!

— Niestety! Na przyszły raz mam z nim przybyć,

abyście się poznali i zakończył z tobą kupno naszyjnika. Powtarzam, stanie się to w najbliższej przyszłości. Jutro, pojutrze zawiadomię cię telefonicznie.

Tu nastąpiło coś nieoczekiwanego. Tamara zbliżyła się do grubasa i raptem pocałowała go w policzek. Poczuł się w roli amanta, który zdradza z lubą jej męża i chciał ją pochwycić w swe ramiona, ale wyślizgnęła mu się zręcznie.

— Powoli! — zawołała ze śmiechem i uciekła z pokoju.

Panopulos z żalem popatrzył na nią, poczem oblizał się i mruknął jakieś niezrozumiałe słowa po grecku. Znaczyły one prawdopodobnie:

— Czort, nie baba!

Kiedy Tamara opuściła willę Panopulosa, rozejrzała się uważnie, czy jej kto nie śledzi. A nuż ten przeklęty detektyw, Drenk? Ale, nie! Nikt jej nie obserwował i Drenka nie było w pobliżu. Wówczas, szybko podążyła naprzód, ale skierowała się nie do domu, a skręciła w jedną z bocznych uliczek.

Tam, przystanęła przed dość niepokaźną kamienicą i znów stwierdziwszy, że nikt jej nie podgląda, weszła do bramy. Później, znając widocznie doskonale drogę, podążyła na trzecie piętro jednej z oficyn i zatrzymała się przed drzwiami, na których widniała tabliczka: Alfred Garnier, grawer.

Zadzwoniła. Sam właściciel mieszkania otworzył jej drzwi.

— Pani baronowa! — zdziwił się na jej widok — a ja sądziłem, że pani więcej nie wróci!

Weszła do małej izdebki, zastawionej różnymi

przyrządami i szafkami.

— Martwił się pan? — zaśmiała się, podczas gdy zamykał drzwi za nią. — Sądziłeś pan, że narażę go na stratę?

— Och...

— Ma pan to jeszcze?

— Oczywiście! Przecież otrzymałem od pani baronowej zadatek, prócz tego nikomu nie mogłem sprzedać tej rzeczy...

— Rozumiem! Proszę mi pokazać!...

Garnier zbliżył się do jednej z szafek i wyciągnął stamtąd pudełko. Tamara pochwyciła je i otworzyła prędko. A gdy otworzyła, ukazała się prześliczna kolia i zagrały brylanty tysiącem świateł.

— Świetna imitacja!

— Wcale niezła! — mruknął z zadowoleniem. — Udała mi się!

Garnier, który na liście lokatorów figurował skromnie, jako grawer, w rzeczy samej wyspecjalizował się w robieniu sztucznej biżuterii. A ponieważ nie raz produkowane przez siebie kamienie, przedstawiał, jako prawdziwe doprowadzało go to do kolizji z władzami i nie miał ochoty otwierać własnego sklepu. Imitacja kolii Tamary przyszła mu tem łatwiej, że prawdziwy naszyjnik, będący wówczas w jego posiadaniu, miał przez kilka dni przed oczami. A imitację tę, obstalowała Tamara, już wtedy, jak możemy się domyślić, dla sobie wiadomych celów.

— Niezła! — powtórzył. — Czy paru baronowa zabierze ją zaraz ze sobą?

— Nie! — zaprzeczyła. — Nie mam obecnie tyle pieniędzy. Chciałam się tylko upewnić gdyż upłynęło pół roku. Dziesięć tysięcy za imitację, wcale niezła suma.

— Tylko osiem! — poprawił. — Dwa tysiące otrzymałem. Istotnie czekałem pół roku. Ale, za to nie liczę. Byłem w strachu, że pani baronowa rozmyśliła się. Nikomu tego nawet pokazać nie mogę.

— Cenię pana za dyskrecję. Jutro odbiorę imitację i dopłacę resztę pieniędzy. Siedem tysięcy, gdyż teraz daję jeszcze tysiąc, żeby pan widział moje dobre chęci — wyciągnęła banknot z woreczka. — Jutro, zajdę wieczorem. Oczywiście, zbyteczne dodawać, aby pan o tym nie mówił nikomu.

— Milczałem przez pół roku!

— Doskonale!

Tamara odetchnęła z ulgą. Obawiała się, że Garnier sprzedał komuś po cichu imitację a wykonanie nowej zajęłoby sporo czasu. Ale, skąd wziąć siedem tysięcy. Po wydatkach, związanych z podróżą, ubraniem Marlicza i wynajęciem mieszkania, pozostało niecałe pięć tysięcy.

A musi mieć do jutra siedem tysięcy, od tego żależy pół miliona.

Zamyślona podążyła do domu.

Tam, oczekiwał na nią Marlicz z niepokojem, wiedząc dokąd się udała. Chodził nerwowo, wielkimi krokami po pokoju, a gdy zobaczył ją, ucieszył się szczerze.

— Jesteś! — zawołał. — Siedziałaś tak długo, już byłem w obawie, że spotkała cię przykrość!

— Mnie? Przykrość? — wzruszyła ramionami.

— Przecież ten Grek...

— Wszystko poszło jaknajlepiej. Zdaje się, że mam w kieszeni pół miliona.

Teraz, należało przygotować Marlicza. Czuła, że napotka pewien opór z jego strony, ale nie robiła sobie wiele z tego.

— Słuchaj! — poczęła powtarzać to, co uważała za stosowne powiedzieć. — Zawiązałam z Panopulosem spowrotem jaknajlepsze stosunki i zgadza mi się ustąpić za pięćset pięćdziesiąt tysięcy kolię. Za kilka dni udamy się wspólnie do niego, aby raz jeszcze ją obejrzeć i wtedy oświadczysz mu, że ją kupujesz.

— Ty... — wybełkotał, zdumiony — chcesz wydać na jakiś naszyjnik pięćset pięćdziesiąt tysięcy...

— Nie wydam ani grosza.

— Jakto?

— Zamienimy prawdziwą kolię na fałszywą!

— Przecież on prędzej czy później na tym się pozna!

— Nic nam nie zrobi! Mam pewne jego listy i nie złoży skargi, w obawie skandalu.

Marlicz czuł, że drży cały, a na czole zakropliły mu się perły potu. Teraz dopiero zrozumiał, w jak niebezpieczną historię wciągała go kochanka.

— Ależ, to oszustwo! Za taki postępek grozi kilka lat więzienia!

— Głupi jesteś! Powtarzam, nic nie grozi! A co się oszustwa tyczy, to nie używaj takich gromkich słów.

— A jakże to nazwać inaczej?

— Że mój spryt zatryumfował nad sprytem Panopulosa. Oto, wszystko.

— Nigdy się nie zgodzę!

— To wrócisz na piechotę do kraju!

Popatrzył na nią chwilę w milczeniu, a później przypomniał sobie, że nie miał własnego grosza.

— Ach, tak...

Tamara znów zastosowała swój niezawodny system.

— Wiecznie, — wymówiła łagodniej — bez żadnego sensu doprowadzasz pomiędzy nami do niemiłych scysji, a później sam przyznajesz, że miałam słuszność. To samo było w Wilnie, to samo w Warszawie, a obecnie powtarza się i tutaj. Zgóry cię uprzedzałam, że będziesz mi pomocny w dość niebezpiecznej sprawie i teraz nie pora się cofać. Szczególniej... — tu urwała jakby nie chcąc dodać przez delikatność, gdy wydała na niego sporo pieniędzy i utrzymywała przez cały czas. — Mniejsza z tym... Wiesz, że nie mamy z czego żyć i musimy zdobyć znaczniejszą sumę. Bemer daje pół miliona. Gdy odtrąci się koszta — liczyła zapewne zadatek, cenę imitacji, oraz wydatki, związane z ich pobytem — pozostanie około czterystu pięćdziesięciu tysięcy...

— Ach! — szepnął, pojąwszy dopiero sens jej rozmowy z jubilerem oraz słowa, że podejmuje mu się dostarczyć to, co przyobiecała.

— Pozostanie — mówiła dalej — czterysta pięćdziesiąt tysięcy. To sumka wcale znaczna i za nią można urządzić się wszędzie, nie potrzebując, jak się wyrażasz, popełniać nowych oszustw. Oczywiście, nie pozostaniemy w Nizzy, a natychmiast wyjedziemy i chętnie zrezygnuję z opłaconego za pół roku komornego. Może, nareszcie, zrozumiesz? Bo,

uprzedzam cię, jeśli ta tranzakcja się nie uda, musielibyśmy się rozstać i musiałabym poszukać innego, naprawdę bogatego narzeczonego. Nie potrafię się obyć bez luksusu, a ty nie zapewnisz mi go swoją pracą. Co ty wogóle potrafisz zarobić? Nie wystarczyłoby dla mnie na jedwabne pończochy! Zdaje się, muszę posiadać do ciebie pewne przywiązanie, skoro w taki sposób usiłuję wydostać z matni, zamiast sprzedawać się starcom. Wybieraj, co wolisz! Rozstać się ze mną, ostatecznie, czy pozostać ze mną? Przecież, za czterysta kilkadziesiąt tysięcy, możemy sobie doskonale ułożyć życie. I jeszcze jedno, dodam na zakończenie, żeby uspokoić twoje wyrzuty sumienia. Z Panopulosem mam pewne porachunki i odbieram tylko to, co mi się słusznie należało. Nie popełniam więc, żadnego oszustwa, a odzyskuję swoją własność!

Marlicz począł znów teraz chodzić wielkimi krokami po pokoju, wycierając raz po raz pot, spływający mu z czoła. Tamara, która zdążyła doskonale poznać charakter swego kochanka, z góry przewidziała, że jej słowa trafią do zamierzonego celu.

Nie żartowała! Pojął, że o ile nie zgodzi się być jej powolnym narzędziem, porzuci go natychmiast i pozostanie bez grosza, za granicą, na bruku. To byłoby straszne, ale jeszcze straszniejsze, utracić Tamarę. Co za okropne położenie, a on nie ma siły być bez niej!

I jak każdy człowiek słaby, Marlicz powoli zaczął ulegać, począł sobie tłumaczyć, wspominając niektóre jej słowa, iż *to* może istotnie o jaką dawną rozgrywkę chodzi z Panopulosem i że wyolbrzymia niebezpieczeństwo, gdyż

ona sama ryzykuje najwięcej w pierwszym rzędzie. Skrupuły moralne odchodziły na dalszy plan. Czterysta pięćdziesiąt tysięcy! Za to istotnie można rozpocząć życie bez trosk.

— Więc powiadasz — wybąkał, przystając przed nią — że nie ma niebezpieczeństwa...

— Najmniejszego! — przytwierdziła, odwracając głowę.

Ach! Gdybyż teraz mógł zobaczyć jej wzrok. Przekonałby się, że nie ma w nim cienia ani miłości, ani przywiązania, a rysuje się tylko bezgraniczna pogarda. Tak spogląda człowiek, na kogoś, kogo musi używać do swoich niezbyt wyraźnych celów ale jednocześnie nie żywi dla niego najmniejszego szacunku i myśli jakby pozbyć go się, przy pierwszej sposobności. Cóż dziwnego? Czy mógł Tamarę przykuć do siebie człowiek słaby, niezdecydowany i ulegający jej we wszystkim, gdy ona ceniła tylko stanowczość i odwagę?

Niestety, Marlicz nie mógł zauważyć tego wszystkiego i niepomny poprzednich doświadczeń, pocieszał się już tym, że Tamara ma znakomitą głowę, wie co robi i dąży do ich wspólnego szczęścia.

— No, tak! — ponownie wybąkał z jakimś mdłym uśmiechem. — Nie mam zamiaru rozstawać się z tobą i obiecałem ci ślepo się słuchać we wszystkim!

Teraz patrzyła spowrotem na niego, ale nieokreślony grymas wykrzywił jej usta.

— Czyż nie lepiej było — mruknęła, nawet niezadowolona ze zwycięstwa, gdyż z góry była go pewna — dojść do tego przekonania pół godziny wcześniej?

Naprawdę, nużą mnie te ciągłe utarczki z tobą i wciąż wysuwane przez ciebie skrupuły...

— Maro...

— Szczególniej, że mam poważniejsze zmartwienie na głowie. Muszę dziś jeszcze zdobyć siedem tysięcy.

— Tu na miejscu?

— Przecież, nie pojadę po nie do Warszawy!

Na to, oczywiście Marlicz nie mógł znaleźć żadnej rady.

Wolał przezornie milczeć.

Za to Tamara przez jakiś czas siedziała pogrążona w zadumie, nie dzieląc się nawet z nim swymi myślami, jakby uważała, że skoro nic nie mógł dopomóc, dzielić się nimi nie było warto.

Wreszcie wymówiła:

— Dziś wieczorem pójdziemy do kasyna!

Istotnie, wieczorem znowu się znaleźli w rojnych i gwarnych salach, napełnionych tłumem graczy. Znów pełne podziwu spojrzenia biegły wślad za Tamarą, ale nie zwracała na nie uwagi. Również widać było, że nie przyciągała jej tu gra i że nie szuka tą drogą zdobycia upragnionej sumy. Raczej, odnosiło się wrażenie, że pragnie tu kogoś odnaleźć, gdyż jej wzrok biegł raz po raz badawczo po sali.

Nagle drgnęła. Widocznie, zdala spostrzegła tego, kogo pragnęła odszukać.

— Masz tu sto franków! — nieznacznie wetknęła Marliczowi banknot, wyjęty z woreczka, do ręki, gdyż, jak wiemy, nie posiadał nigdy własnych pieniędzy. — Zagraj w ruletkę! Będę musiała porozumieć się z kimś w dość

ważnym interesie.

— Z Monsley‘em? — syknął, spostrzegłszy kierunek wzroku Tamary i zauważywszy również zdala wysoką postać Anglika.

— Może i z nim!

— Pragniesz od niego pożyczyć pieniądze?

— Monsley i pożyczka! — wyrwał się jej szczery okrzyk. — Ostatni to człowiek, do którego zwróciłabym się z podobną propozycją. O co innego mi chodzi.

— Wolno wiedzieć o co? — szarpnęła nim zazdrość, gdyż przypomniał sobie wczorajsze zachowanie tego tajemniczego znajomego Tamary.

— Za długo mówić...

— Nie lubię tego Anglika!....

— Nie nudź! Lepiej graj i postaraj się wygrać jak najwięcej! — zażartowała. — Przecież tak pragnąłeś zagrać w ruletkę!

Nie czekając na jego odpowiedź odeszła i wnet spostrzegł, jak kłaniał się przed nią Monsley, znajdujący się przy jednym z dalszych stolików i całował jej rękę.

— Wstrętna małpa w monoklu! — pomyślał z nienawiścią, choć sam sobie nie umiał wytłumaczyć, przyczyny tej nienawiści. — Jaki może mieć interes do niego? Naprawdę, poczynam odgrywać głupią rolę.

Nie mógł jednak, podążyć za Tamarą, nie narażając się na jej niezadowolenie. To też, tylko z gniewem zagryzł wargi, poprzestając na obserwowaniu zdala rozmawiającej pary. Ale, cóż mógł wywnioskować z podobnej obserwacji, gdy nie słyszał słów? Oddalili się od stołu w głąb sali,

jakby pragnęli istotnie rozmawiać o jakimś interesie i Tamara wykładała coś Anglikowi, a ten z wielkim szacunkiem kiwał w odpowiedzi na jej słowa głową. Toć, każda rozmowa, w podobnych warunkach będzie nosiła charakter towarzyskiej przyzwoitości.

Czuł teraz większe rozdrażnienie. I ta jego niewyraźna sytuacja, która w całej pełni zarysowała się dopiero w czasie ostatniej rozmowy z Tamarą, ta historia z naszyjnikiem, wreszcie ten Anglik...

Jakie tu znaleźć wyjście?

Targany złymi przeczuciami rozmyślał nad tym wszystkim, przyglądając się mimowoli grze, toczącej się przy stole, przy którym przystanął.

Wreszcie, może chcąc skrócić chwilę oczekiwania na Tamarę, a może ogarnięty dawną namiętnością, wymienił banknot na sztony i począł grać.

Choć grał oczywiście, drobnymi stawkami, rezultat nie kazał na siebie długo czekać.

Nie upłynęło pół godziny i znalazł się bez grosza. Wtedy dopiero oprzytomniał i spojrzał w kierunku Tamary. Jeszcze rozmawiała z Anglikiem.

Pół godziny! Nie, tego było za wiele. Podniecony przegraną i zazdrością, bez wahania skierował się w ich stronę.

Spostrzegła go zdala.

— Cóż to zgrał się mój pan małżonek? — zawołała po francusku, gdyż w tym języku prowadziła rozmowę z Monsley‘em. Ile tysięcy poszło? — umyślnie przesadzała sumę.

— Et, głupstwo! — odparł, ściskając jednocześnie wyciągniętą dłoń Anglika.

— Zwykle tak bywa! — wyrzekł ten, patrząc na Marlicza z dziwnym uśmiechem. — Kto ma szczęście w miłości, nie zazna go w grze!

Marlicz najchętniej wybiłby mu teraz impertynencki monokl z oka. Jednak się pohamował.

— Długo jeszcze zamierzasz z nim rozmawiać? — zapytał po polsku, ledwie tłumiąc gniew. — Upłynęło już pół godziny!

— Zachowuj się przyzwoicie! — odparła również po polsku i z takim wyrazem twarzy, jakby rozmawiała z nim jaknajczulej, ale pojął, że jest rozgniewana. — Nigdy nie nauczysz się zachowywać należycie! Po coś tu przyszedł?

— Cóż mam robić ze sobą?

— Pójdziesz do baru, w sąsiedniej sali i zaczekasz! Jeśli nie masz pieniędzy, nie obawiaj się! Przyjdę tam niedługo zapłacę...

— Znowu za godzinę...

— Idiota! Idź w tej chwili...

Słowom tym znów towarzyszył najrozkoszniejszy uśmiech, po czem dodała po francusku:

— Najmocniej pana przepraszam, baronecie, żeśmy rozmawiali w obcym dla niego języku. Ale, mój mąż napotkał pewnego znajomego i pragnie pogawędzić z nim w barze. Pozostawia więc mnie jeszcze pod pańską opieką.

— Rozumiem! — skinął głową Anglik i znów popatrzył drwiąco na Marlicza. — Postaram się, aby jak najlepiej wypadła ta opieka.

Marlicz, zmusił się resztkami woli do pozornie uprzejmego ukłonu i skierował się w stronę restauracji. Czuł, że jeszcze chwila, a wywoła głośną awanturę.

Z zadowoleniem nawet, podążył do baru. Wiedział, że rychło znajdzie się tu Tamara, żeby go wykupić, a wtedy rozmyślił się ostatecznie. Jak traktowała go, z jaką ukrytą nienawiścią przemawiała. Nie, kilka kieliszków alkoholu może mu tylko dobrze zrobić i doprowadzić go do równowagi.

Rozglądał się za wolnym miejscem. Restauracja była szczelnie napełniona. Nic dziwnego. Ci, którzy się zgrali, szukali w coctail‘ach pocieszenia, a ci którzy odnieśli zwycięstwo nad ruletką, oblewali ten sukces.

Gdy tak się rozglądał, raptem ktoś z tyłu zawołał za nim głośno.

— Marlicz!

Obejrzał się zdumiony. Któż mógł go znać w Nizzy. A gdy się obejrzał, oczy mało mu nie wyszły na wierzch ze zdumienia.

Przy niewielkim stoliku, upiększonym butelką szampana, siedział czerwony i zadowolony „kotusik“. Pan Onufry Mongajłło we własnej osobie. Siedział, wyróżniając się z pośród obecnych swą niedźwiedzią postacią i musiał dobrze już łyknąć złocistego trunku, gdyż wyraz błogości osiadł na jego twarzy, zaczerwienionej obecnie od alkoholu. Raz po raz pokręcał sumiastego wąsa, odpowiadając na zaczepki dwóch kokotek, rezydujących przy sąsiednim stoliku i zupełnie wyraźnie zdradzających chęć, zarzucenia swych sieci na rozbawionego kresowca.

— Aj, Marlicz, kotusik! — powtórzył.

Cofnął się, nieprzyjemnie zaskoczony tym spotkaniem. Na każdego raczej mógł spodziewać się natrafić, niźli na Mongajłłę. Skąd on tu, w Nizzy? W dwa tygodnie po ich przyjeździe? Wnet nasunęły mu się niemiłe wspomnienia. Czyż ten gruboskórny szlagon nie był pośrednią przyczyną jego wykolejenia? Toć, gdyby nie napatoczył się wówczas w „Europie“ i nie zaczął pleść głupstw do Kozunowa o Tamarze, napewno nie nastąpiłoby to, co nastąpiło i Marlicz nie znalazłby się w sytuacji jakiegoś awanturnika. Ależ i tupet. Co prawda jest pijany, ale żeby po tamtych wypadkach jeszcze go zaczepić, gdy wówczas z nim się nie pożegnał?

Chciał, lekko skinąwszy głową, pójść dalej, nie zwracając uwagi na przyjacielskie ruchy ręką kresowca gdy ten, widząc, że Marlicz wcale nie ma ochoty się zbliżyć, zerwał się od stolika i z chyżością, której by nikt po nim się nie spodziewał, podbiegł do niego i swą niedźwiedzią łapą pochwycił jego rękę.

— Czegoż się dąsasz, kotusik?!

— Naprawdę... — wybąkał, starając się wyswobodzić. — Naprawdę, dziwię się panu...

— O tę historię w „Europie“? Toż, trzeba było uprzedzić, kotusik, słówka nie szepnąłbym Kuzunowowi. Skąd ja mogłem wiedzieć? A jakeście zaczęli robić ze mnie durnia, rozzłościłem się i wszystko chlapnąłem. Później, żałowałem kotusik...

— W każdym razie...

— Pójdź do stolika, kotusik...

— A kiedy... jestem zajęty...

— Nie bądź durny, kotusik! Chodź, pogadamy... A tak stoimy na środku sali, jak te dwa bałwany, a Francuziki dokoła się gapią. Oni ciągle na mnie się gapią, jakby człowieka nie widzieli. Osły, kotusik! No, chodź... Wolę z tobą posiedzieć, niż z temi umazanymi lafiryndami, co do mnie ślepiami wywracają — wspomniał dwie umalowane kokotki, zalecające się do niego. — Chodź, kotusik, a dowiesz się naprawdę czegoś ciekawego..

Może, dzięki tej zachęcie, a może poprostu dla tego, że Mongajłło silny, jak tur, ciągnął go niemal za sobą, Marlicz skierował się do zajętego przez niego stolika. Zresztą, trudno nadal było się gniewać o to, co się kiedyś stało. A nuż kresowiec miał istotnie coś interesującego do zakomunikowania?

Gdy tam dotarli i Marlicz, niezupełnie dobrowolnie, bo prawie siłą posadzony, znalazł się na kanapie obok Mongajłły, zapytał:

— Cóż to takiego ciekawego?

— Czekaj! — zaśmiał się w odpowiedzi. — Najpierw się napijemy, a tamto na koniec, kotusik! Musie — zawołał swoistą francuzczyzną na kelnera. — A daje no, przyjacielu, jeszcze tego sikacza! — wskazał na szampana. — Pijesz to i pijesz, jak wodę! Nie ma, jak nasza dobra starka! Kiedy tutaj tego nie znają!

A gdy kelner zjawił się z nową butelką, wmusił szklaneczkę w Marlicza, poczem począł prawić:

— Ty ciągle siedzisz zamarmuszony, kotusik i odpowiadasz półsłówkami! Gniewasz się, nie wiedzieć o

co! A ja przyczyniłem się do twego szczęścia!

— Pan? Do mojego? — zapytał zdumiony.

— Pewnie, kotusik! Gdyby nie moje gadulstwo w „Europie“, pani Tamara wyszłaby za Kuzunowa i nie została twoją żoną.

— Ach tak! — mruknął. — Skąd pan to wie, że jesteśmy małżeństwem?

— No, jakże, kotusik, czytałem w gazecie. Toć stało, jak byk! „Hrabina i hrabia Marliczowie!“

Poczerwieniał. Doznał wrażenia że kresowiec lekko z niego podrwiwa, lub stara się wybadać.

— No... tak, tak... — wymówił szybko, wspominając niefortunną wzmiankę, umieszczoną w piśmie przez Tamarę umyślnie dla Panopulosa. — Istotnie, wzięliśmy ślub...

— Tak prędko?

— W Paryżu! Po drodze... — kłamał.

— To i powinszować! I raptem taka odmiana? Byłeś skromnym urzędnikiem, a teraz cały pan! — popatrzył z dziwnym uśmiechem na drogie ubranie Marlicza. — I hrabią zostałeś, kotusik!

— Och! — odparł, zły. — Zawsze mieliśmy prawo do tytułu, tylko go nie używałem! A pieniędzy trochę — znowu kłamał — nadesłała mi rodzina, gdy się dowiedziała o moim ślubie z Tamarą. Mam zamożnych krewnych...

— To tacy bogaci Marlicze? Brawo, kotusik! A o tytule hrabiowskim nie wiedziałem, choć znam wszystkie wielkie rody w Polsce. Cóż ja głupi, stary! Wprawdzie Mongajłłowie mają tytuł książęcy, ale nigdy go nie

używam. Tytułów dziś używają tylko hochsztaplery. Ale, ja o tobie nie mówię, kotusik... Tobie tytuł nawet pasuje bardzo. Tylko, daruj, że cię nie będę nazywał hrabią. Ot, tak po starej znajomości, będę gadał, kotusik...

Marlicz czuł się coraz bardziej nieswojo. Mongajłło wyraźnie drwił z niego. Czyżby się czego domyślał i był daleko sprytniejszy, niż na to wyglądał?

— Cóż pan takiego pragnął mi zakomunikować? — usiłował przerwać draźliwą rozmowę.

— Jeszcze chwileczka... Przódy się napij! — znów napełniał szklanki.

— Dziękuję! Nie piję tyle! Może coś niezwykłego zaszło w Warszawie? — starał się wybadać.

— A cóż miało zajść niezwykłego, kotusik! Na twoje miejsce Kuzunow przyjął innego urzędnika. Bank nie zawalił się bez ciebie...

— Domyślam się! — syknął, podrażniony tonem starego. — A cóż Kuzunow? Przecież pan jest jego przyjacielem.

— No tak, przyjaciel! — Cóż ma być?

— Co porabia?

— Nie wiem, kotusik! Pewnie bardzo płacze, że cię stracił! A nawet nic nie wie o tym, że zostałeś hrabią!

— Et! — zawołał zniecierpliwiony. — Widzę, że z panem nie dogadam się. Trzymają się pana żarty.

Mongajłło zaśmiał się głośnym, rubasznym śmiechem.

— Żarty, powiadasz, kotusik? Zły jesteś, że się śmieję, zaraz zacznę płakać!

— Doprawdy...

— Czekaj, więc tak cię ciekawi Kuzunow...?

Może Marlicz dowiedziałby się wreszcie, co porabia jego dawny zwierzchnik, gdyby wtem, nie nastąpiła nieoczekiwana przeszkoda. Na salę restauracyjną weszła Tamara, widocznie ukończywszy tajemniczą rozmowę z Monsley‘em i poczęła się rozglądać, poszukując swego pseudo-małżonka.

Pierwszy dojrzał ją Mongajłło, gdyż Marlicz siedział z pochyloną głową i spostrzegłszy piękną kobietę ryknął swym tubalnym głosem.

— Aj, pani hrabina! Poproś ją do naszego stolika koniecznie, kotusik, wszystkie inne zajęte... Taki zaszczyt będzie dla mnie siedzieć z twoją żoną...

Ale i Tamara już ich dojrzała, a na jej twarzy zarysował się wyraz bezgranicznego zdumienia, taki sam, jak na obliczu Marlicza, gdy przedtem zobaczył Mongajłłę.

— Skąd ten bałwan tu się znalazł? — szepnęła do kochanka, gdy ten przecisnąwszy się przez stoliki, zbliżył się do niej, poczem skrzywiła się z niechęcią. — Też nie miałeś nic pilniejszego, niż odnowić z nim znajomość. Naprawdę dziwię ci się, po tej warszawskiej historii.

— Przyczepił się do mnie tak — począł tłumaczyć — że w żaden sposób, bez skandalu, pozbyć go się nie mogłem! Przeprasza, udaje przyjaciela, chociaż...

— Pożegnaj się z nim natychmiast, przecież nie będziesz żądał, żebym witała się z nim. Patrzeć nie mogę na tego idiotę!

Znać było, że jest wyjątkowo podrażniona.

— Zaraz się pożegnam — odparł, a nie mogąc się

powstrzymać, dodał złośliwie. — Jak wypadła konferencja z Monsley‘em? Potraktowałaś mnie, niczym lokaja! Widzę, że nie szczególnie, gdyż humor nie dopisuje...

— Dureń jesteś! — syknęła ostro. — Może przestaniesz urządzać głupie sceny zazdrości! Pożegnaj się i chodźmy do domu.

Nie tak łatwo było pożegnać się z Mongajłłą. Kresowiec, który pozostał przy stoliku i zdala obserwował tę całą scenę widocznie przypuszczając, że Marlicz namawia Tamarę, aby wraz z nimi zajęła miejsce, a ta się nie zgadza na to, raptem powstał i podszedł do nich, sądząc, że udobrucha piękną kobietę, własną wymową.

— Pani hrabino! — zawołał, kłaniając się i daremnie usiłując ją pochwycić za rękę, którą usuwała — toć niech pani hrabina, kotusik, nie gniewa się na mnie! My już z mężem zgodę zrobili! Nie moja wina to co się stało wtedy w „Europie“ i ja wasz szczery przyjaciel... Niech pani, kotusik, siada z nami choć na jedną chwilę... no za wasze szczęście małżeńskie wypijemy szklaneczkę.

— Dziękuję panu bardzo! — wymówiła lodowatym tonem. — Jestem zmęczona i pragnę udać się na spoczynek. Jerzy, idziemy...

Ale, kresowiec swą niedźwiedzią łapą zdążył już unieruchomić Marlicza.

— Aj, nieładnie, hrabino, kotusik! — wykrzyknął. — Ja do was z duszą, z sercem a wy jeszcze się chmurzycie? Chcecie mnie na pastwę zostawić Francuzkom? Przyjechałem do Nizzy bo dostało się sto tysięcy złotych za lasy, chciałem trochę zabawić się ze swoimi, a wy tak... Aj,

kotusik...

Gdy wspomniał o otrzymanej sumie jakoś dziwnie błysnęły mu oczy i nikt podobnego błysku nie mógł się spodziewać po dobrodusznym na pozór kresowcu. Ale, wzmianka o tej otrzymanej przez niego znacznej sumie, uczyniła i na Tamarze zapewne wrażenie, gdyż raptem zmieniła ton.

— Ach, skoro pan tak nalega — wyrzekła znacznie uprzejmiej — możemy panu towarzyszyć kilka minut. Dosłownie, kilka minut, gdyż czuję się znużona.

Marlicz spojrzał na nią zdziwiony, gdyż po poprzednich jej oświadczeniach nie spodziewał się podobnej decyzji. Nie odezwał się jednak, ani słówkiem.

— Doskonale! — zawołał, uradowany Mongajłło. — Wiedziałem, że pani hrabina nie będzie taka zła i nie pogardzi mną, starym. Chodźmy, kotusik, do stolika...

Zajęli tam miejsca we trójkę i Marlicz, w dalszym ciągu nie poznawał Tamary. Choć zapowiadała że zamierza zabawić tylko kilka minut, rychło zapomniała o tym postanowieniu i nie wspominała o chęci powrotu do domu. Przeciwnie, wychyliła z kresowcem kilka kieliszków szampana, co wprawiło go w nieopisany zachwyt i wogóle poczuła się w jego towarzystwie, niczym w towarzystwie najlepszego przyjaciela.

Słowem, zapanowała całkowita zgoda. Gadano o tym o owym, nie poruszając draźliwych tematów i jakby umyślnie, unikając wzmianki o Kuzunowie. Natomiast, Tamara, szybko wyciągnęła z Mongajłły, że przywiózł prawie całą otrzymaną sumę do Nizzy i że pragnie dobrze

się zabawić.

A gdy zbliżyła się pora, o której zamykano kasyno — kilka minut Tamary zamieniło się w dobrych kilka godzin — raptem zawołała ze śmiechem:

— Jaka szkoda, że zamykają! Tak chętnie zagrałabym teraz! Ale, nie w tę głupią ruletkę! Ot, naprzykład w pokera! Może pan gra w pokera? — zwróciła się do Mongajłły.

— Bardzo lubię! — oświadczył.

Był mocno podchmielony i w znakomitym humorze. Prawił Tamarze staroświeckie komplimenty, ale zachowywał się względem niej z całkowitym szacunkiem i nie robił żadnych aluzji, co do ich hrabiowskiego tytułu, jak poprzednio do Marlicza.

— Lubię, kotusik! — powtórzył. — I jabym zagrał! Ale, gdzie? — Toż tu zamykają!

— Jedźmy do nas! — zawołała, klasnąwszy w dłonie, jakby jej przyszedł genialny pomysł do głowy. Zrobimy małą partyjkę! Chyba, że pan zmęczony?

— Ależ, nie, kotusik, hrabino! Projekt przedni! Jedziemy do pani. Tylko, wezmę ze sobą ze dwie butelczyny szampana!

Rychło, opuściwszy kasyno znaleźli się w ich prywatnym mieszkaniu i zasiedli przy zielonym stoliku. I tu nadal Mongajłło był rozkoszny. Pił, forsował do picia i sam rozpoczął dość wysoką grę. Właściwie ta gra odbywała się tylko pomiędzy nim, a Tamarą, kilka ostrych jej spojrzeń zmusiło Marlicza do ostrożności i oględnych stawek. Lecz, kresowcowi nie dopisywało szczęście. Raz po raz wyciągał

grubsze banknoty z dobrze napchanego portfelu i góra ich rosła przed Tamarą. Co prawda, Marlicz w czasie tej gry, zauważył dość dziwne szczegóły. Zauważył, że as, spoczywający spokojnie na dole talii kart, raptem znalazł się w czwórce asowej, którą Tamara zwyciężyła kolor kresowca, co go kosztowało znaczną sumę. Ale, może było to tylko przywidzenie, gdyż po licznych kieliszkach szampana kręciło mu się w głowie a nawet kiedyś waleta niechcący przyjął za damę, co wywołało wzgardliwy uśmiech kochanki.

Dopiero gdy było już całkowicie widno i słońce promieniami zalewało pokój, o piątej nad ranem przerwano grę. Mongajłło wychodził lżejszy o dziesięć tysięcy franków.

— Cóż — rzekł, na pożegnanie z prawdziwą dżentelmenerią. — Przegrało się, to przegrało! Nie tak jeszcze wielka dla mnie suma, kotusik! A nie żal przegrać do pięknej kobiety!

I znów wydało się Marliczowi, że nieokreślony uśmiech pojawił się na twarzy kresowca i że tę swoją przegraną normował właśnie do tej sumy.

A gdy Mongajłło znikł, wycałowawszy bez końca rączki Tamary i zapewniwszy, że musi ich odwiedzić w najbliższej przyszłości, odezwała się do kochanka.

— Ostatecznie, dobrze się stało żeś spotkał tego starego żubra! Może nam się przydać! Kiedy zobaczą, że przebywa w naszym towarzystwie, nikt co do nas nie poweźmie podejrzeń.

— No — dodał — przydadzą się i te dziesięć tysięcy!

Chyba nie potrzebny będzie ci Monsley...

— Przestań z tym Monsley‘em! — zawołała, poczem dodała w zamyśleniu, patrząc na kupkę banknotów leżącą jeszcze na stole. — Nikt mi nie będzie potrzebny! Dzisiejsza wygrana, to dobry omen. Jutro załatwię wszystko — wspomniała, że może wykupić imitację kolii — i powiedzie się nasz wielki interes.

Marlicz milczał. Wolał chwilowo nie myśleć o historii z naszyjnikiem. Również, nie chciał czynić żadnych aluzji, do sposobu gry jaki zauważył u Tamary.

— Ale! — zawołała raptem, po chwili wahania. — Czy ty wiesz, jaką niezwykłą wiadomość zakomunikował mi Mongajłło, kiedy wychodził z pokoju?

Istotnie, wychodził kilkakrotnie z pokoju, przynosząc szklanki i talerzyki, aby nie budzić służącej. Przypomniał sobie również że i jego zaciekawił kresowiec w kasynie, przy stoliku obietnicą jakiejś niezwykłej informacji, której ostatecznie nie posłyszał z powodu nadejścia Tamary. Widocznie, była szczęśliwsza od niego.

— Cóż takiego? — zapytał.

— Kuzunow jest w Nizzy! — wymówiła, nie patrząc mu w oczy. — Przypuszczam, że przyjechał razem z Mongajłłą!

— Kuzunow w Nizzy?! — powtórzył zdumiony.

ROZDZIAŁ VII.[2]

Następnie, wszystko odbyło się według programu, z góry ułożonego przez Tamarę.

Za pieniądze, wygrane od Mongajłły, wykupiła nazajutrz samego rana imitację kolii, sfabrykowaną przez Garnier‘a po czym zatelefonowała do Panopulosa.

Grek ucieszył się szczerze i odrazu wyznaczono spotkanie na ten sam wieczór. Niezwykle uprzejmie zaprosił ją wraz z mężem na godzinę ósmą, do swej willi na kolację a przy tej okazji miał pokazać naszyjnik oraz ustalić dzień sprzedaży.

Tamara zacierała ręce z radości. Wszystko znajdowało się na najlepszej drodze i nie mógł jej spotkać żaden zawód. Wydawało się jej, że naszyjnik już ma w swojej kieszeni.

To też wieczorem, niezwykle elegancko ubrana, w towarzystwie Marlicza w smokingu, stawiła się punktualnie w willi Panopulosa. Może pewną dysharmonię z jej wykwintnym wieczorowym strojem stanowiła tylko nieco za duża torebka. Ale trudno. W tym wypadku wolała być mniej elegancka, gdyż w tym woreczku znajdowała się właśnie imitacja kolii.

Panopulos, również w smokingu, przyjął ich, dosłownie z otwartymi rękami.

Salony willi były rzęsiście oświetlone, kręcił się po nich rój wygalonowanej służby, prócz oczywiście detektywa Drenka, ukrytego gdzieś.. — Tamarę podejmowano niczem udzielną królową.

Chwilę Grek tylko patrzył badawczo na Marlicza, jakby z odcieniem zazdrości, ale wnet się opanował.

— Zachwycony jestem z poznania pana hrabiego! —

wyrzekł uprzejmie. — Z żoną pańską łączy mnie długoletnia przyjaźń, sądzę, że i my pozostaniemy w przyjaźni!

Marlicz odpowiedział ukłonem. Kiedy szedł na tę wizytę, długo przedtem musztrowała go Tamara. Każde jego słowo, każdy ruch był obliczony. Mimo wszystko drżał z wewnętrznego niepokoju i, obawiał się wciąż, że zdradzi się czymś niepotrzebnym i wybuchnie skandal.

— Stanowczo nie jestem stworzony na hochsztaplera! — myślał, choć wykonywał wszystko, co rozkazała kochanka.

Serdeczne przyjęcie Panopulosa uspokoiło go nieco. Dziwił się nawet, że Tamara tak wymyślała na bankiera, nazywając go najchytrzejszym z Greków, podczas, gdy był wcale sympatyczny. A słowa kochanki wlały mu ostatecznie otuchę do serca.

— Widzisz jak nas wita! — szepnęła po polsku, gdy wślad za gospodarzem kierowali się do wielkiego salonu. — Mówiłam ci, że nie masz się czego obawiać. Tylko, nie trać tupetu i zachowuj się, jak prawdziwy hrabia!

Krótko trwała pogawędka w salonie. Wnet, ukazał się kamerdyner, oznajmiając, że podano do stołu i przeszli do jadalni, połyskującej od srebra, bronzów i porcelany. Marlicz w życiu nie widział podobnego przepychu, a gdy zbytnio na te wszystkie wspaniałości wytrzeszczał oczy, poczuł uszczypnięcie Tamary pod stołem.

— Nie gap się — znów szepnęła — jak nędzarz, który po raz pierwszy znalazł się w pałacu!

Przybrał obojętną minę lorda i w dalszym ciągu siedział już, jak ktoś, któremu nic zaimponować nie może.

Kolację spożywali tylko we trójkę i rychło dzięki znakomitym potrawom i trunkom, zapanował przy stole nastrój niewymuszony i miły tak, że zapomniał nawet na chwilę, w jakim celu tu się znalazł.

— Hm... — pomyślał. — Dobrze jest być bogatym! Nie dziwię się, że Tamara tęskni do podobnego luksusu.

Dopiero, gdy wstali od stołu i gospodarz powiódł ich do mniejszego saloniku, gdzie już znajdowała się przyszykowana czarna kawa i likiery, przypomniał sobie o naszyjniku.

— A jednak — przemknęło w duchu — niezbyt przyjemne jest oszukiwać człowieka, który nas podejmuje tak gościnnie i serdecznie.

Ale, cofać się było zapóźno. Szczególniej, że sam Panopulos rozpoczął rozmowę na wiadomy temat.

Gdy znikł lokaj, napełniwszy powtórnie filiżanki kawą i gdy wychylono parę kieliszków znakomitego likieru, zwrócił się do Marlicza.

— Panie hrabio! — rzekł. — Wiem, że prócz chęci spędzenia paru godzin w moim towarzystwie, sprowadza pana do mnie i interes. Wspominała mi o nim małżonka.

— Och, tak! — wymówił niedbale, choć wewnątrz zadrżało w nim wszystko. — Naszyjnik...

— Pani Tamarze zależy bardzo na tym, żebym go odstąpił. A ponieważ życzenie pięknej kobiety jest dla mnie rozkazem...

Ognisty wzrok Panopulosa, który teraz nie opuszczał powiek, pobiegł w kierunku Tamary, siedzącej obok niego w głębokim, klubowym fotelu. Wydawał się być

zachwycony. Nic dziwnego. Przez cały czas kolacji nóżka Tamary spoczywała na jego nodze i jej kolano przyciskało go czule.

— Co prawda — dodał — lubię tę kolię i stanowi ona ozdobę mego zbioru, skoro jednak obiecałem...

— Wdzięczny jestem panu prezesowi — odparł Marlicz i sam się zdziwił, że udawanie idzie mu łatwo. — Cena została zdaje się, umówiona z żoną?

— Tak! Pięćset pięćdziesiąt tysięcy!

— Całkowicie ją akceptuję! — powtarzał wyuczoną lekcję. — Tylko będzie pan musiał zaczekać kilka dni. Właśnie dziś otrzymałem wiadomość — sięgnął ręką do kieszeni, jakby zamierzał pokazać jakiś list — że sprzedano jeden z moich majątków i przekazano mi pieniądze do Nizzy. Nadejdą zapewne w końcu tygodnia i wtedy ureguluję należność. Pragnę tylko upewnić się, że pan prezes nie cofnie się do tego czasu.

— Och, nie cofnę się bezwzględnie!

— Nigdybym panu tego nie darowała! — zawołała Tamara, przybierając minę rozkapryszonego dziecka. — Muszę mieć ten naszyjnik! Tylko pod tym warunkiem wyszłam zamąż za Jerzego...

Mężczyźni roześmieli się.

— Ale, — mówiła dalej, udając rozkapryszoną. — Prezes Panopulos nie odmówi mi jeszcze jednej małej przyjemności! Naszyjnik ma do mnie należeć dopiero za kilka dni. Tak długo muszę czekać! Jako odszkodowanie musi mi pan dziś jeszcze dać go przymierzyć! Wszak nie odmówi mi pan tego, panie Konstantynie? — zwróciła się

poufale do Greka.

Ten zerwał się z miejsca.

— Taka, bagatelka! I mnie będzie bardzo miło zobaczyć go przez chwilę na pani szyi. Sam pójdę przynieść kolię, gdyż jest zamknięta w kasie, znajdującej się w moim gabinecie.

Znikł.

Triumf zarysował się na twarzy Tamary, kiedy pozostali we dwójkę z Marliczem w salonie.

— Wszystko idzie znakomicie — szepnęła — spisałeś się lepiej, niż myślałam! Nie rób teraz takiej przerażonej miny! Zaraz zamienię naszyjnik! — sięgnęła do torebki i, wyjąwszy stamtąd imitację, wsunęła ją za gors sukni.

— A jeśli zauważy coś podejrzanego? — znowu ogarnął go lęk.

— Nic nie zauważy! Bądź spokojny.

— A później, jak się połapie? Toć uderzy go chyba nasz niespodziewany wyjazd z Nizzy i zrezygnowanie z tej tranzakcji?

— Powiedziałam ci już, że nawet jeśli zdziwi go nasz niespodziewany wyjazd i stwierdzi zamianę naszyjnika, będzie siedział cicho z pewnych względów.

— Jakich?

— Nie nudź! Nie pora o tym rozmawiać — nieco nerwowo poprawiła imitację kolii, ukrytej za gorsem.

— Naprawdę... — wybełkotał.

— O co ci chodzi jeszcze?

— Naprawdę, przykro takiego człowieka.. Toć ten Panopulos odnosi się do nas z całkowitym zaufaniem.

Oczy Tamary rozszerzyły się i popatrzyła na kochanka tak, jak się patrzy na skończonego głupca, który nigdy nie nabierze rozumu i z którego żadnego nie będzie pożytku.

— Ach, żałujesz Panopulosa! Bardzo pięknie! Złóż mu za kilka dni kondolencje.

— Maro!

Wzruszyła ramionami.

— Bądź cicho! Wraca.

Istotnie w sąsiednim pokoju rozległy się kroki i w saloniku ukazał się z powrotem Panopulos, uśmiechnięty, niosąc w ręku dość duże safianowe pudełko.

— Oto, upragniona zabawka! — podał pudełko Tamarze.

Ledwie mogła powstrzymać drżenie rąk, wyciągając je po tę upragnioną zdobycz. Na pozór jednak spokojnie wzięła pudełko i niby obojętnym ruchem otworzyła. Dopiero, gdy wspaniałe kamienie zagrały tysiącem świateł w blasku elektryczności, wydała radosny okrzyk:

— Jaki, wspaniały!

Marlicz powstał z miejsca i zbliżył się do niej.

— Istotnie! — potwierdził.

— Zaraz przymierzę, — wymówiła ze śmiechem który brzmiał zupełnie naturalnie. — A ty porozum się ostatecznie z prezesem...

Wchodziło to w skład zgóry ułożonego planu. Podczas, gdy Marlicz zasłoniwszy ją plecami, miał zagadać czymś Greka, zamieniała prawdziwy naszyjnik na fałszywy.

— Panie prezesie — przemówił do niego ujmując go pod rękę i odciągając nieco w głąb pokoju, ale nie mogąc wymóc na sobie, aby mu spojrzeć prosto w oczy — nie

gniewa pan się na mnie, że nie zostawię mu dziś zadatku? Ale, powtarzam, za kilka dni dostaję pieniądze i wolę uregulować całość.

— Głupstwo! — odparł uprzejmie bankier. — Toć to tranzakcja między przyjaciółmi. — Cieszy mnie raczej, że jest pan na tyle bogaty, że może sobie pozwolić na podobnie kosztowną fantazję — tu wydało się Marliczowi, że ironia zadrgała w głosie Greka — ale czego się nie robi dla ukochanej kobiety!

Mimowoli drgnął. Byłaż to aluzja, czy też jego nerwy? Byle się nie zaczerwienić, byle się nie zdradzić! Przecież w tej chwili Tamara zamieniała naszyjnik. Spojrzał uważnie na Panopulosa, lecz ten, swoim zwyczajem, trzymał teraz powieki opuszczone do dołu.

— Et, chyba przywidzenie.

— Spójrzcie! — zawołała, a był to sygnał, że zamiana została dokonana — Spójrzcie, jak mi ładnie w tym naszyjniku!

Marlicz usunął się i odetchnął głęboko. Teraz nie miał potrzeby zasłaniać Tamary swoją osobą i pewien był że Panopulos też nie spostrzegł podejrzanej machinacji. Zresztą utwierdził go w tym okrzyk Greka.

— Prześlicznie!

Również kiwnął głową. Jednocześnie, gdy teraz minęło bezpośrednie niebezpieczeństwo i wszystko zostało wykonane, stwierdził w duchu ile to kosztowało go wysiłku...

— Za żadne skarby — myślał — nie dałbym się po raz drugi wciągnąć w podobną kombinację. Toć przed chwilą

wydawało mi się, że Grek wrzaśnie na mnie: ty złodzieju!

Nic jednak podobnego nie nastąpiło i odrazu poznać, że Panopulosowi nawet na chwilę nie powstało w głowie posądzenie, aby Tamara mogła przybyć do niego wraz z mężem, w jakichś podejrzanych zamiarach.

Stał obok niej cmokając i podziwiając fałszywą kolię otaczającą jej szyję i sprawa poszła daleko łatwiej, niż można było to przypuszczać.

Naprawdę, pod wpływem zabójczych spojrzeń pięknej kobiety, Grek wyzbył się całkowicie swej zwykłej podejrzliwości.

Przedłużenie wizyty nie leżało teraz w zamierzeniach Tamary.

— Jaki piękny naszyjnik — westchnęła. — Cóż, kiedy muszę się z nim rozstać! Miejmy nadzieję, na krótko.

Odpięła kolię. Zdjęła ją z szyi i ze świetnie udanym smutkiem położyła spowrotem do pudełka, poczym to pudełko doręczyła Panopulosowi. Ten przyjął je z rąk i niedbale postawił na sąsiednim stoliku.

— Tak, na krótko! — powtórzył.

Tamara w kilkanaście minut później powstała z miejsca i poczęła żegnać gospodarza ku wielkiemu żalowi Greka, który usiłował ją jeszcze zatrzymać. Szybkie odejście pozorowała zmęczeniem, a Panopulos odprowadził ich aż do wyjścia z willi, zapewniając, że dawno nie spędził tak miłego wieczoru i że bardzo prosi panią hrabinę i pana hrabiego, aby zechcieli go uważać stale za swego przyjaciela i niezależnie od tranzakcji z naszyjnikiem często odwiedzali w przyszłości.

Oczywiście obiecała mu to z jaknajsłodszym uśmiechem i rozstali się serdecznie.

Dopiero, gdy znaleźli się w wynajętym, prywatnym samochodzie, który przez cały czas wizyty oczekiwał na nich przed wejściem do pałacyku — skolei odetchnęła głęboko i szeptem, po polsku wymówiła do Marlicza, tak że szofer nie mógł jej usłyszeć:

— Czegoś się tak bał? Poszło wszystko gładko... — lekko dotknęła ręką miejsca, gdzie za suknią znajdowała się kolia, lecz nie przekładała jej do woreczka widocznie w obawie, aby tego ruchu nie zauważył kierowca — Mamy w kieszeni pół miliona. Jutro rano porozumiem się z Bemerem.

— Sporo kosztowało mnie to zdrowia — odrzekł równie cicho.

— Boś głupi! Ja dzisiejszy dzień zaliczam do wielkich triumfów. Nie o pieniądze mi chodzi. Chodzi mi o to, że okazałam się sprytniejszą od tego podłego Greka.

Marlicz był o Panopulosie odmiennego zdania. Mruknął coś nieokreślonego.

— Jeszcze cię trapi sumienie — zaśmiała się cynicznie. — A może znów się obawiasz, że się pozna? Gdyby nawet się poznał, a najwcześniej może nastąpić to jutro, zaręczam, że nie złoży skargi. Wiem, doskonale, co robię i zgóry wszystko obliczyłam. Znam za dobrze jego interesy a niektóre nie znoszą światła dziennego. Będzie milczał. Najwyżej odchoruje tę przygodę, ale nie z powodu materialnej straty, gdyż pół miliona nie stanowi dlań poważnej sumy, a dla tego, że ostatecznie zwyciężyła go

Tamara.

— No, tak...

— Nie mrucz! Muszę cię pochwalić, że pomogłeś mi znakomicie. Gdyby nie bajeczka o naszym ślubie i twoich majątkach w Polsce, nigdyby Panopulos nie wyzbył się swojej podejrzliwości i tak prędko nie znalazłabym dostępu do willi. Teraz rozumiesz, po co robiłam to wszystko i dlaczego przywiozłam cię do Nizzy.

— Rozumiem! — powtórzył.

W jego głosie zadźwięczało rozgoryczenie. Nie wiedzieć dla czego, raptem zarysowały mu się w głowie wszystkie ubiegłe wypadki i doznał wrażenia, że zabrała go zagranicę, pomimo zapewnień miłości i czułych słówek, nie tyle dla niego samego, ile po to, by mieć oddanego pomocnika, bezwolnego pionka, spełniającego z góry wyznaczoną rolę. Czyż zresztą nie zaznaczała tego często? W takim razie? Wnet, jednak usiłował się pocieszyć.

— Co się stało, już się nie odstanie! — szepnął. — Mimo całego mego przywiązania do ciebie, po raz drugi nie zgodziłbym się na podobną wyprawę. Twierdzisz, że to się nie powtórzy, że rozpoczniemy nowe życie?

— O, tak! — odparła, przyciskając znów dłonią swój skarb — rozpoczniemy nowe życie!

Dzięki półmrokowi, panującemu w samochodzie, nie zauważył wyrazu jej twarzy, kiedy wymawiała te słowa. Gdyby go zauważył, napewno zdziwiłby się i zapytał, czemu uśmiecha się wzgardliwie. Ale, w jego wyobraźni już rysowały się plany przyszłości i chwilami nie pamiętał nawet w jaki sposób zostały zdobyte pieniądze na

zapewnienie tej przyszłości.

Tak jechali chwilę w milczeniu, gdy wtem Tamara poruszyła się, niespokojnie, jakby przypomniawszy sobie o czymś.

— Ach! — zawołała.

— Cóż takiego?

— Zupełnie, zapomniałam, że umówiłam się w kasynie z Monsley‘em. Spojrzała na zegarek-bransoletkę. — Blisko dwunasta... Będzie na mnie czekał.

— Znowu z Monsley‘em! — skrzywił się, niezadowolony.

— Niemożliwy jesteś z twoją zazdrością! Miałam do niego pewien interes i już nie mam. Widzisz, rezygnuję z wszelkich z nim interesów, byle ci nie robić przykrości.

— Jakich?

— Zbyt długo tłumaczyć! Zresztą, powinieneś się domyślić, raczej finansowej natury.

Choć pojął, że po wygranej od Mongajłły i po zdobyciu upragnionego naszyjnika, Monsley przestał jej być potrzebny, poczerwieniał z zadowolenia. Podświadomie nienawidził sztywnego i aroganckiego Anglika i był o niego zazdrosny.

— Więc nie pójdziesz? — zapytał ucieszony.

— Istotnie, nie mam zamiaru, gdyż nudzi mnie ten bałwan — odrzekła, a Marlicz doznał wrażenia, że ktoś głaszcze go po sercu — nie lubię jednak być niegrzeczna. Należy go zawiadomić, że nie przybędę.

— Cóż zamierzasz?

— Może spełnisz tę misję! — rzuciła z filuternym

uśmiechem. — Chyba nie będzie ci zbyt przykro? Jak sądzisz, Jerzy?

Aż podskoczył na siedzeniu i, objąwszy Tamarę, ucałował ją gorąco, przed czym się nie broniła, choć od kilku dni okazywała mu pewną oziębłość.

— Nie mogłaś mi zrobić większej przyjemności! — zawołał. — Drażnił mnie ten Anglik! Widzę, że jesteś moją jedyną, kochaną Marą, i że mogę mieć do ciebie całkowite zaufanie. Masz rację, byłem zazdrosny. Przekonałaś mnie, że niesłusznie!

— Stale ci powtarzam, że jesteś głupcem! — znów zaśmiała się i musnęła wargami jego policzek. — Więc, pójdziesz do kasyna i odszukasz Monsley‘a...

— Cóż mam powiedzieć?

— Powiesz mu tylko, że sprawa, którą omawialiśmy wczoraj jest nieaktualna i że dziękuję mu za dalszą pomoc.

— Nic więcej? To wystarczy?

— Całkowicie! Zrozumie o co chodzi! Zresztą, skoro zaznaczyłam, że to interes finansowy, wszystko jest aż nadto jasne.

— Najzupełniej!

Zastukała na szofera, który właśnie przejeżdżał ulicą prowadzącą do kasyna, a gdy ten się zatrzymał skinęła na Jerzego.

— Wysiądź, zawiadom Anglika i wracaj prędko do domu! Wszak mamy różne inne pilne sprawy do omówienia.

Raz jeszcze ją ucałował i raźno wyskoczył z auta. Samochód ruszył dalej i padł na niego wzrok Tamary. I

znów nie zauważył dziwnego wyrazu, twarzy pięknej kobiety. A zarówno wyraz twarzy, jak i wzrok świadczył, że powierzona mu misja może wcale nie jest łatwa.

Szybko podążył naprzód ulicą i rychło znalazł się w alei okolonej drzewami, skąd już dobrze widać było wejście do kasyna. Już znajdował się w niewielkiej odległości od schodów prowadzących na taras, gdy wtem zauważył, że wychodzą, widocznie opuściwszy salę gry dwie dobrze mu znajome postacie.

Mongajłło i Kuzunow.

Tak. Kuzunow i Mongajłło! Po tym, co powiedziała mu wczoraj Tamara, nie zaskoczyło go zbytnio, gdyż wiedział, że jego dawny zwierzchnik przebywał w Nizzy. Również wiedział, że przyjaźni się z kresowcem, i że zapewne razem przybyli zagranicę. Ale pochłonięty wizytą u Panopulosa i historią z naszyjnikiem, nie miał czasu nawet się zastanowić, co sprowadziło do Nizzy dyrektora i czy przybył tu przypadkowo, czy też był poinformowany o pobycie Tamary. Chyba przypadkowo, bo cóż mogłoby zależeć mu na Tamarze po awanturze w „Europejskim“ i skąd mógł wiedzieć, że właśnie tutaj się znalazła? Zapewne dopiero dzisiaj kresowiec opowiedział mu wszystko.

W każdym razie czuł się winnym wobec Kuzunowa i nie miał wcale ochoty natknąć się bezpośrednio na dyrektora.

Dlatego też cofnął się przezornie za duże drzewa otaczające aleję, i postanowił zaczekać zanim go nie minie para przyjaciół.

Istotnie. Rychło zrównali się z nim, a wtedy dobrze mógł przyjrzeć się Kuzunowowi. Zauważył, że ten zmienił się

bardzo w ciągu tych ostatnich kilku tygodni. Zgarbił się i postarzał, jak bywa z ludźmi, których spotyka nieoczekiwane nieszczęście. Nawet wyraz twarzy miał inny, niż dawniej. Nie ten energiczny i stanowczy, a przygnębiony i zrezygnowany.

— Czyżby tak go dotknęła utrata Tamary? — pomyślał. — Chyba, przecież kochał ją bardzo! Toć to dzisiaj całkowicie złamany życiem człowiek.

Mimowoli zrobiło mu się żal Kuzunowa. Nie miał jednak czasu na dalsze roztkliwianie się nad dolą byłego szefa i współzawodnika, gdyż posłyszał ich głosy.

— Więc sądzisz — mówił po polsku Kuzunow takim tonem, jakby poruszył jakieś bolesne, a niezwykle ważne zagadnienie — że jej nie zależy tak bardzo na nim?

— Jestem przekonany, kotusik!

— Że znalazła się w matni i może żałuje?

— A toż to wszystko bujda i zawracanie głowy, kotusik...

— W takim razie...

W tejże chwili wyszła z kasyna rozbawiona grupa Amerykanów i Marlicz nie posłyszał dalszego ciągu rozmowy. Zagłuszyły ją głośne wykrzykniki i piskliwy śmiech Amerykanek, może zadowolonych z wygranej. Napełnili gwarem aleję a Kuzunow z Mongajłłą oddalili się i znikli w mroku nocy.

O, jakżesz żałował, że nie posłyszał dalszego ciągu rozmowy. O kim rozmawiali? Czyżby o Tamarze i o nim?

Cóż znaczyły słowa Mongajłły o „bujdzie i zawracaniu głowy“?

Nic nie rozumiał. Toć prędzej, czy później zetknie się z Mongajłłą i wtedy go wybada. Tylko, że poczyna nabierać przekonania, że ten kresowiec jest znacznie chytrzejszy, niż za jakiego pragnie uchodzić.

Podrażniony wyszedł zza drzew i minął wrzaskliwą grupę Amerykanów, po czym skierował się do kasyna. Przeszedł się przez salę, ale początkowo, ani przy stołach, gdzie odbywała się gra, ani w restauracji nie zauważył Monsley‘a. Dopiero gdy miał już zamiar opuścić kasyno, sądząc, że Anglik wyszedł, nie doczekawszy się Tamary, zdala spostrzegł jego postać. Monsley nie grał a stał nieco ukryty za jednym z filarów, zdobiących salę, jakby wyglądając kogoś.

Bez wahania skierował się w tę stronę. Anglik na jego widok drgnął, ale wnet przybrał obojętną minę i nie wyjął rąk z kieszeni.

— Ja do pana — począł Jerzy nie zwróciwszy uwagi w pierwszej chwili na to dziwne zachowanie.

Ironicznie błysnął monokl Anglika.

— Do mnie? Bardzo mi przyjemnie! — udawał, że nie widzi wyciągniętej do niego ręki Marlicza.

— Moja żona prosiła mnie, żeby zawiadomić... — ten nadal nie orientował się jeszcze w prowokacyjnym zachowaniu się Monsley‘a.

— O czym?

— Że przybyć osobiście nie może, ale już załatwiła wiadomą sprawę i pańska pomoc jej nie będzie potrzebna.

— Ach tak! Tylko tyle?

— A cóż miało być więcej?

— Nic! Czy pan zawsze tak pięknie spełnia polecenia żony?

Marlicz raptem poczerwieniał. I to nie podanie ręki i ironiczny ton, i ostatnie niegrzeczne zapytanie. Chyba ślepy nie dojrzałby chęci obrazy. Tego było za wiele.

— Co to ma znaczyć? — zawołał podrażnionym tonem.

Monsley zmierzył go przez monokl jeszcze więcej impertynencko.

— Powtarzam. Jestem zachwycony, że pan tak świetnie wykonywa zlecenia, szlachetnie urodzony hrabio! — na ostatnich słowach położył nacisk szczególny.

W Jerzym zakipiało wszystko.

— Błaźnie! — syknął i podniósłszy rękę do góry chciał spoliczkować Anglika.

Ten jednak, widocznie spodziewał się tego odruchu, gdyż błyskawicznie cofnął się i w tejże chwili jego ręka, którą już przed tym wysunął z kieszeni spadła na podniesioną rękę Marlicza, ściskając ją, niczym żelaznymi kleszczami.

— Nie będziemy się tu bili jak dwaj tragarze! — wyszeptał zdławionym z gniewu głosem. — To wystarczy... Mieszkam w hotelu „Astoria“ i jutro będę oczekiwał na pańskich sekundantów, o ile wystarczy panu odwagi żeby strzelać się ze mną.

— Nietylko wystarczy — Jerzy starał się daremnie wyrwać rękę — ale postaram się dać dobrą nauczkę...

— Zobaczymy!...

— Jutro będzie pan miał moich sekundantów!

— Tylko, żeby to byli naprawdę... — urwał, widocznie

nie chcąc dokończyć: „żeby to byli prawdziwi dżentelmeni, a nie tacy, jak pan niewyraźni arystokraci!“

— Może pan się nie obawiać!

— Do widzenia! Powtarzam, nie zwracajmy na siebie uwagi!

Puścił rękę Marlicza i skłoniwszy mu się, jak gdyby prowadzili najobojętniejszą towarzyską rozmowę, najspokojniej odszedł od niego. Istotnie nikt dokoła nie spostrzegł tego zajścia, tak odbyło się ono szybko i cicho, a może zbytnio pochłaniała wszystkich gra.

Jerzy wybiegł wzburzony z kasyna. Jeszcze nic nie rozumiał. Czy słowa Tamary, nic nie znaczące na pozór, w gruncie zawierały coś takiego, że doprowadziło do wściekłości Anglika, czy też również nienawidził go, był o niego zazdrosny i skorzystał ze sposobności, aby go sprowokować? Chyba raczej to ostatnie. Toć i on niecierpiał nadętego Monsley‘a i rad był nawet teraz, że doszło pomiędzy nimi do jawnego starcia.

Choć drogę do domu odbył na piechotę, a był to od kasyna spory kawałek, nie uspokoiła go ta przechadzka i nie mniej podniecony wpadł do sypialni Tamary. Siedziała w fotelu już rozebrana, w piżamie ćmiąc papierosa i spoglądając na kolię, leżącą obok na nocnym stoliku i rysującą się tam w całej swojej krasie.

— Naprawdę, szkoda mi się z nią rozstawać — wymówiła, wspominając, że jutro będzie musiała ustąpić naszyjnik Bemerowi. — Wolałabym ją stale nosić na szyi... Ale co ci się stało? — raptem zapytała spostrzegłszy niezwykły wygląd kochanka. — Wyglądasz nienaturalnie,

oczy ci błyszczą, jesteś zaczerwieniony.

— Miałem awanturę z Monsley‘em — wyrzucił z siebie.

— Z Monsley‘em — powtórzyła z mniejszym zdziwieniem, niż tego należałoby się spodziewać. Lecz Jerzy nie zwrócił na ten szczegół uwagi.

— Wyobraź sobie — począł jej opowiadać szczegóły zajścia — od samego początku zachował się arogancko i nie podał mi ręki. A kiedy mu powiedziałem to, o co mnie prosiłaś, wyraźnie począł mnie prowokować. Czyżby twoje słowa zawierały ukryty sens, który go wytrącił z równowagi.

— Najmniejszego! — odparła wzruszając ramionami, ale unikając jego wzroku. — Najmniejszego. Doprawdy chodziło o zwykłą finansową tranzakcję. Zapewne domyślasz się o co chodzi? Przyobiecał wystarać się dla mnie o pożyczkę, nie wiedziałam, że wygram w karty od Mongajłły. Nie chciałam ci tylko o tym wspominać. Chyba Monsley oszalał.

— Wyraźnie szukał zaczepki! Widocznie rości sobie jakieś prawa do ciebie i jest zazdrosny!

— Idiota! Nie ma do mnie najmniejszych praw.

— W takim razie, nic nie rozumiem!

— Głupie, narwane bydlę! Cóż zamierzasz czynić?

— Dziwię się nawet, że pytasz! Będę się pojedynkował z Anglikiem.

Nerwowo przeszła się kilkakrotnie po sypialni, poczym przystając przed Jerzym, zawołała z dziwnym błyskiem w oczach.

— Musisz się pojedynkować, musisz mu dać nauczkę!

Przecież nie jesteś tchórzem. Musisz pokazać, że dbasz o swój honor.

Pomyślał, że wzmianka o honorze dziwnie zabrzmiała w ustach Tamary, gdy kilka godzin temu ten jego honor wdeptała ostatecznie w błoto, każąc mu uczestniczyć w oszustwie, czy też kradzieży. Nie napomknął jednak o tym ani słówkiem i wcale nie miał zamiaru cofać się przed spotkaniem z Monsley‘em.

— Bądź spokojna — odrzekł — wszak powiedziałem ci już, że będę się pojedynkował i jutro mu poślę sekundantów. Co prawda nie znam nikogo w Nizzy, ale sądzę, że Mongajłło mi nie odmówi i wynajdzie kogoś drugiego.

— Doskonały pomysł. Monsley będzie się liczył z Mongajłłą!

Chwilę stała w milczeniu. Raptem zmienił się jej wyraz twarzy i zamiast poprzedniej stanowczości zarysowała się na niej obawa.

— Jerzy! — szepnęła — Czy ty umiesz strzelać?

— Tak sobie...

— On pewnie strzela znakomicie! Och! — w jej oczach zakręciły się łzy. — Jakam ja nieszczęśliwa.

— Ależ głupstwo, Maro! starał się ją pocieszyć.

— Głupstwo! — z jękiem opadła na fotel. — Byleby to naprawdę było głupstwo.. Przecież nazywają mnie... — tu nie dokończyła w połowie zdania.

Rozdział IX

POJEDYNEK

Nazajutrz cały dzień upłynął Marliczowi na przygotowaniach do pojedynku. Nawet, mocno denerwująca go sprawa naszyjnika ustąpiła na drugi plan. Podczas, gdy Tamara miała się zająć zakończeniem tranzakcji z Bemerem, on postanowił odszukać Mongajłłę.

Wiedział, że ten zamieszkuje w hotelu „Excelsior“. Udał się więc tam w rannych godzinach. Kresowiec zajmował ładny i drogi numer na drugim piętrze i znajdował się w domu.

Zdziwił się mocno, ujrzawszy tak wcześnie u siebie Jerzego. Wydawało się nawet, że był zdziwiony nieprzyjemnie i jakby z obawą popatrzył na drzwi, łączące jego numer z sąsiednim pokojem. Wnet jednak, opanował się, a na jego szerokiej twarzy wykwitł zwykły, dobroduszny uśmiech.

— Cóż z ciebie za ranny ptaszek, kotusik.

— Sprowadza mnie do pana niezwykle ważna sprawa! — począł Marlicz wyłuszczać powód swego przybycia i opowiedział o zajściu z Anglikiem. — Pojedynek jest nieunikniony, sądzę, że nie odmówi mi pan w tym wypadku.

Kresowiec uważnie wysłuchał opowieści, poczem ze współczuciem pokiwał głową.

— Aj — wyrwało mu się niespodziewanie. — Na co ci to wszystko? Nie dla ciebie było to hrabiostwo!

Jerzy drgnął. Domyślił się, że Mongajłło wspominał o jego małżeństwie (jeśli w nie wierzył), lub związku z Tamarą i uważał, że dzięki niej dostał się w tę całą historję. Nie miał zupełnie zamiaru wtajemniczać go w bliższe szczegóły.

— Nie rozumiem pańskiego odezwania się! — odrzekł, podrażniony. — Chodzi o to, że znalazłem się w przykrej sytuacji i ponieważ nie znam nikogo w Nizzy, zwracam się do pana jako rodaka. Zresztą, oświadczał mi się pan z przyjaźnią, jeśli zaś obecnie...

— Nie! — zamachał ręką kresowiec, jak ktoś, kto uważa, że zaślepionemu nie warto otwierać oczu. — Wcale nie to chciałem powiedzieć, kotusik. Wcale nie odmawiam. Sekundowania nie wolno nawet odmawiać, według honorowego kodeksu. Więc, Monsley czeka na twoich sekundantów? — dodał, jakby zdziwiony, że Anglik wogóle pragnie się strzelać z Marliczem.

— Przecież, słyszy pan! A pan go zna?

— Czemu nie mam go znać, kotusik! Nie pierwszy raz się jest zagranicą!

— A któż to taki? — usiłował zdobyć informacje o swoim przeciwniku, o którym naprawdę wiedział niewiele.

— Nie powiedziała ci pani Tamara? Hm... przyzwoity człowiek, lekko niebezpieczny. Były pułkownik armii angielskiej z czasów wielkiej wojny. Strzela asa w lot. W zeszłym roku, przy winie, tu w Nizzy dostał pierwszą nagrodę za strzelanie do gołębi. Ot, co, kotusik!

Marliczowi mrówki przebiegły wzdłuż pieców, nie dał jednak, nic poznać po sobie.

— A niech sobie strzela — wypalił z brawurą. — To mnie nie przestraszy!

— Takiś odważny? — kresowiec wydawał się mile zaskoczony oświadczeniem Marlicza. — No, no, kotusik i w tobie odzywa się dobra krew! Że strzela dobrze, to jeszcze nie powiedziane, żeby ciebie trafił. Więc, chcesz się pojedynkować? Jak pojedynek, to pojedynek, cofać się nie można, choć teraz wszyscy śmieją się z pojedynków. I o drugiego pewnie, sekundanta ci chodzi? Zaraz, wynajdziemy drugiego...

— O to właśnie chciałem pana prosić! — zawołał, ucieszony, że odpada ostatnia trudność. — Kogo pan tu zna takiego!

Mongajłło klasnął w dłonie.

— Ot, kotusik, nawet w tym hotelu mieszka jeden mój znajomy, Polak.. Major rezerwy i obywatel ziemski. Major kawalerii, Brucz się nazywa, kotusik! On lubi takie rzeczy i napewno się zgodzi. Zaraz zatelefonujemy do niego!

Podszedł do aparatu, służącego do wewnętrznych połączeń i nakręcił numer. Wnet odezwał się głos majora Brucza, który na szczęście nie udał się jeszcze na ranną przechadzkę i znajdował się w domu. Kiedy posłyszał, o co chodzi, zainteresował się bardzo całą sprawą i oświadczył, że wnet przybędzie do pokoju Mongajłły. Potrwa to krótko, gdyż zejdzie tylko z czwartego piętra na drugie.

Jerzy postanowił wykorzystać tę chwilę, gdy jeszcze znajdował się sam na sam z kresowcem i zadał mu inne pytanie, nie tyczące się pojedynku. Mianowicie, przypomniało mu się wczorajsze spotkanie i podsłuchana

rozmowa Mongajłły z Kuzunowem.

— O kim to tak rozmawialiście panowie? — Stałem w pobliżu kasyna — skłamał — i widziałem, jak pan wychodził z moim byłym dyrektorem. Dobiegły mnie nawet niektóre wasze słowa, ale tak byliście zajęci sobą, że nie spostrzegliście mnie. O jakiej to damie pan wspominał, nadmieniając, że lekceważy swego adoratora?

Kresowiec szybko odwrócił głowę.

— Nie ładnie podsłuchiwać, kotusik! — burknął. — Co cię obchodzą cudze tajemnice? Nie o tobie w każdym razie, bo przecież jesteś bardzo szczęśliwy z panią Tamarą. Ot, jedna moja znajoma dama robi ze swego męża durnia! Może go nawet umyślnie pcha w niebezpieczeństwa — tu Mongajłło podniósł oczy i dziwnie popatrzył na Jerzego. — Lecz, co tobie do tego, kotusik?

— Istotnie, nic! — odparł, całkowicie uspokojony uwagą Mongajłły, że jest całkowicie szczęśliwy ze swoją rzekomą żoną.

Dalsze zapytania przerwało ukazanie się w pokoju majora Brucza. Był to wysoki mężczyzna, w sile wieku, o ogorzałej twarzy, po którym poznać było można, że całe swe życie przepędził w polu i na koniu.

Uścisnął serdecznie dłoń Marlicza, widocznie zachęcony rekomendacją Mongajłły.

— Więc to pan ma pojedynek? — zapytał.

— Trzeba mu pomóc, kotusik! — wyjaśnił kresowiec. — Nie zna tu nikogo, miał awanturkę z Monsley‘em. Znasz, majorze tego angielskiego pułkownika?

— Znam! Niebezpieczna sztuka.

— Co tam zaraz, niebezpieczny, kotusik! Zobaczymy! Może Anglik udobruchał się od wczoraj i wszystko da się ułożyć polubownie.

Po chwili krótkiej rozmowy, w czasie której Marlicz starał się zachowywać z jaknajwiększą godnością, uradzono, że Mongajłło wraz z Bruczem, przebrawszy się w czarne garnitury, udadzą się natychmiast do Monsley'a, a Jerzy zaczeka na wiadomość od nich w domu.

Marlicz raz jeszcze serdecznie podziękowawszy swoim sekundantom, opuścił numer kresowca i powrócił do swego mieszkania. Nie zastał tam Tamary. Na stole leżała tylko kartka napisana, oczywiście, po polsku, w której zawiadamiała go, że udaje się załatwić wiadomą sprawę.

— Kradzież naszyjnika i sprawa honorowa! — pomyślał z ironią. — Zaiste, niezwykłe zestawienie!

Historia z naszyjnikiem niepokoiła go coraz mniej. Poczynał nabierać przekonania, że Tamara w rzeczy samej tak zabezpieczyła się przed Panopulosem, że ten w obawie skandalu, w żadnym wypadku nie złoży skargi, najwyżej uważać ich będzie za parę wyrafinowanych łobuzów. Natomiast, dręczyło go co innego. Czyżby Monsley, naprawdę, strzelał tak dobrze? Hm, narażać się na podobne niebezpieczeństwo, gdy przed Tamarą i przed nim otwiera się nowe życie?

— Brr... — wzdrygał się mimowoli, lecz wnet postarał się pocieszyć myślą, że może Mongajłło z Bruczem wszystko ułożą polubownie.

W jakiś czas później odezwał się telefon.

Telefonował Mongajłło, zawiadamiając, że Monsley już

wyznaczył swoich sekundantów i że niedługo mają się z nimi spotkać w jednym z hotelów. Prosił, aby Marlicz mniej więcej za dwie godziny znalazł się w sąsiedniej cukierni, to przybędą tam i zakomunikują mu o wyniku tego posiedzenia.

Podziękował i położył telefoniczną słuchawkę. Hm, może wszystko jakoś się ułoży. Zdenerwowany, chodził po mieszkaniu, paląc papierosa za papierosem. Mimo jednak, że czas biegł i w ten sposób upłynęły dwie godziny, Tamara nie powróciła do domu.

Cóż to znaczyło? Dlaczegoż tak przeciągnęła się konferencja z jubilerem Bemerem?

Niepokój ścisnął sercem Jerzego, nie miał wszakże czasu udać się na poszukiwanie kochanki. Zbliżyła się pora, o której miał stawić się w cukierni, to też opuściwszy mieszkanie, pośpiesznie skierował się w tę stronę.

Kiedy ten wszedł, Mongajłło z Bruczem już siedzieli przy stoliku. W kawiarni mało było osób i odrazu ich spostrzegł. Wnet poznał po ich minach, że sprawa przedstawia się poważnie. Szeptali coś pomiędzy sobą, wydawało się z niepokojem i drgnęli na jego widok.

— Siadaj! — powiedział kresowiec, gdy uściskał ich ręce. — Cóż, robiliśmy wszystko, aby sprawę załatwić polubownie! Ale, Anglik nie zgadza się na nic. Pojedynek, nieunikniony, kotusik!

Znów zimny dreszcz przebiegł wzdłuż pleców Marlicza, gdyż pamiętał o mistrzowskim strzelaniu Monsley‘a. W dalszym ciągu nadrabiał miną.

— Byłem na to przygotowany — oświadczył — i wcale

nie miałem zamiaru przeprosić Anglika. Zresztą, pierwszy zaczął i każdy na moim miejscu straciłby cierpliwość. To mnie nie przeraża.

— Spodziewałem się tej odpowiedzi po panu! — major z uznaniem skinął głową. — Jakiś głębszy podkład leży we wczorajszym zajściu i nie nasza rzecz w to się wdawać. Monsley nie chce słyszeć o niczem. Tylko...

— Tylko? — powtórzył Jerzy.

— Postawił niezwykle ostre warunki spotkania. Piętnaście kroków, dwukrotna wymiana kul, pistolety gwintowane...

Marliczowi na chwilę zaparło dech w piersiach.

— Hm... — wyrzucił wreszcie z siebie — dybie na moją skórę. Zobaczymy.

— Uważam to za szaleństwo, kotusik! — wyrwało się szczerze Mongajle. — Toż to takie warunki, jak przy najcięższej obrazie i... — nie dodawał, że podobne spotkanie musi się skończyć krwawym wynikiem. — Protestowałem, jak mogłem. Kiedy te hycle, kotusik, jego sekundanty, Angliki, zaczęli się uśmiechać i oświadczyli że uznają tylko prawdziwy pojedynek a nie zabawkę. Monsley musiał im dać taką instrukcję.

— Oczywiście! — bąknął z bladym uśmiechem.

— Musieliśmy ustąpić — dodał Brucz, — nie chcąc być posądzeni o tchórzostwo. Ale — zapytał nagle, jakby z zażenowaniem. — Przepraszam, że mówię otwarcie.... Czy — czy pan umie strzelać?

— No... tak! — odparł niepewnie, gdyż w strzelaniu nie miał wyprawy.

— Z pistoletów pojedyńczych?

— Kiedyś próbowałem... Przyznaję się, pierwszy to pojedynek w moim życiu...

— Zaraz ci mówiłem! — wykrzyknął Mongajłło. — On, o strzelaniu z pistoletów, pewnie, kotusik, nie ma pojęcia!

— Tak źle nie jest! — Jerzy starał się go pocieszyć.

Brucz siedział zasępiony.

— Wiecie? — mruknął. — Najlepiej będzie o ile zaraz pojedziemy do strzelnicy.

Opuściwszy kawiarnię, udali się taksówką, natychmiast do strzelnicy, a tam twarze sekundantów Marlicza, stały się jeszcze bardziej ponure.

Co prawda, Jerzy wiedział, jak obchodzić się z bronią pojedynkową, ale strzelał tak słabo i tak chybiał celu, iż wnet stało się jasne, że nie będzie dla Anglika poważnym przeciwnikiem. Mongajłło z Bruczem tylko kręcili głowami za każdym pudłem, aż wreszcie kresowiec nie wytrzymał.

— Daj no mnie, pistolet! — zawołał, odbierając Marliczowi broń z ręki. — Patrz, tak się strzela!

Prawie nie mierząc, trzykrotnie trafił w sam środek tarczy, ustawionej w strzelnicy, poczem dodał:

— Nauczyłbym ja tego Monsley‘a, choć on podobno taki mistrz. Szkoda kotusik!

Wnet jednak się zreflektował, że nie można osłabiać na duchu swego klienta. Począł więc opowiadać, że pojedynek przeważnie polega na ślepym trafie i że najlepsi strzelcy wychodzili zeń poranieni przez niewprawnych nowicjuszy. Tak zdarza się nawet w większości wypadków. Niechże więc Marlicz nie traci otuchy i nie przejmuje się zbytnio

„mistrzostwem“ Monsley‘a, gdyż wszystko może zakończyć się znakomicie.

Major Brucz dodał ze swej strony kilka pożytecznych wskazówek. Pokazał Marliczowi jak należy mierzyć z pistoletu, jak ustawiać się bokiem na placu, aby służyć za najtrudniejszy cel dla przeciwnika, wreszcie, jak po strzale zasłaniać się bronią, by kula trafiła ewentualnie w pistolet, a nie w ciało.

Mimo jednak tych opowiadań i pouczeń, obaj mieli zafrasowane miny, i widać było, że nie daliby dwóch groszy za skórę swego klienta.

— I po co ci to było, kotusik? — o mało znów nie wyrwało się Mongajlle, wnet się jednak pohamował i głośno rzucił:

— Uszy do góry, kotusik! Wszystko dobrze będzie! A teraz idź do domu, wypocznij! Połóż się wcześnie spać, my po ciebie przyjedziemy rano. Pojedynek wyznaczony na siódmą na bo[3] pod Nizzą.

Marlicz nadal nadrabiał miną i nawet z uśmiechem — nie przyszedł mu łatwo ten uśmiech — pożegnał swoich sekundantów.

Dopiero, kiedy znikli i sam począł się kierować na piechotę w stronę domu z rozdrażnieniem mruknął:

— Doktora! Kto wie, czy w podobnych rzeźnickich warunkach wogóle potrzebny będzie lekarz! Prędzej właściciel zakładu pogrzebowego!

Teraz dopiero, gdy nikt go nie obserwował i nie musiał kryć się ze swym lękiem, ogarnęło go przygnębienie. W wyobraźni już zobaczył siebie na marach. Monsley strzela

konkursowo, napewno nie będzie go oszczędzał. Wydało mu się, że widzi arogancję i zawziętą twarz Anglika i omało wślad za Mongajłłą nie wykrzyknął głośno:

— Po co to mi było.

Ogarnęła go złość na Tamarę. Monsley musiał mieć na nią inne zamiary i w ten sposób chciał usunąć go ze swej drogi, sądząc, że jest jej mężem. Pocóż Tamara wdawała się z nim w konszachty, wiedząc, że narazi na niebezpieczeństwo Jerzego?

Tak rozmyślając, szedł Jerzy do domu dość pustą i cichą o tej porze uliczką — była już blisko ósma wieczorem, gdyż sporo czasu upłynęło na rozmowie z sekundantami i pobyciem w strzelnicy — gdy wtem te niewesołe rozmyślania przerwał warkot przejeżdżającego samochodu.

Obejrzał się mimowoli i drgnął.

— Niemożliwe!

W żaden sposób nie mógł się pomylić. Wewnątrz auta siedziała Tamara. Doskonale poznawał jej roześmianą obecnie twarz, czerwoną, letnią sukienkę i duży, czarny kapelusz.

Tak, Tamara. Nie było w tym nic tak dalece dziwnego i mógł być przygotowany, że napotka ją powracającą do domu. Wszak niepokoił się nawet nieco o wynik jej konferencji z Bemerem. Ale obok Tamary w samochodzie zajmował miejsce mężczyzna. A mężczyzną tym nie był jubiler, jakby można było się tego spodziewać, a zupełnie ktoś inny. Mężczyznę tego doskonale znał Jerzy i dlatego w pierwszej chwili skamieniał ze ździwienia i aż przetarł oczy.

Niestety, nie uległ halucynacji.

Obok Tamary siedział Kuzunow.

Kuzunow! Choć trwało to tylko sekundę rozróżnił dobrze jego rysy i wydało mu się nawet, że od wczorajszego spotkania w kasynie, dawny zwierzchnik wyprostował się, odmłodniał, wyzbył się przygnębienia i z ożywieniem rozmawiał ze swoją towarzyszką.

Tamara i Kuzunow! Gdzie się spotkali? W jaki sposób pogodzili się? Nie do wiary! Cóż to wszystko znaczyło? W jakiej roli on się znalazł obecnie.

Zapomniawszy nawet o pojedynku i o grożącym mu niebezpieczeństwie, pędem pobiegł do domu. Kiedy tam dotarł, zauważył, że samochód oddalił się wraz z siedzącym w nim mężczyzną w przeciwną stronę. Widocznie Kuzunow odjeżdżał, odwiózłszy Tamarę do domu i musiała znajdować się w domu.

Nie zawiodły go przewidywania, gdyż kiedy tam wpadł, znajdowała się w sypialni.

Cofnęła się nieco widząc jego twarz, zmienioną z podniecenia.

— Widziałem cię z Kuzunowem w samochodzie — zawołał.

Już zdążyła się opanować, a na jej twarzy ukazał się nawet uśmiech.

— Cóż z tego? — odparła jakby miała z góry przygotowaną odpowiedź. — Spotkaliśmy się przypadkowo i zaproponował, że odwiezie mnie do domu. Czemuż miałam się nie zgodzić?

— Spotkaliście się przypadkowo — nerwowo zapytywał.

— Rozmawiał z tobą, po tym co zaszło?

— Powtarzam, natknęłam się na niego niespodziewanie na ulicy w pobliżu sklepu Bemera. W pierwszej chwili byłam nawet nieco speszona i chciałam przejść udając, że go nie widzę. Ale Kuzunow pierwszy zbliżył się do mnie i oświadczył, że skoro zakochałam się w tobie i wzięliśmy ślub, nie ma powodu abyśmy nadal byli we wrogich stosunkach. Szczególniej, że nie chce wspominać przeszłości.

— Tak powiedział? — Nie wiedział sam czy się cieszyć, czy martwić z podobnego obrotu sprawy, gdyż był zazdrosny o Tamarę i obawiał się zbliżenia jej do bankiera. — Wierzy, że jesteśmy małżeństwem, nie zapytywał z czego żyjemy?

— Owszem, powiedziałam mu, że łączy nas cywilny ślub, który zawarliśmy w Paryżu. A chwilowo żyjemy z pieniędzy, nadesłanych ci przez rodzinę.

— A on? — drgnął, gdyż Kuzunow posiadał w banku jego akta personalne, doskonale był poinformowany o jego stosunkach rodzinnych i materialnych.

— Uwierzył, albo udawał, że wierzy. W każdym razie zachowywał się niezwykle serdecznie. Prosił, żeby ci powtórzyć, iż obecnie zastanowił się i nie czuje do ciebie żalu.

— Nie czuje żalu? — coraz większe zdziwienie ogarniało Marlicza. — Zapomniał o wileńskiej historii?

— Nie wspominał ani słówkiem! Przeciwnie, podkreślał, że pragnie pozostać naszym przyjacielem — na te wyrazy położyła nacisk — i że możemy liczyć na niego w razie

potrzeby. Cóż, — dodała z uśmiechem — może pragniesz powrócić na urzędniczka do banku?

— No.. no...

— Więc nie chcesz powrócić na gryzipiórka? — żartowała z dziwnym błyskiem w oczach świadczącym, iż w gruncie znajduje, iż tam jest najwłaściwsze miejsce dla Marlicza, miast po świecie udawać wielkiego pana. — Ja nie mam ochoty być żoną urzędniczyny. Ale nie dziwisz się teraz, że byłam uprzejma dla Kuzunowa i pozwoliłam się odwieźć do domu. W gruncie rzeczy, jestem zadowolona, że ubył nam wróg, a na jego miejsce mamy przyjaciela.

Jerzy był tego samego zdania.

— Zresztą — mówiła dalej — nie długo się nami nacieszy. Wszak opuszczamy Nizzę. Chociaż...

— Jakżesz ci poszła sprawa z Bemerem? — raptem przypomniał sobie o naszyjniku. — Czy zaszły jakie komplikacje, cały dzień nie było cię w domu.

— Jutro w południe otrzymam pieniądze! — odrzekła, pomijając milczeniem długą nieobecność. — Dlatego właśnie zastanawiam się, czy warto wyjeżdżać. Zaręczam ci, że ze strony Panopulosa nie grozi nam najmniejsza przykrość. Bardzo być może, że już poznał się na zamianie naszyjnika. Ale będzie milczał. Toć może w sposób niezbyt piękny, ale odebrałam tylko swoją własność.

— Więc nie chcesz wyjechać?

— Nic jeszcze nie wiem. Zadecyduję dopiero po otrzymaniu pieniędzy. Ale — uderzyła się raptem rączką w czoło, a na jej twarzy odbił się niepokój — jak przedstawia się sprawa twego pojedynku.

— Odbędzie się! — odrzekł krótko!

— Jakie warunki?

Właściwie, w myśl zasad kodeksu honorowego, Jerzy nie miał prawa nikomu, nawet Tamarze opowiadać, ani o czasie ani o warunkach spotkania. W danej chwili nie myślał jednak o tym.

— Piętnaście kroków — rzekł — dwukrotna wymiana strzałów. Nastąpi ta zabawa jutro o siódmej rano.

— Ależ to szaleństwo! — wykrzyknęła. — Jak mógł Mongajłło dopuścić do czegoś podobnego?

— Cóż miał robić? Anglik jest wyjątkowo zawzięty. Nie mógł prosić o łagodniejsze warunki bez posądzenia, że tchórzę.

— No tak! — wybąkała! — Rozumiem! Pojedynek musi się odbyć! Nie możesz ustąpić bez skandalu...

Przeszła się kilkakrotnie po pokoju i widać było, że jest naprawdę poruszona. Tak samo, jak wczoraj, gdy wspomniała o grożącym mu niebezpieczeństwie. W jej oczach pokazały się łzy.

— Przecież to byłoby straszne! — wyszeptała.

— Co ma być takie straszne? — udawał, że nie rozumie.

Raptem przypadła do niego i objęła go mocno swymi ramionami.

— Słuchaj! — poczęła wyrzucać z siebie przez łzy, tuląc się do niego — Teraz, kiedy dopływaliśmy do portu, kiedy zdobyłam pieniądze, w jaki sposób mniejsza o to, miałabym cię utracić? Miałbyś zginąć z ręki tego łajdaka! Och, czuję, że chce cię zabić...

— Maro! —

— Naprawdę! — rozpaczała dalej nie zwracając uwagi na jego wykrzyknik. — Jestem fatalną istotą. Już wczoraj wspominałam ci o tym, choć nie dokończyłam zdania. Nie darmo przezywają mnie kobietą, która niesie śmierć. Do kogo się zbliżę, ginie...

— Uspokój się! Przywidzenie..

— Przywidzenie? Po raz pierwszy przed wielu laty miałam narzeczonego, przyznaję się, byłam bardzo przywiązana do niego i zakończył życie w bardzo tragicznych okolicznościach. Później ów proces wileński o którym pewnie słyszałeś, a gdzie pewien zakochany we mnie szaleniec, chciał przezemnie zabić ojca i matkę, którzy się nie zgadzali na nasz ślub. Następnie historia z moim mężem i jego samobójstwo. Znasz, szczegóły. Przypuszczałeś nawet, że pomagałam w tym...

— Ależ... —

— Nie przerywaj! To trzy wypadki! Był jeszcze czwarty, o którym nie chcę teraz wspominać. Chyba wystarczy? Ty miałbyś być piątym? Miałbyś przezemnie zginąć? Moja, moja wina.

— Jakto twoja?

— Pocóż posłałam cię wówczas do kasyna? Zgóry powinnam była domyślić się, co nastąpi. Wiedziałam, że Monsley jest nieobliczalny, wiedziałam, że cię nienawidzi, ale nie sądziłam nigdy że skorzysta i z podobnej okazji. Och jakaż ja jestem nieszczęśliwa!

Zalała się łzami. Jej głowa opadła na pierś Jerzego, a ciałem wstrząsały konwulsyjne dreszcze.

Poczuł się naprawdę wzruszony. Jeśli przed tym czasem

przypuszczał, że Tamara tylko udaje miłość do niego, że jest jej potrzebny, jako parawan dla przeróżnych kombinacyj, wątpił w jej uczucie i nie rozumiał chwilami jej postępowania — teraz, pod wpływem tego szczerego wybuchu, posądzenia te odpadały.

Musiała naprawdę go kochać. Toć nigdy jeszcze nie widział, ani wystraszonej, ani płaczącej Tamary.

— Maro! — zawołał, osypując jej główkę pocałunkami. — Teraz, kiedy nie wątpię, że ci zależy na mnie, muszę wyjść cało z tej przygody. Pocóż zaraz najstraszliwsze przypuszczenia? Z najcięższych pojedynków ludzie wychodzą bez szwanku i nie jest koniecznie powiedziane, żeby Monsley miał mnie zabić. Odsuń od siebie wszelkie złe przeczucia, przestań wmawiać w siebie, że jesteś kobietą fatalną, która niesie śmierć. To dziecinne przesądy! Musi wszystko zakończyć się dobrze. Kochasz mnie i pragnę żyć z tobą szczęśliwy...

— Oby tak się stało — wyszeptała wśród łkań.

— Napewno tak się stanie! — wykrzyknął, choć sam czuł przed pojedynkiem mimowolną obawę. — Nie rób sobie wyrzutów, że przez ciebie naraziłem się na niebezpieczeństwo z Monsley‘em. Temu bydlakowi prędzej, czy później należała się nauka...

Raptem podniosła twarzyczkę, mokrą od łez.

— Musisz żyć! — wyrzuciła z siebie z dziką energią. — Żyć dla mnie. A gdyby ten przeklęty Anglik, nie daj Boże, uczynił ci coś złego, przysięgam, zastrzelę go bez wahania! Przys...

Reszta słów utonęła w pocałunku, którym Jerzy wpił się

w jej usta.

ROZDZIAŁ X

POJEDYNEK.

Z rana Mongajłło wraz z majorem Bruczem i lekarzem przybyli po Marlicza i wraz z nim udali się wynajętym, prywatnym samochodem do lasku, za miastem, gdzie miał odbyć się pojedynek.

Poranek był wyjątkowo piękny. Lasek zalewały potoki słońca, a wśród drzew odzywał się wesoły świergot ptasząt.

Jerzy mimowoli porównywał rozbieżność pomiędzy tym weselem natury, a Jego własnym nastrojem ducha... Pomimo zapewnień, którymi starał się uspokoić Tamarę, podczas szalonej nocy, jaką z nią spędził po pamiętnej rozmowie (może bardziej szalonej jeszcze niż ich pierwsza w Wilnie), a nawet dziś rano, kiedy żegnała go, jakby nigdy więcej nie miała go zobaczyć — nie mógł się opędzić od złego przeczucia.

— Nie wyjdę cało! — myślał — za dobrze strzela ten Anglik. Czyżby to był naprawdę ostatni dzień mego życia i po raz ostatni miałbym oglądać i te piękne drzewa i słońce?

Porównał swój stan ze stanem ducha ongiś, na moście Poniatowskiego, gdy zamierzał popełnić samobójstwo. Lecz to było co innego. Wówczas nie miał przed sobą nic, prócz hańby, nie żałował życia. Teraz oczekiwała go Mara.

Starał się jednak ukryć przygnębienie i zachowywał się tak, jakgdyby nie lękał się grożącego mu niebezpieczeństwa. A robił to tak na pozór naturalnie, że z uznaniem popatrzył na niego Mongajłło.

W kilka minut po nich, przybył, również prywatnym samochodem, Monsley wraz ze swymi sekundantami. Byli to dwaj sztywni Anglicy, ubrani niezwykle uroczyście w żakiety i lśniące cylindry.

Ukłonił się zimno Marliczowi oraz jego zastępcom i wnet przystąpili do przygotowań przed pojedynkiem.

Podczas, gdy sekundanci odmierzali teraz przestrzeń i losowali pistolety — każda ze stron przyniosła swoją parę — Jerzy przyglądał się przeciwnikowi.

Stał odwrócony nieco bokiem i na pozór obojętnie ćmił papierosa. Złowrogo jednak połyskiwał monokl, a koło ust rysował się wyraz zaciętości.

— Chce ze mną skończyć — przemknęło w umyśle Jerzego. — Widać, że mnie nienawidzi. Za co! Za to, iż myśli że jestem mężem Tamary.

I znów nieprzyjemny dreszcz przebiegł wzdłuż pleców Marlicza, ale nie było już czasu na dalsze refleksje.

— Panowie wybiorą pistolety — zabrzmiała po francusku komenda majora Brucza, który objął kierownictwo nad pojedynkiem — i zajmą swoje miejsca!

Marlicz położył na trawie kapelusz i zbliżył się ująwszy machinalnie wyciągnięty do niego pistolet.

— Tylko nie trać otuchy! — posłyszał w tej chwili cichy, rozrzewniony szept Mongajłły i zauważył, że kresowiec ma twarz bladą i wzruszoną. — Wszystko będzie dobrze, moje

dziecko!

Nie powiedział „kotusik“ — a „moje dziecko“.

— Jest przekonany że ten łotr mnie zabije — pomyślał i skierował się na wyznaczone mu stanowisko.

Teraz stał naprzeciw Monsley‘a. O piętnaście kroków. Z boku, po obu stronach sekundanci, a nieco dalej, koło drzew lekarz. W głębi zaś widniały sylwetki szoferów, którzy opuściwszy samochody, zbliżyli się, aby przyjrzeć się niezwykłemu dla nich widowisku. Tak. Dla nich było to tylko widowisko.

I znów popatrzył na Monsley‘a. Ten, bez cylindra w zapiętym żakiecie nie wypuścił monokla z oka i spoglądał na niego wyraźnie drwiąco.

— Uwaga! — rozległ się głos Brucza. — Na raz podnieść pistolety i mierzyć, na trzy strzelać.. Więc liczę... Raz...

Pistolet Jerzego nerwowo podskoczył do góry. Jednocześnie widział, że Anglik powoli podnosi swoją broń i z całym spokojem jakby znajdował się w strzelnicy, bierze go na cel. Twarz udał kamienną, bez wyrazu. Monokl połyskiwał w słońcu.

— Mierzy prosto w głowę — pomyślał z przerażeniem. — Zaraz będzie koniec!

Starając się stać bokiem i zająć taką pozycję, najmniej dogodną dla strzału przeciwnika jaką wczoraj mu wskazywał major, również począł mierzyć, lecz czuł, że drży mu ręka.

— Dwa... Trzy... — rozległa się donośna komenda.

Dwa wystrzały huknęły prawie jednocześnie. Coś

gwizdnęło i otarło się prawie o czoło Marlicza, jego kula zaszeleściła w drzewach, daleko od Anglika.

— Ach! — ledwie powstrzymał się od głośnego okrzyku.

Kula Monsley‘a przeszła cal ponad jego głową. Cal bliżej, a byłoby po nim. Ale żył. Nic mu się jeszcze nie stało. Niestety, nie był to koniec. Oczekiwała go powtórna wymiana strzałów.

Spostrzegł, że Anglik patrzy na niego ze zdziwieniem, jakby nie rozumiejąc w jaki sposób go nie trafił. Lecz zdumienie to natychmiast zmienił wyraz poprzedniej zawziętości.

Tymczasem major Brucz zapytał zwracając się do przeciwników:

— A może panowie pogodzą się po pierwszym strzale? Uważam z mej strony, że honorowi stało się zadość.

Monsley wykonał tylko pogardliwy ruch ręką. Jerzemu nie pozostało nic innego, jak również przecząco potrząsnąć głową.

— W takim razie, nabijamy pistolety!

Nastąpiły nowe, denerwujące przygotowania.

— Ależ, wściekła bestia! — pomyślał. — Postanowił mnie zabić i teraz napewno nie spudłuje. Kuła przeszła cal od głowy. Cóż to za barbarzyństwo, pojedynek! Człowiek czuje się niczym zwierzę, prowadzone na rzeź. Ocalałem tylko po to, aby za chwilę zginąć. Przedłużone konanie.

Kiedy zbliżył się po nowy pistolet, Mongajłło znów począł do niego szeptać po polsku. Twarz miał jeszcze wzruszoną ale oczy patrzyły jakoś raźniej.

— Widzisz kotusik! — wymówił cicho. — Nie takie to straszne, jak się wydawało i nic ci Anglik nie zrobił. I za drugim razem nic ci nie zrobi. Tylko po komendzie strzelaj pierwszy i zasłaniaj w tej chwili głowę pistoletem, bo on, kanalia, kotusik, mierzy prosto w czoło.

— Dużo to pomoże — chciał odpowiedzieć, ale powstrzymał się i powrócił na poprzednie miejsce.

I znów zobaczył drwiącą twarz Monsley‘a z impertynenckim monoklem. I raptem miast poprzedniego przygnębienia i — bądźmy szczerzy — strachu, ogarnęła go wściekłość.

— Ty małpo przeklęta! — omal nie ryknął głośno. — Takiś zawzięty na moją skórę? Kończ, prędzej kacie! Nie przedłużaj mojej męki.

Na chwilę nie wierzył, żeby mógł trafić Anglika. Również rady udzielone mu przez kresowca nie uważał za zbyt skuteczne. Ponieważ jednak nie miał nic do stracenia, postanowił zastosować się do nich. Wystrzeli pierwszy, a następnie zasłoni się pistoletem. A nuż wyjdzie cało, jak poprzednio. Mocno ścisnął broń i czekał.

— Raz.. dwa.. trzy. — rozległa się nowa komenda.

I podczas gdy Monsley począł mierzyć powoli, rzekłbyś lubując się jego przerażeniem i igrając z nim, niczym kot z myszą, nacisnął cyngiel i wypalił, bez wahania. Wślad za nim huknął wystrzał Anglika lecz kula popędziła hen wysoko pod obłoki.

A wtedy błyskawicznie nastąpiło coś tak nieoczekiwanego, że Jerzy nie pomyślał o tym, nawet w najśmielszych marzeniach. Zobaczył że z dłoni Monsley‘a

wypada pistolet, on sam osuwa się na murawę, i że pędzą ku niemu sekundanci wraz z lekarzem.

— Trafiłem go! — stwierdził ze zdumieniem — miał rację Brucz, że różne bywają cuda w pojedynku. Toć nie mierzyłem wcale!

Rzucił pistolet na trawę i skierował się w tę stronę. Kiedy zbliżył się, zauważył, że Anglik ma ubranie i koszulę rozpiętą i że z jego prawego boku sączy się krew.. Leżał nieruchomo na trawie, ale był przytomny, i nie wypuścił nawet z pod powieki nieodłącznego monokla. Koło rannego krzątał się lekarz, szykując bandaże, w czym pomagali mu dwaj sekundanci Monsley‘a.

— Na szczęście powierzchowna rana! — zwrócił się do nadchodzącego Marlicza. — Spory upływ krwi ale żebro pozostało nienaruszone. Baronet przeleży kilka dni w łóżku i na tym się skończy!

Jerzy raczej był kontent z podobnego wyniku. Obecnie, gdy minęło niebezpieczeństwo nie żywił względem przeciwnika krwiożerczych instynktów, a pojedynek, do którego został zmuszony uważać za tragiczne głupstwo. Na jego twarzy odbił się wyraz zadowolenia.

— Dobrze się stało że go nie zabiłem — pomyślał — poleży kilka dni w łóżku i ma, czego chciał! Nie ja parłem do tych jatek.

Chwilę stał w niepewności, nie wiedząc, czy się zbliżyć do rannego i czy wypowiedzieć kilka uprzejmych słów. A nuż Anglik odpowie impertynencko. Lecz nie, Monsley już go zauważył i po twarzy jego przebiegł dziwny skurcz.

— Miał pan szczęście! — wymówił wyciągając rękę w

stronę Marlicza. — Nie zamierzałem pana oszczędzać... Udało się panu... Ale nie mam pretensji. Zachował się pan jak skończony dżentelmen... Tylko...

Wydawało się, że jeszcze chce coś dodać, lecz urwał i znów popatrzył dziwnie na niedawnego przeciwnika. Ten bez słowa uścisnął wyciągniętą rękę..

Kiedy Jerzy, w chwilę po tym odjeżdżał samochodem z miejsca pojedynku wraz ze swoimi sekundantami, wydawało mu się, że powtórnie narodził się na świat.

Nie tylko żył, ale postrzelił aroganckiego Anglika.

Och! Z jaką lubością zaciągał się teraz tytoniowym dymem.

Jak piękne wydawało mu się wszystko, co widział dokoła. I drzewa i kwiaty i dalekie, połyskujące lazurem morze. Zdawało mu się nawet, że inaczej świergocą ptaki i z jakąś radością powtarzają:

Żyjesz, żyjesz, żyjesz...

Jego sekundanci nie mniej byli ucieszeni, a Mongajłło nie ukrywał swej radości.

— Widzisz kotusik, wszystko zakończyło się dobrze. — powtarzał. — A najadłem się strachu o twoją skórę. Ho, ho, ho, kotusik. Wyszedłeś cało i postrzeliłeś mistrza nad mistrze! Toć o tym będzie gadała cała Nizza... No — raptem zaśmiał się rubasznie i klepnął Jerzego z całej siły w kolano — ma słuszność major, w pojedynku najniebezpieczniejszy fuszer!

Marlicz pomyślał, że właśnie dlatego ludzie rozsądni powinniby raz na zawsze zaniechać tych krwawych błazeństw, będących parodią honorowej satysfakcji. Jednak

milczał. Tymczasem Brucz dodał:

— I ja rad jestem, że tak się stało. Monsley rychło będzie zdrów. Przyznać trzeba, że zachował się bardzo przyzwoicie i pogodził się z panem — obaj nie tytułowali stale Marlicza „hrabią“. — Chociaż.. od samego początku miałem wrażenie, że wasze nieporozumienie ma głębszy podkład. Wydawało się, że chce panu powiedzieć coś poufnego, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

Jerzy odniósł to samo wrażenie, a nawet zadowolony był, że Monsley nie dokończył zdania. Obawiał się, że będzie to jakaś nieprzyjemna rewelacja o Tamarze..

— Wątpię — bąknął umyślnie.

Dalej rozmowa potoczyła się na obojętne tematy i oczywiście wspominano przeróżne pojedynki, których wynik był podobny do tego spotkania. Wreszcie samochód znalazł się przed domem, w którym zamieszkiwał i zatrzymał się pod bramą.

Marlicz uścisnął ręce swoim towarzyszom i wyskoczył z auta.

— Musimy dziś wieczorem oblać to wszystko, kotusik! — zawołał w ślad za nim Mongajłło.

— Tak... tak.. — odparł szybko pragnąć jaknajprędzej zobaczyć i uspokoić Tamarę. — Zatelefonuję i umówimy się na wieczór.

Niestety, ta uczta nigdy nie doszła do skutku.

ROZDZIAŁ XI.

FORTUNA TAMARY.

Tamara siedziała przed toaletą w sypialni. Ujrzawszy Jerzego, który wpadł tam, niczym bomba, drgnęła, ale zamiast radości, która chyba winna się zarysować na jej twarzy, że kochanek wyszedł bez szwanku z niezwykle niebezpiecznego spotkania, w pierwszej chwili przemknęło tylko niezadowolenie i zdumienie.

Trwało to wprawdzie ułamek sekundy, lecz niezwykły ten szczegół uderzyłby bacznego obserwatora. Uszedł on rzecz prosta, uwadze podnieconego Marlicza, tymbardziej że natychmiast w rysach pięknej kobiety nastąpiła zmiana. Na jej obliczu zajaśniała wielka radość i porwawszy się ze swego miejsca, podbiegła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Żyjesz! Żyjesz! — poczęła powtarzać. — Nic ci się nie stało? Co za szczęście! Tak niepokoiłam się! Mało nie umarłam ze strachu!

Chociaż świeżo wymanicurowane paluszki i niezwykle starannie podmalowane oczy, świadczyły że zaprzątnęły ją raczej poprzednio, zabiegi tualetowe, niźli troska o los kochanka — Jerzy nadal nie widział tego wszystkiego i zaczął ją również zasypywać pocałunkami.

— Żyję, dla ciebie, żyję!

Gdy minął ten pierwszy wybuch radości, Tamara pozostając w jego ramionach, nerwowo zapytała:

— Nie trafił cię?

— Nietylko nie trafił! — odrzekł z dumą. — Ale ja go postrzeliłem... Wprawdzie nieszkodliwie.

— Ty, jego?

— Tak!

— Przecież on podobno asy strzela w locie? — w jej głosie mimowoli przebiło się niesłychane zdumienie.

— Widzisz — począł opowiadać przebieg pojedynku — na dobrych chęciach mu nie brakło, ale ślepy traf zrządził inaczej, bo wyznam ci szczerze pojedynkowicz i strzelec ze mnie żaden, a właściwie wcale nie umiem strzelać. Trafiłem go nie mierząc, a gdybym nie trafił, zapewne roztrzaskałby mi głowę bo za pierwszym razem kula przeszła tylko o cal od mego czoła...

Słuchała tych szczegółów z zapartym oddechem.

— O cal od czoła! — po czym dała znowu upust swej radości. — Co za szczęście. Jakież to barbarzyństwo, taki pojedynek. O cal od czoła! Jeszcze przebiega mnie dreszcz — gdy o tym pomyślę. Ale nie wspominajmy o tak okropnych rzeczach! On — raptem zapytała, — jak zachował się później? Więc tylko lekko ranny?

— Powtarzam, lekko. A jak się zachował? Nadspodziewanie przyzwoicie i pierwszy wyciągnął rękę do zgody. Nigdy nie spodziewałem się tego po aroganckim Angliku.

— Pierwszy wyciągnął rękę do zgody?

— Przecież słyszysz. Wydawało mi się nawet, że chce mi coś rzec w zaufaniu, ale w ostatniej chwili wstrzymał się, może ze względu na obecność sekundantów.

Lęk przebiegł po jej twarzy.

— Chciał ci coś rzec w zaufaniu?

— Takie odniosłem wrażenie.

— Och! — wykrzyknęła. — Nie wdawaj się z nim w żadne rozmowy. Gdyby się jeszcze zwrócił, unikaj go. Wszelkie zetknięcie z nim może cię narazić tylko na przykrość.

Nic nie rozumiał.

— Czemu?

— Domyślam się, o co mu chodzi. Przez zemstę pragnie ci napleść na mnie rozmaitych głupstw. Jest niezwykle zawzięty. Daj mi słowo, że się z nim nie zobaczysz!

Zdziwiło go nieco to niezwykłe podniecenie Tamary.

— Zapewniam cię — odparł, — że nie mam najmniejszej chęci spotkania się z nim i jestem przekonany, że do mnie nie zwróci się. Co się zaś tyczy owych głupstw, to choć nie jesteś ze mną zupełnie szczera i wciąż mam wrażenie, że Monsley rości sobie do ciebie jakieś prawa, nietylko nie słuchałbym ich, ale potrafiłbym mu odpowiedzieć należycie.

— Naprawdę, jesteś kochany!

Nowy grad pocałunków posypał się na twarz Jerzego. Wnet jednak, widocznie całkowicie uspokojona, oderwała się od kochanka i zawołała:

— Czułości na później! Po twej bohaterskiej walce musisz być porządnie głodny i zaraz przygotuję ci śniadanie! Wybiegła do stołowego pokoju i tam sama, bez pomocy służącej poczęła się krzątać. Rychło Jerzy znalazł się przy obficie zastawionym stole, a Tamara naprzeciw niego jak przystało na czułą oddaną kochankę, siedziała rozpromieniona i wesoła.

Raz jeszcze kazała sobie powtórzyć szczegóły spotkania,

raz jeszcze cieszyła się, że tak wszystko pomyślnie zostało zakończone i sami nie wiedzieli kiedy zbiegło im w ten sposób przy stole parę godzin.

— Ach! — zawołała raptem spojrzawszy na zegar, stojący na kredensie. — Już po jedenastej a Bemer nie przychodzi!

Teraz dopiero przypomniał sobie o naszyjniku.

— Miał ci przynieść pieniądze?

— Tak, o jedenastej. Czterysta siedemdziesiąt tysięcy. Nie rozumiem, co to znaczy. Zwykle jest nadzwyczaj punktualny.

— Każdy może się spóźnić o kilka minut!

— Oczywiście! — postarała się uspokoić sama siebie.

Lecz upłynął jeszcze kwadrans, a Bemera nie było widać.

— Niepojęte! — powstała z miejsca i niepokój odbił się w jej głosie. — Już wpół do dwunastej, a jego nie ma. Nic nie rozumiem...

— Jak umówiłaś się z nim?

— Przecież powiedziałam ci! — Zostawiłam mu wczoraj naszyjnik, a ponieważ nie miał przygotowanej odpowiedniej sumy, przyrzekł dzisiaj przynieść pieniądze. Nawet Bemerowi nie łatwo zebrać czterysta siedemdziesiąt tysięcy przy obecnym kryzysie..

— Pozostawiłaś mu naszyjnik? — uderzył go ten szczegół — wzięłaś chyba pokwitowanie.

— Nie wzięłam, gdyż miałam do niego całkowite zaufanie...

— A jeśli zechce to wykorzystać? Czy nie postąpiłaś

nieco lekkomyślnie?

Widocznie te same obawy poczęły trapić Tamarę, gdyż przeszła się nerwowo kilkakrotnie po pokoju.

— Zatelefonuję do niego — oświadczyła, zbliżając się do telefonicznego aparatu.

W tej samej jednak chwili, gdy miała ująć do ręki słuchawkę, rozległ się dzwonek u wejściowych drzwi.

— Bemer! — zawołała z ulgą. — Jednak przyszedł. Zaraz sama mu otworzę i posłyszy ode mnie kilka słówek za to, że się spóźnił!

Podbiegła do drzwi. Wnet ździwiła się. Nie był to jubiler, a goniec w liberii z jego firmy.

Podał jej list.

— Pan szef kazał oddać pani hrabinie!

— Czemu sam nie przyszedł?

Chłopak wzruszył ramionami.

— Nie wiem!

— Czy mam dać odpowiedź na ten list?

— Szef oświadczył, że odpowiedzi nie będzie!

Skłonił się i nie czekając na dalsze zapytania Tamary, zbiegł ze schodów.

Wzburzona powróciła do stołowego pokoju, gdzie oczekiwał na nią Jerzy, trzymając list w ręku.

— Bemer — wyrzekła niespokojnie — zamiast stawić się osobiście, przysłał jakiś list. Nic nie rozumiem, co to znaczy?

— Czy nie kręci?

— Zaraz się przekonamy.

Pośpiesznie rozerwała kopertę, i poczęła czytać list,

napisany maszynowym pismem na firmowym papierze. W miarę czytania bladła. Wreszcie oczy jej rozszerzyły się z przerażenia i wykrzyknęła zmienionym głosem.

— Jakieś łajdactwo!

Jerzy zerwał się ze swego miejsca.

— Co się stało?

— Czytaj!

Pochwycił pismo do ręki.

„Szanowna Pani Hrabino! — brzmiało ono — Nie chcę podejrzewać pani o świadomą chęć wprowadzenia mnie w błąd, ale ktoś musiał zadrwić z Niej, albo ją oszukać gdyż naszyjnik jest sfałszowany i w żadnym razie nie pochodzi z wiadomego źródła. Pozostawiona mi kolia stanowi imitację, co prawda doskonałą, ale tylko imitację, nie przedstawiającą dla mnie żadnej wartości. Wobec tego zrezygnować muszę rzecz prosta z całej tranzakcji, ale z całym naciskiem zmuszony jestem prosić o zwrot zadatku, wysokości trzydziestu tysięcy franków przy jednoczesnym odbiorze imitacji naszyjnika. Gdyby to nie nastąpiło w przeciągu dwudziestu czterech godzin z prawdziwym żalem będę zmuszony do podjęcia kroków, które nie wiem, czy będą zbyt miłe dla pani Hrabiny. Z poważaniem — Bemer“.

Jerzemu ze ździwienia wypadł list z ręki.

— Imitacja?

— Ależ to najzwyklejsze oszustwo! — wołała tymczasem z pasją Tamara. — Na swoje nieszczęście pozostawiłam mu naszyjnik, musiał domyślić się okoliczności, w jakich weszłam w jego posiadanie, umyślnie zwlókł wypłatę pieniędzy do dzisiaj, żeby zrobić

w ciągu nocy imitację i teraz we mnie wmawia, że mu doręczyłam falsyfikat. To łotr nad łotrami.

— Możeś się istotnie pomyliła? — zapytał nic nie rozumiejąc z całej sprawy, gdyż jubiler w żadnym wypadku nie robił na nim wrażenia oszusta.

— Niemożliwe! — zaprzeczyła energicznie. — Uprzytamniam sobie nawet obecnie doskonale, jak odbyło się wszystko. Imitację miałam schowaną za gorsem sukni, a na kolanach położyłam prawdziwy naszyjnik. Kiedy zasłoniłeś mnie przed Panopulosem tak, że nie mógł nic spostrzec, nałożyłam szybko imitację na szyję, a prawdziwy naszyjnik schowałam za suknię. Nie mogło być pomyłki. Później oczywiście zdjęłam imitację i schowałam ją do pudełka.

— W takim razie!

— Bemer chce mnie ograbić najzwyczajniej! — wykrzyknęła z nowym porywem gniewu. — Liczy na to, że obawiając się Greka, nie złożę na niego skargi i będę milczała. Wmawia we mnie, że pozostawiłam mu falsyfikat, gdyż chce ukraść pół miliona.

I Jerzy poczynał w to wierzyć.

— Istotnie! Co za nieostrożność! — Jak mogłaś mu pozostawić naszyjnik!

— Widzisz! Nawet najsprytniejszy człowiek da się podejść!

— Co zamierzasz zrobić?

— Och! — uderzyła dłonią z całej mocy w stół. — Nie pozostawię tego. Bemer liczy na bezkarność ale grubo się zawiedzie. Jeszcze nie zna mnie dobrze! Zobaczymy, czy

tak gładko przejdzie mu ten kawał.

— Pójdziesz do niego?

— Ubieram się i idę!

Już miała Tamara pobiec do sypialni i dokończyć swoją tualetę, aby udać się do jubilera, gdy wtem u wejścia zabrzmiał dzwonek.

— Któż to taki? — skrzywiła się z niechęcią. — Pewnie Mongajłło przychodzi wałkować jeszcze raz szczegóły pojedynku, lub jaki inny nudziarz. Bądź łaskaw, odpraw go! W stanie w jakim obecnie znajdujemy się, nie mamy chyba nastroju do przyjmowania gości.

Jerzy wyszedł do przedpokoju i otworzył drzwi. Zobaczył przed sobą jednak nie Mongajłłę, a jakiegoś wygalowanego i sztywnego lokaja, który wyciągał w jego stronę list.

— Od pana prezesa Panopulosa — wymówił — po czym skłonił się i odszedł.

Złe przeczucie ścisnęło serce Marlicza i nie zatrzymywał służącego.

— Czyżby Panopulos się spostrzegł — pomyślał — i występował teraz z pretensjami? Ładna historia! Bemer oszukał Tamarę i będziemy jeszcze mieli kryminalną aferę na karku.

Nie czekając na kochankę, która znajdowała się w sypialni, drżącymi palcami rozerwał kopertę i czytał ten nowy list:

„Droga pani Tamaro! — brzmiał on — Ponieważ pragnę oszczędzić Pani fatygi ośmielam się nadesłać te kilka słów wyjaśnienia. Istotnie postąpiłem bardzo nieładnie, zbierając

pewne informacje, ale już taka jest moja natura i nie darmo nazywa mnie Pani „chytrym Grekiem“.

Otóż mniej więcej na godzinę przed obiadem, który zaszczycili Państwo swą łaskawą obecnością, mój detektyw, znany pani osobiście Drenk, zakomunikował mi, że dobra ziemskie wielce szanownego Pani małżonka, hrabiego Marlicza składają się z doniczki na balkonie... i zdaje się niczego więcej. Wobec tego, nie zdziwi się Pani, że ze zwykłą sobie ostrożnością, wolałem, gdy Pani tak nastawała na obejrzenie kolii, pokazać Jej imitację, zamiast prawdziwego naszyjnika... Imitacja ta jest doskonała i pochodzi z wiadomego Pani źródła, gdyż o ile nie mylę się, korzystała Pani również z usług bardzo zdolnego człowieka, niejakiego pana Garnier który ma tylko tę wadę, że zbyt lubi pieniądze i za odpowiednią sumę, czasem zdradza cudze sekrety...

— Ach! — zawołał, gdyż raptem wszystko stało się dlań jasne, poczym czytał dalej:

„Chociaż wszystkie imitacje wychodzące z rąk monsieur Garnier‘a są jednakowe i jednakową posiadają wartość, mam wrażenie, że więcej podobała się Pani moja, niż będąca w Jej posiadaniu. Nie roszczę o to żadnej pretensji i bardzo mi miło zrobić Pani przyjemność tak drobną przysługą. Szczególniej, że nic na tym nie tracę. Chcąc tylko zaoszczędzić Jej zbytecznych rozmów z Bemerem, śpieszę donieść o tym fakcie.

Naprawdę, przykro mi, że nie będę miał szczęścia gościć Państwa u siebie raz jeszcze w najbliższej przyszłości i spędzić wieczoru w Jej towarzystwie i czarującego

małżonka, jakim jest hrabia Marlicz. Niestety, interesy zmuszają mnie do dłuższego wyjazdu na Wschód i nie mam pojęcia, jak długo tam zabawię. Wyjeżdżam dzisiaj rano i ten list otrzyma Droga Pani, zapewne po moim wyjeździe.

Łączę najserdeczniejsze pozdrowienia dla Niej i Małżonka. — Szczerze oddany Konstantyn Panopulos“.

Jerzy pobiegł z listem do sypialni, gdzie siedziała Tamara.

— Oto rozwiązanie zagadki! — zawołał, wyciągając do niej papier. — Niestety, tragiczne! List od Panopulosa.

Prawie wydarła mu pismo z ręki, a gdy przeczytała je osunęła się na fotel. Widać było, że otrzymała cios w samo serce i tak złamanej Marlicz nie widział jej nigdy jeszcze.

— Więc Bemer nic nie winien! — wyszeptała. — Ten łotr mnie podszedł, był sprytniejszy odemnie..

— Ma znakomitego detektywa! — mówił pośpiesznie. — Wszystko wyśledził. Przekonał się, że nic nie posiadam, z kpinami pisze o doniczce na balkonie. A wówczas postanowił z ciebie zadrwić i wręczył imitację. Szczególniej że ten twój Garnier musiał mu wszystko wypaplać...

— Idiota — syknęła. — Możliwe, że biegał do niego z imitacją naszyjnika, gdy mnie nie było w Nizzy... W każdym razie wszystko stracone.

— Istotnie! — mruknął.

Raptem, w Tamarze zaszła szybka zmiana. Miast poprzedniego przygnębienia, ogarnął ją gniew.

— Szubrawiec! — zaklęła głośno pod adresem Greka. — Raz jeszcze mnie zwyciężył i cieszy się teraz! A sądziłam,

że jestem tak bliska celu! Lis przebrzydły. Jak perfidnie grał komedię... Nadskakiwał, udawał czułego. A w duchu pękał ze śmiechu, że nabiorę się na tę imitację.

Jerzy pomyślał, że właściwie była to równa walka, gdyż oboje działali podstępnie tylko Panopulos okazał się chytrzejszy. Również pomyślał że prawie wszyscy Grecy mają podobne zwyczaje. Czyż nie czytał wczoraj jeszcze w nekrologu, jaki ukazał się po śmierci sir Bazylego Zacharowa (przyjaciela Panopulosa), że ten postąpił podobnie z niewiastą, która usiłowała go szantażować. Doręczył jej z najsłodszym uśmiechem pieniężną sumę, a nazajutrz osadził w więzieniu. Nie miał jednak zamiaru powtarzać Tamarze o tych szczegółach, jak również wyznawać jej, że w gruncie był rad że w taki sposób zakończyła się ta cała przygoda z Panopulosem, a raczej z usiłowaniem kradzieży naszyjnika.

Przezornie milczał. Tymczasem ona dalej rozpaczała.

— Nie mam szczęścia, stanowczo nie mam... Nie darmo nazywano mnie fatalną kobietą! Czego się tknę, obraca się przeciw mnie. I to małżeństwo z Kuzunowem i teraz ten naszyjnik... Czyż nigdy nie potrafię ułożyć sobie życia, osiągnąć upragniony cel?

I teraz znów mógł odpowiedzieć, że drogi, jakie wybierała, aby zdobyć majątek były niemoralne i bardzo śliskie i nic dziwnego że przeważnie zawodziły. Że należałoby postępowanie zmienić zasadniczo.

Nie miał zamiaru jednak rozdrażniać jej. I przed nim przyszłość rysowała się więcej, niż w ponurych barwach.

— Cóż teraz będzie? — mimowoli wymówił.

— I ty pytasz się jeszcze, co teraz będzie? — powtórzyła z pasją. — Łatwą możesz dać sobie odpowiedź. Miliony rozchwiały się w powietrzu, ja nie mam prawie ani grosza, bo te kilka tysięcy franków, jakie pozostały, nie starczą na długo. A dług u Bemera pozostał! Nie dziwię się, że jest wściekły. Bardzo być może, że posądza mnie naprawdę o chęć oszustwa, skoro mu doręczyłam imitację kolii. Teraz nie będzie żartował. Czytałeś, co napisał? Daje mi dwadzieścia cztery godziny terminu. O ile w tym czasie nie zwrócę pieniędzy, podejmie kroki, sam wiesz jakie... A zebrać trzydzieści tysięcy franków w ciągu dnia nie łatwo..

Marliczowi znów przebiegły mrówki wzdłuż pleców, takie same jak przed pojedynkiem. A może nawet wolał swoją ówczesną sytuację. Wszak groziła mu tylko śmierć, a teraz skandal, więzienie. Jeśli Bemer złoży skargę do policji, wyda się wszystko. Ich niewyraźna sytuacja, podszywanie się pod miano ludzi zamożnych, fałszywy hrabiowski tytuł.

— Istotnie potworne! — mruknął. — Ale jakaż na to rada?

— Nie znajduję rady!

— Może pogadać z Mongajłłą? — błysnęła mu raptem myśl. — Stary ma pieniądze, gdyby chciał, pożyczyłby trzydzieści tysięcy funtów.

Wzruszyła ramionami!

— Nie pożyczy. Doskonale wie, kim jesteś. Zresztą nie zwracaj się nawet o to do niego. Zawiadomiłby natychmiast Kuzunowa.

— Może i masz słuszność! Ale, cóż w takim razie

pozostaje nam uczynić? Ucieczka?

— Uciec z Nizzy? Byłoby to może najmądrzejsze wyjście. Sama zastanawiam się nad tym.

— Spakujemy po cichu kufry i w nocy, dzisiaj znikniemy, zanim Bemer zawiadomi władze!

— A co dalej? — wyrwało się jej szczerze. — Dokąd uciec? Za co? Daleko nie zajedziemy.

Zagryzł usta.

Chodziła po pokoju, jakby rozmyślając nad czymś.

Wyciągnął papierośnicę, wyjął papierosa, zapalił go i głęboko zaciągnął się dymem.

— Istotnie nie wesoło! — wymówił do chwili.

Tamara raptem przystanęła przed nim, a w jej oczach zamigotały iskry gniewu.

— Tylko krakać potrafisz! — syknęła. — Stękać i powtarzać, co będzie... co będzie? — przedrzeźniała — to naprawdę nie ja tylko ty jesteś pechowy.

— Maro! — drgnął zaskoczony tym wybuchem.

— Pechowy! — powtórzyła nie panując, pod wpływem nerwowego podniecenia, nad sobą i całkowicie teraz szczera. — Odkąd ciebie poznałam, wszystko, czegokolwiek się tknę, kończy się najstraszliwszą katastrofą. I nieudane małżeństwo z Kuzunowem i ta historia z kolią...

— Ależ...

— Tak, tak...

— Wobec tego — począł, jakby chciał powiedzieć, że skoro doszła do podobnego przekonania, powinni się rozstać, ale umilkł nie mając siły wypowiedzieć tej myśli.

Długą chwilę trwało przykre milczenie. Wreszcie jakby opamiętała się i z jej twarzy znikł wyraz gniewu.

— Widzisz — rzekła, podchodząc do niego i kładąc mu rękę na jego ramieniu — do czego doprowadzić mogą nerwy. Sama nie wiem, co mówię.

— Maro! — zawołał ucieszony. — Wcale nie mam do ciebie żalu. Rozumiem, w jakim stanie się znajdujesz.

— Przepraszam cię! — musnęła wargami jego policzek. — Niesłusznie wyrządziłam ci przykrość! Bardzo cię przepraszam...

— Ależ zapewniam... — objął ją ramieniem i przytulił do siebie.

Wnet jednak wysunęła się z tego uścisku.

— Tak! — rzekła. — Jestem wyjątkowo podrażniona, byle co wyprowadza mnie z równowagi. Dlatego też sądzę, najlepiej będzie, o ile przez pewien czas pozostanę sama. Czuję początki migreny.. Zamknę się w pokoju. Muszę skupić myśli. Trzydzieści tysięcy dla Bemera! — zawołała ze strachem. — Do jutra, nie żarty...

— Nie będę ci przeszkadzał!

— Idź na przechadzkę! — wymówiła, jakby dając do zrozumienia, że na jego pomoc, ani radę nie może liczyć. — Idź się przejść, ja przez ten czas powrócę do równowagi. Dobrze nawet, żeby cię wszędzie zobaczono po pojedynku. A gdy powrócisz, zobaczysz swoją dawną Marę! — dziwny błysk przemknął jej w oczach. — Zapewniam cię, że coś wymyślę.

— Masz słuszność! — skinął głową, pragnąc, aby w czasie jego nieobecności uspokoiła się całkowicie. —

Wyjdę i za godzinę powrócę...

— Doskonale!

Rychło Jerzy opuścił mieszkanie, nie udał się jednak ani do kasyna, ani na promenadę. Zbyt wielkie czuł przygnębienie, aby tam pójść, a nawet unikał ludzi. Straszliwe pytanie, co dalej nastąpi, rysowało się przed nim w całej swojej grozie. Wydawało mu się że wszyscy napotkani przechodnie patrzą na niego i myślą:

— To ten, co wraz ze swoją kochanką chciał oszukać Bemera!

Oszukać Bemera! Nic dziwnego, że Tamara jest taka zdenerwowana, jubiler nie będzie żartował. Ale, jeśli uda się jej nawet znaleźć jakiś nowy wykręt i wywinąć się z niebezpiecznej sytuacji, co stanie się dalej? Toć pieniędzy mają niewiele, Tamara nie dostosuje się do skromnych życiowych warunków i aby utrzymać się na dotychczasowym poziomie i zaspakajać przyzwyczajenia do luksusu, trzeba będzie popełnić nowe oszustwo. Jeśli nie tutaj, to gdzieindziej.

Do czego to wszystko doprowadzi?

Szczególniej, gdy Tamara już poczyna z nim rozmawiać, jak rozmawiała przed chwilą i może czasami nabiera przekonania, że jest jej tylko kulą u nogi.

— Straszne!

Jerzy wzdrygnął się, gdy wiem ktoś głośno zawołał za nim po francusku:

— Panie hrabio...

Nie odwrócił się, zapomniawszy nawet obecnie o swoim fałszywym hrabiowskim tytule..

— Panie hrabio Marlicz! — posłyszał powtórnie i zupełnie wyraźnie.

Przystanął i obejrzał się zdziwiony. Szedł za nim pośpiesznie jakiś wysoki, elegancko ubrany pan i dawał mu ręką znaki, aby się zatrzymał. Poznał go. Był to jeden z Anglików, którzy sekundowali Monsley‘owi.

— Ja, do hrabiego! — wymówił Anglik, zbliżywszy się tymczasem. — Szedłem do pana do domu, ale skoro napotkałem go, oszczędzi mi to trudu.

— Ma pan do mnie jakaś sprawę?

— Tak.

— Słucham?

— Mój przyjaciel, sir Artur Monsley, niedawny pana przeciwnik, prosił koniecznie aby pan zechciał natychmiast go odwiedzić.

— Ja.... mam odwiedzić pana Monsley‘a?

— Z całym naciskiem zaznaczył, że jest to sprawa nie cierpiąca zwłoki i leżąca przede wszystkim w pańskim własnym interesie.

— Moim? Czyżby sir Monsley‘owi było gorzej? Rana okazała się poważniejsza?

— Ach nie o to chodzi! Na szczęście nie nastąpiło żadne pogorszenie. Mój przyjaciel pragnie panu zakomunikować coś poufnego.

— Poufnego? Tak ważne...

— Oczywiście i przedemną zachował tajemnicę! Ale ma to być sprawa pierwszorzędnej wagi dla pana...

— Pierwszorzędnej wagi!

Jerzemu przypomniało się raptem dziwne zachowanie

Monsley‘a po pojedynku. Już wówczas uczynił ruch, jakgdyby chciał mu zakomunikować coś wysoce niezwykłego. Ale również przypomniał sobie słowa Tamary, że Monsley jest niezwykle zawzięty i przez zemstę może różnych głupstw na nią napleść. Czyżby o to szło? Przecież wymogła nawet na nim obietnicę, że nie zobaczy się z nim.

Zawahał się...

— Nie rozumiem, czemu pan się namyśla? — wymówił z dziwnym uśmiechem Anglik, zauważywszy jego wahanie. — Zapewniam, że nie zamierzam wciągnąć pana w żadną pułapkę, a mam wrażenie, że nawet nie wypada odmówić prośbie mego przyjaciela. Wyglądałoby to nieco dziwnie po tym, gdy podaliście sobie ręce do zgody. Zresztą, nie namawiam. Postąpi pan, jak uzna za właściwe...

Ostatnie słowa, ostatecznie wpłynęły na decyzję Marlicza. Mimo przyrzeczenia, danego Tamarze, postanowił odwiedzić niedawnego przeciwnika. Toć, gdyby ten wystąpił nawet z niemiłymi rewelacjami, potrafi zawsze należycie się zachować. Zresztą, zagrała w nim ciekawość.

— Ależ, źle mnie pan zrozumiał! — zaprzeczył pragnąc zatrzeć poprzednie wrażenie. — Czemuż, nie miałbym odwiedzić sir Monsley‘a, szczególnie, gdy pragnie mnie zobaczyć. Wszak i tak było moim obowiązkiem, złożyć mu wizytę.

— Znakomicie! — ucieszył się Anglik. — Pójdziemy razem... Mieszka niedaleko.

Skręcili i rychło znaleźli się w jednym z hoteli, w którym Monsley zajmował numer na drugim piętrze. Kiedy, jechali

tam windą, lift boy oświadczył im z tajemniczą miną:

— Pan pułkownik zaznaczył, że po za panami, dziś nie przyjmie nikogo.

Przyglądał się przy tym z zaciekawieniem Marliczowi. Może, dowiedział się, że właśnie przez tego, nieznanego mu młodego człowieka, Monsley powrócił ranny z tajemniczej wyprawy. Zastukali i znaleźli się w numerze. Pachniało tam lekarstwami a Anglik spoczywał wyciągnięty i wysoko wsparty o poduszki, na łóżku. Miał jednak, dobrą minę, nieodstępny monokl tkwił mu w oku i z widocznym zadowoleniem, popatrzył na wchodzącego Jerzego.

— Raczył pan hrabia przybyć na prośbę chorego! — wyciągnął rękę w jego stronę.

— Och! — odparł Marlicz uprzejmie. — Byłbym się stawił i bez zaproszenia. Jak pan się czuje?

— Zupełnie dobrze! Głupstwo! Pojutrze mam zamiar tańczyć na dancingu.

Po wymianie tych wzajemnych uprzejmości, na chwilę zapanowało milczenie. Monsley popatrzył znacząco na swego przyjaciela, który sprowadził Jerzego.

Ten, zrozumiał.

— Nie będę panom przeszkadzał! — rzekł. — Tym bardziej, że mam jeszcze do załatwienia kilka pilnych spraw. Skłonił się i wyszedł.

— Niechże pan siada! — wskazał Monsley na fotel, znajdujący się w pobliżu łóżka, kiedy pozostali sami. — Proszę zapalić papierosa... Papierosy znajdują się w pudełku obok pana, na stoliku...

Jerzy usiadł, zapalił papierosa i zastygł w oczekiwaniu.

Anglik zastanowił się chwilę, jakby nie wiedząc, w jaki sposób rozpocząć draźliwą rozmowę. Marlicz wprost nie poznawał go. Miast zwykłej arogancji, przebijało w Monsley‘u jakieś zażenowanie, jakby poczuwał się wobec Jerzego do winy, mimo, że sam został ranny w pojedynku.

— Panie! — wreszcie począł. — Chociaż dobrze nie wiem, kim pan jest i nie bardzo wierzę w pański hrabiowski tytuł, pragnę panu uczynić pewne wyznanie.

Marlicz drgnął. Wstęp był dość obraźliwy, mimo że został wypowiedziany łagodnym tonem. Czyżby do Anglika już doszły echa historji z Panopulosem i naszyjnikiem?

— Nie rozumiem... — bąknął zimno.

— Tylko, proszę się nie obrażać! — zaprzeczył Monsley. — Nie zamierzam dotknąć pana! Pragnę tylko, aby nie było pomiędzy nami niedomówień..

— Mianowicie?

— Powtarzam, zebrałem o panu pewne informacje i pański tryb życia jest mi wiadomy. Dla tego też, zaznaczam, że nie jest pan tym, za kogo pan pragnie uchodzić.

Jerzy poczerwieniał.

— W takim razie — wyrzekł podrażniony — nie rozumiem po co pan strzelał się ze mną? Przecież, pojedynkuje się z ludźmi, co do których nie wysuwa się żadnych zarzutów.

— Widocznie, miałem inny cel.

— Jaki.

— Zaraz pan się dowie! Jeszcze zaznaczam, że po początkowych niezbyt pochlebnych informacjach, dowiedziałem się z ust pana Mongajłły, do którego żywię całkowite zaufanie że jest pan w gruncie rzeczy przyzwoitym, tylko zaślepionym człowiekiem.

— Och! — skrzywił się, przypomniawszy sobie ostrzeżenia Tamary i domyślając się, o co chodzi Monsley‘owi. — To tylko zamierzał pan mi powiedzieć?

— Nie tylko! Chciałem uczynić ten krótki wstęp, aby pan zrozumiał, dla czego posyłałem po niego i pragnąłem z nim rozmawiać. Bo, doszedłem do przekonania, że moim obowiązkiem jest powiedzieć mu wszystko szczerze. Obowiązkiem uczciwego człowieka. Więc, przejdziemy do sprawy pojedynku.

— Proszę?... — głos Marlicza zabrzmiał lodowato. Postanowił w duchu, o ile Monsley rozpocznie opowiadać jakieś niewłaściwe rzeczy o Tamarze, powstać z miejsca i nie żegnając go opuścić pokój.

Nastąpiła, jednak zupełnie inna rewelacja.

— Zapytywał pan — powoli wymówił Anglik — dla czego pojedynkowałem się z nim skoro wiedziałem wiele i mogłem niektóre nieprzyjemne dla niego rzeczy wyciągnąć na światło dzienne. Pojedynkowałem się, gdyż pragnąłem pana zabić.

— Każdy — wzruszył ramionami — pragnie zabić przeciwnika w pojedynku!

— Ale mnie, proszono o to!

— Pana proszono żeby mnie zgładzić ze świata?

— Tak!

— Któż to? — zdziwił się.

Anglik popatrzył mu prosto w oczy, po czym wymówił mocnym głosem.

— Pańska żona, czy też przyjaciółka, pani Tamara!

Jerzy doznał wrażenia, że ktoś trzasnął go obuchem po głowie.

— Co?

— Tak, pani Tamara!

Zerwał się z miejsca.

— Pan kłamie! Nigdy! Nigdy w to nie uwierzę!

— A jednak tak jest... Zaznaczam panu, że właśnie nigdy nie kłamię...

Jerzy nie hamował dłużej swego oburzenia.

— Nie wierzę! — wykrzykiwał, podniecony. — Przenigdy. Słusznie, twierdziła Tamara, że pan przez zemstę gotów na nią rzucić najpotworniejszą kalumnię...

I wówczas stała się rzecz niezwykła. Monsley, zazwyczaj taki impertynencki, nie poczuł się zupełnie dotknięty tymi ostrymi słowami. Popatrzył raczej, z politowaniem na Marlicza.

— Młody człowieku! — rzekł. — Jestem blisko o dwadzieścia lat starszy od pana! I ja również byłem taki zaślepiony. Jeśli panu to wszystko mówię, to tylko dlatego, żeby go ratować. No i że samemu mi wstyd, że dałem się wciągnąć w podobną intrygę. A wie pan, czemu tak postąpiłem...

— Nowa insynuacja?

— Bo — mówił Anglik, niezrażony wykrzyknikiem Marlicza — pani Tamara wytłumaczyła mi, że jest pan

skończonym łotrem...

— Ja? — Skończonym łotrem?

— Który przyczepił się do niej, pochwycił ją w swe szpony, wyzyskuje i szantażuje ją...

— To ona miała mówić?

— Tak! Błagała mnie, żebym ją wyrwał z pańskich rąk. Sama podsunęła myśl o pojedynku, wiedząc, że dobrze strzelam. Toć, nie moja wina, że pan uszedł śmierci. Umyślnie przysłała pana do kasyna wówczas wieczorem, żebym go sprowokował. Z góry, wszystko było ułożone i dlatego oczekiwałem pana zdala od stołów gry i zachowywałem się obraźliwie. Dopiero później, Mongajłło otworzył mi oczy...

— Panie... panie... — bełkotał zawstydzony temi wyznaniami.

— Uważałem więc pana za niebezpiecznego ptaka i postanowiłem z nim skończyć. Dopiero, pan Mongajłło, do którego mam całkowite zaufanie, nieco otworzył mi oczy i przekonał, kto z was jest właściwie ofiarą. Ale cofać się było za późno. Może z tego względu nie mierzyłem w pojedynku, jak należało. Dość, że wyszedł pan bez szwanku, a ja jestem ranny. Jednak, poczytywałem sobie za obowiązek powiadomić pana o wszystkim. Chciałem to uczynić wcześniej, lecz... Wykonał ruch ręką jakby dając do zrozumienia, że nie uważał za wskazaną tę rozmowę przy świadkach.

Jerzy, mimo wszystko, nie wierzył. Gdyby Monsley nie był ranny i nie leżał w łóżku, skoczyłby mu do gardła. Zaciskał pięści z bezsilnego gniewu i powtarzał:

— Kłamstwo... Potworna intryga...

— Nieszczęsny zaślepiony człowieku! — krzyknął raptem Anglik, unosząc się na swym posłaniu! — Może to, wreszcie ci wystarczy! Czytaj!

Sięgnął pod poduszkę i wyjąwszy stamtąd pomiętą kartkę, wyciągnął ją w kierunku Marlicza.

Ten, pochwycił ją pośpiesznie i przeczytał:

> ...„Przyślę dziś Marlicza do kasyna. Postąp, jak prosiłam. Dłużej nie wytrzymam podobnego życia“...

Podpisu brakło, ale bilet ten został skreślony bezwzględnie ręką Tamary.

Kartka wypadła mu z dłoni. Trudno nadal było wątpić. Pochwycił się za głowę.

— Straszne.

Raptem, począł sobie przypominać przeróżne, drobne szczegóły, na które dotychczas nie zwracał uwagi. Niektóre odezwania się kochanki, jej namawianie, aby nie cofał się przed pojedynkiem, wreszcie owo zdziwienie, które trwało co prawda tylko sekundę, gdy wrócił do domu żywy i cały. Lecz, jakiż cel miała, wysyłając go na niehybną śmierć?

Raptem, olśniła go okrutna prawda i zrozumiał wszystko. Nie kochała go nigdy a używała tylko, jako powolnego pionka. A gdy wydało się jej, że dobrnęła do upragnionego celu, posiędzie naszyjnik i związaną z tym materialną niezależność, postanowiła pozbyć się niewygodnego kochanka, który mógł jej być tylko kulą u nogi, przeszkodą

w dalszej „karierze“. Pojął, czemu nieraz nazywała go niedołęgą, była dlań opryskliwa, a nawet jak wydawało mu się, patrzyła nań z nienawiścią. Och, czemuż nie przejrzał jej wcześniej!.. Co za przewrotność! W taki podstępny sposób chcieć pozbawić go życia...

— Potwór! — wypadł mu zdławiony okrzyk ze ściśniętego gniewem i rozpaczą gardła.

— Tak, — potwór! — cicho powtórzył Anglik. — Kobieta która niesie śmierć! Nie jest bezpiecznie zadawać się z nią w jakiejkolwiek formie. I ja, choć znacznie jestem starszy od pana..

Nie dokończył zdania. Raptem, zamknął powieki, jakby zbyt bolesne mu były jakieś wspomnienia i zastygł w milczeniu.

— I pan... pan? — wybełkotał Marlicz.

Ale Monsley nie odparł nic na to zapytanie. Leżał nieruchomo, a twarz jego przybrała zwykły kamienny wyraz.

Wreszcie otworzył powieki.

— Młody człowieku! — rzekł. — Spełniłem mój obowiązek. Niech pan mnie sądzi, jak chce i z naszej rozmowy dowolne wyciąga wnioski. Chwilami, żałuję, że pan mnie nie zabił. Teraz żegnam. Przypuszczam, że nie spotkamy się nigdy...

Jerzy zrozumiał.

Skinąwszy głową i nie podając ręki Anglikowi, który widocznie nie kwapił się do tego gestu, wyszedł z pokoju. Nie zabrał nawet ze sobą tragicznej kartki, która z jego ręki wypadła na podłogę. Czyż mu teraz była potrzebna?

Jak oszalały biegł na dół ze schodów, mrucząc coś do siebie i wymachując rękami, ku zdziwieniu hotelowej służby, która sądziła, że gość sir Monsley‘a, w jego numerze, na górze raptem oszalał. Sam nie wiedział, kiedy znalazł się na ulicy i pędził wprost przed siebie roztrącając przechodniów.

Byle prędzej znaleźć się w domu, byle prędzej pochwycić Tamarę i móc wypowiedzieć jej wszystko. Co dalej nastąpi nie wiedział i nie miał w swej głowie ułożonego planu. Ale czuł, że musi nastąpić coś strasznego i że on przed niczym się nie cofnie. Kobieta, która niesie śmierć! Czyż wielu jeszcze ludzi miała doprowadzić do zguby? Chyba, nie! Och, wyprawiła go z domu, gdyż drażniło ją, że żyje. Zaraz przestanie się kłopotać i o Bemera i o inne przykrości. Będzie to najlepsze rozwiązanie sytuacji.

Jerzy jeszcze mocniej zacisnął pięści i wydawało mu się że dławi kobiecą szyję...

— Panie! — posłyszał raptem czyjś wystraszony głos. — Niech pan uważa! Przejadę pana!

Drgnął i obejrzał się raptownie. Istotnie, przechodząc przez ulicę, mało nie wpadł pod samochód, który przejeżdżając otarł się o jego ubranie. Ale, również zobaczył, że z tyłu za nim stoi młoda i przystojna osóbka i teraz uśmiecha się do niego.

— Ależ pan zamyślony! — wymówiła.

Teraz dopiero spostrzegł, że rozmawiała po polsku.

— Pani mnie zna? — zapytał, zdziwiony. — Czy też domyśla się pani tylko, że jestem jej rodakiem?

— Może i znam! — odrzekła, mrużąc filuternie oczy.

— Nie wierzę!

— Hrabia Marlicz!

Drgnął.

— W jaki sposób?

— Nizza jest mała! — oświadczyła ogólnikowo. — Widocznie, skądciś dowiedziałam się kim pan jest!

— No... no...

Stojąc naprzeciw niej, przyjrzał się jej uważnie. Bezwzględnie, nie wyglądała na awanturnicę, raczej na pannę z dobrego domu, która wraz z rodzicami przybyła do nadmorskiej miejscowości, aby tu przepędzić pewien czas. Wysportowana, żywa, współczesna panna. Była ubrana spokojnie, ale wytwornie i wszystko świadczyło, że musi pochodzić z zamożnej sfery. Lecz, w jaki sposób ustaliła, że jest Polakiem? Sama, naprowadziła go na nić, mogącą rozwikłać tą zagadkę.

— Hm... — zaśmiała się. — Czyż tak trudno znać nazwisko pana, który jest szczęśliwym małżonkiem pięknej hrabiny Marliczowej!

Tak! Tamara zwracała powszechną uwagę. Musiała spotkać go z nią w kasynie, lub na promenadzie i tam dowiedziała się nazwiska. Nie było w tym nic tak dalece niezwykłego, tym bardziej, gdy chodziło o rodaczkę. Ale...

— Bardzo mi miło — odrzekł, siląc się na uprzejmą minę, która nie przyszła mu łatwo, wobec stanu, w jakim się znajdował — że pani zwróciła na mnie uwagę! Ale czy mógłbym dowiedzieć się z kolei, z kim mam zaszczyt rozmawiać? Żebym wiedział — wysilił się na żart — komu

zawdzięczam ocalenie przed śmiercią pod samochodem.

— Och! — spojrzała nań dziwnie. — Moje nazwisko nic panu nie powie i wolę go nie wymieniać. O ile zaś chodzi o ocalenie pana życia, to po raz drugi uszedł pan dziś śmierci.

— Nie rozumiem?

— Samochód teraz, a rano pojedynek!

Drgnął.

— Skąd pani wie to wszystko? Czyżby wiadomość o moim pojedynku już rozeszła się po Nizzy?

— Wątpię!

— W takim razie?

— Wiem nie tylko to! Wiem o panu znacznie więcej!

— Mianowicie?

— Że należy unikać kobiet, niosących zgubę!

— Co to znaczy?

— To, co pan słyszy!

Był teraz zaciekawiony do najwyższego stopnia, ale jednocześnie zniecierpliwiony.

— Czyni pani — zawołał — jakieś aluzje do mego prywatnego życia...

— Najmniejszych! — ironiczny uśmiech znów przemknął po jej twarzy.

— Proszę nie udawać! Przede wszystkim, kim jest pani i skąd te informacje?

— Kim jestem? Powtarzam, musi to pozostać tajemnicą. A informacji mogłabym udzielić więcej...

— Doprawdy?

— Że nie warto przejmować się przykrościami, które w gruncie nimi nie są, a obracają się tylko na pańską korzyść.

— Co?

— I w żadnym wypadku nie warto robić tego, co pan zamierza uczynić...

Aż zbladł.

— Pani.

— W dalszym ciągu pragnąłby pan uchylić rąbka mego incognito. Rozumiem! Niestety, nie uda się to panu, gdyż zaraz wsiadam w taksówkę. Niech się panu zdaje, że odwiedził pan wróżkę i że ta badała jego przeszłość i przyszłość. Czasem i ja bywam dobrą wróżką, tylko należy me rady zrozumieć i zastosować się do nich. A teraz, pa... — Do widzenia! Gawędziliśmy za długo...

Wymawiając te słowa, skinęła na przejeżdżający samochód i zanim Jerzy zdążył ją zatrzymać, jednym zgrabnym skokiem znalazła się w środku.

— Ależ, proszę mnie tak nie zostawiać! — wykrzyknął, zrozpaczony.

— Ha, — ha — ha... — rozległ się srebrzysty śmiech w odpowiedzi. — Mam nadzieję, spotkamy się jeszcze. Ale, nie tu. Świat jest taki mały. Jeśli nie tutaj, to na innej planecie...

— Wciąż te żarty...

— Do widzenia! Proszę pamiętać o dobrej wróżce i zastosować się do jej rad.

Zamachała rączką i w tejże chwili samochód ruszył z miejsca. Wnet zmieszał się z szumem innych pojazdów i znikł z oczu Jerzego.

Potarł ręką czoło.

— Do djabła! — zaklął głośno. — Chwilami, wydaje mi

się, że to tylko halucynacja. Niestety, rozmawiałem z nią naprawdę. Któż to taki? Skąd może znać najbardziej ukryte szczegóły z mego życia, a nawet domyśla się, co obecnie zamierzam uczynić?

Ze spuszczoną głową, ruszył naprzód, w kierunku domu. Wstrząsnęła nim ta przygoda. Jakaś tajemnicza osóbka — na pozór przeciętna, choć bardzo przystojna panienka — zaglądała do najintymniejszych zakamarków jego duszy i mówiła rzeczy, ukryte przed wszystkimi. Czyżby, istotnie jasnowidząca? Nie wierzył w to. Jasnowidzące nie prześwietlają w podobny sposób ludzi na ulicy. W takim razie? Od kogo otrzymała te wszystkie informacje, z jakiego powodu interesowała się nim. Ale, ale... Gdyby nawet, zdobyła je od kogoś, kto znał go dobrze, w jaki sposób odgadła, co się działo obecnie w jego sercu?

— Nadzwyczajne! — powtórzył. — Powiada, żebym nie czynił tego, co zamierzam uczynić! Obawiam się, że nie wiele poskutkuje ta rada.

Znów ogarnął go przypływ wściekłości. Co za potwór ta Tamara! Należy skończyć prędzej.

Biegiem śpieszył teraz do domu. Wreszcie, wpadł do mieszkania.

— Gdzie pani? — zapytał służącej, którą mu otworzyła drzwi.

— Pani hrabina wyszła! — posłyszał odpowiedź.

Zagryzł wargi. Na to nie był przygotowany.

— Wyszła? Nie mówiła, kiedy powróci?

— Nie! Nic pani nie mówiła!

— Dziękuję...

Gdy służąca powróciła do służbowego pokoju, Jerzy, niespokojnie począł chodzić po mieszkaniu. Zapewne Tamara wyszła, aby zdobyć pieniądze na wyjazd i oczywiście popełnić jakieś nowe łajdactwo, gdyż od kogoż w uczciwy sposób mogła otrzymać gotówkę? Och, zbyteczny stanie się ten wyjazd i skończy się dalsze oszukiwanie ludzi. Oboje pojadą w daleką drogę, ale podróż tę odbywa się darmo.

— Ścierwo! — ryknął głośno, a nie mogąc pochwycić tej, której pragnął karę wymierzyć, porwał dużą fotografię Tamary, umieszczoną w kosztownej ramie w salonie, na kominku i grzmotnął nią z taką siłą o podłogę, że rozleciała się na kawałki, a ze służbowego pokoju wypadła przestraszona subretka.

Wnet cofnęła się, a nawet zamknęła przezornie drzwi na klucz, zobaczywszy wykrzywioną nienawiścią twarz pana i błędny wzrok, jakim toczył dokoła. Sądziła, że niespodziewanie, oszalał.

Ale nawet ten czyn gwałtowny nie uspokoił Jerzego i znów rozpoczął swą niespokojną wędrówkę. Tymczasem minuty płynęły za minutami składając się w kwadranse, a później godziny, lecz Tamara nie powracała do domu.

Co to znaczy? Czyżby, ze zwykłym swym sprytem domyśliła się wizyty Jerzego u Monsley‘a i umyślnie opóźniała swój powrót, pragnąc, aby uspokoił się i licząc na to że po tym udobrucha go ostatecznie jakimś kłamstwem?

Tak, udobrucha!

Tamary nie było. Natomiast, około dziewiątej wieczorem odezwał się telefon. Marlicz już sądził, że to dzwoni

kochanka, gdy ku swemu rozczarowaniu rozpoznał Bemera. Jubiler zawiadamiał go dość impertynenckim tonem, że ponieważ pani hrabina nie dała żadnej odpowiedzi na jego list, o ile nazajutrz do dziesiątej rano nie otrzyma pieniędzy, podejmie odpowiednie kroki.

— Dobrze, dobrze! — odparł Jerzy i położył słuchawkę.

Odpowiednie kroki, więc policja! Cóż go to mogło obchodzić. O dziesiątej rano będą daleko. Przecież Tamara musi kiedyś powrócić do domu.

Wreszcie, w dziesięć minut może później, odezwał się dzwonek u wejściowych drzwi. Zdziwiło go to trochę, gdyż posiadała klucz od zatrzasku. Pobiegł pośpiesznie do przedpokoju i otworzył drzwi.

A gdy je otworzył, cofnął się zaskoczony. Przed nim stała nie Tamara, a Mongajłło.

— Pan? — wyrzekł, niezbyt serdecznym tonem, nie wiedząc jak pozbyć się niedawnego sekundanta, który zapewne przybywał w nadziei wyciągnięcia go do restauracji i „oblania“ pojedynku, o czym zdążył całkowicie zapomnieć. — Pan? Chyba nie będę mógł towarzyszyć...

Ale, Mongajłło miał jakąś wyjątkowo poważną minę, a nawet wydawało się, był mocno zażenowany.

— Ja do ciebie kotusik, w niezwykle poufnej sprawie! — wymówił. — Musimy pogadać w cztery oczy... Cóż tak trzymasz mnie na progu, wcale nie chcesz wpuścić do mieszkania?

— W poufnym interesie? — Jerzy niezbyt przejął się jeszcze tym oświadczeniem, ale ustąpił z przejścia. — Bardzo proszę, niech pan pozwoli... O, tędy... Przejdziemy

do saloniku...

Nie mógł go nie przyjąć, bez popełnienia niegrzeczności. Tylko zastanawiał się, jak „spławić“ nudziarza, zanim przybędzie Tamara.

— Oczekuję kogoś! — dodał, gdy znaleźli się tam, sądząc, że to oświadczenie skróci wizytę.

Mongajłło rozejrzał się po salonie, popatrzył na szczątki fotografii Tamary, nie sprzątnięte jeszcze z dywanu, ale nie powiedział nic, tylko w milczeniu zajął miejsce w fotelu.

— Czego chce ode mnie, skoro nie zamierza ciągnąć na pijaństwo? — pomyślał Marlicz i postanowił przyśpieszyć zwierzenia kresowca. — Pan do mnie z interesem? — począł.

Starszy pan sapnął ciężko i popatrzył na Jerzego tak, jak się patrzy na kogoś, komu za chwilę wyrządzi się wielką przykrość.

— Hm... sam nie wiem, jakby to, kotusik...

— Słucham?

— Czekasz na kogoś?

— Tak!

— Pani Tamary nie ma w domu?

— Istotnie! Skąd pan wie? — poczęła go niecierpliwić ta indagacja.

— Hm... Wiem... Na nią czekasz?

— Może...

— Ona nie wróci, kotusik!

W pierwszej chwili wzruszył ramionami, przypuszczając, że Mongajłło żartuje.

— Czemuż miałaby nie wrócić?

Kresowiec kręcił się teraz niespokojnie w fotelu. Wreszcie, wypalił.

— Bo, nie wróci i basta! Prosiła mnie, żeby ciebie o tym zawiadomić, kotusik!

Marlicz, który siedział na kanapie, naprzeciwko kresowca, porwał się ze swego miejsca.

— Co?

Starszy pan czerwony jak burak, począł się gęsto tłumaczyć.

— Ty, nie gniewaj się na mnie, kotusik, że ja do ciebie z taką misją. Mnie, naprawdę bardzo przykro. Ale trzeba cię było zawiadomić, a oni nie mieli nikogo... Toć, już lepiej ja, niż kto obcy, kotusik... Tak mnie prosili że musiałem obiecać, że przyjdę...

Jerzemu w piersiach zabrakło tchu.

— Kto oni — wybełkotał.

— Ano... Tamara i Kuzunow, kotusik...

— Tamara uciekła z Kuzunowem?

Mongajłło skinął głową.

— Wyjechali!

Wydawało mu się, że salon wraz z meblami z siedzącym w fotelu Mongajłłą wiruje dookoła. Jeśli przed tym, poznawszy jej przewrotność, przeklinał Tamarę, chwilami przysięgał sobie zadusić ją własnymi rękami, teraz doznał uczucia, że utracił coś najdroższego i że rozwarła się przed nim bezdenna przepaść. Zapomniał nawet, że porzuciła go, gdy poprzednia próba zgładzenia go rękami Monsley‘a spełzła na niczem.

— Więc uciekła z Kuzunowem! — wykrzyknął

zmienionym głosem... — W jaki sposób się złączyli? Ach, rozumiem... — przypomniał sobie, wczorajszą scenę spostrzeżoną w aucie. — Mnie posyłała na pojedynek, a z nim robiła, na wszelki wypadek, zgodę...

Mongajle, zarówno jego rola jak i cała ta scena nad wyraz była przykra. Szczególnie, że również poczuwał się do pewnej winy wobec Marlicza. Nie wytrzymał i zdobył się na szczerą spowiedź.

— Wszystko ci powiem, kotusik! Kuzunow przyjechał do Nizzy umyślnie dla Tamary. Szalał, gdyż żyć bez niej nie mógł w Warszawie. Nie wierzył w wasze małżeństwo, wiedział, że jesteście bez pieniędzy, obawiał się, że Tamara zrobi jakieś głupstwo.

— Niewiniątko, zrobi głupstwo! — syknął z ironją, przypominając sobie historię z naszyjnikiem.

— Ona dla niego zawsze niewinna ofiara! — jakby z pogardą wymówił kresowiec. — Nie przerobisz go, kotusik! Ale, słuchaj dalej. Kiedy przyjechaliśmy do Nizzy, zaczął mnie męczyć, „Mongajłło, stary przyjacielu, żebyśmy się spotkali. Ty z nimi się zetknij, bo mnie nie wypada!“ To ja wtedy, na ciebie polowanie, kotusik, urządziłem w kasynie...

— Ach! — zawołał, gdyż poczynało mu się wszystko rozjaśniać w głowie.

— Trochę ja przed tobą nie w porządku, kotusik, ale prawdę mówiąc, też myślałem na początku, żeś ty skończony drań, przepraszam, że tak prawdę gadam, kotusik. Później, dopiero przekonałem się, żeś chłop porządny, tylko otumaniony.

— Panie...

— Powtarzam, nie gniewaj się... Więc przyczepiłem się do waszej kompanii, a później pojechałem grać w karty. Myślisz, że nie zauważyłem sztuczek twojej Tamary? Dobrze widziałem, ale przegrałem dziesięć tysięcy, bo tak chciał Kuzunow. Obawiał się, że siedzi bez grosza...

— To, tak...

— Czekaj! A kiedyś ty wychodził z pokoju, zapytałem się szczerze, czy jest z tobą szczęśliwa, i czy nie żałuje Kuzunowa, bo ten umyślnie dla niej przyjechał do Nizzy... Odpowiedziała mi tak, że odrazu zrozumiałem, iż jej na tobie nie zależy...

— O tym rozmawialiście, wychodząc z kasyna?

— Niestety, kotusik! Powiedziałem jej jeszcze, gdzie może zatelefonować do Kuzunowa i że ten będzie zachwycony o ile do niego się odezwie. Reszty, możesz się domyślić sam, kotusik.

Reszty, mógł się domyślić. Zgoda, uczyniona na „wszelki wypadek“ z dawnym kochankiem, przydała się Tamarze i gdy zawiodły nadzieje na bogaty łup, w postaci naszyjnika a jubiler począł grozić, uciekła z nim z Nizzy. Może, nawet, gdyby dostała pieniądze za naszyjnik, uczyniłaby to samo, pragnąc urzeczywistnić dawniejsze małżeńskie projekty, bo przecież za wszelką cenę chciała usunąć Marlicza ze swej drogi.

Tymczasem, Mongajłło, postanowił wszystko wyrzucić ze siebie.

— Później, kotusik, przyszła ta historia z Monsley‘em. Nie miałem do ciebie wielkiego zaufania, ale postanowiłem

dopomóc. No i przekonałem się, że odważny i przyzwoity z ciebie człowiek, tylko bardzo nieszczęśliwy. Uderzyło mnie, zachowanie się Anglika po pojedynku. Postanowiłem go odwiedzić i wyciągnąłem wszystko. Chyba wiesz, o co chodzi, bo na moją prośbę ciebie wzywał do siebie, pokazał ci bilet Tamary i wyznał, że to ona go błagała, aby cię zgładził, twierdząc, że znęcasz się nad nią...

— Co za potwór! — zawołał Jerzy raptem i jak nieprzytomny, przyskoczywszy do Mongajłły, pochwycił jego ramię i z całą mocą począł nim potrząsać. — Czy pan wie, że szalała wprost ze strachu i rozpaczy, przed pojedynkiem, rzekomo obawiając się o moje życie? Że biła głową o mur, powtarzając, że jest kobietą fatalną, ktokolwiek do niej się zbliży, naraża się na niebezpieczeństwo, i że jeśli coś złego mi się stanie, to ona tego nie przeżyje... Panie Mongajłło... Czyżby pan przypuścił kiedy równie potworną komedię? Gdyby nie jej bilet, napisany do Monsley‘a, no i teraz ta ucieczka, nie uwierzyłbym nigdy, w jej obronie rzucałbym się na wszystkich.

— Zaraz... zaraz, kotusik! — kresowiec daremnie usiłował się wyrwać z ucisku. — Rozumiem, że ciebie spotkało nieszczęście, ale pocóż zaraz łamać ręce! Opowiadasz o przewrotności tej pani? Mnie tym nie zadziwisz! A dla czego urządzała tę komedię przed pojedynkiem? Bo chciała ci odebrać resztę hartu ducha, chciała żebyś żywy nie wrócił. Dobrze musiała się ździwić, kiedy przekonała się, że to Monsley, a nie tyś został ranny. Tak kotusik! Straszna osoba! Nie darmo ją przezywają

kobietą, która niesie śmierć! I prawdę ci powiem — jestem rad, żeś się wydostał z jej szponów... Tylko puść rękę...

Marlicz puścił rękę Mongajłły i stał teraz w zamyśleniu obok niego.

— Lepiej dla mnie się stało, że mnie porzuciła! — wymówił. — Jest więcej, niż niebezpieczna? Czemuż, w takim razie dopuścił pan do tego, że złączył się z nią spowrotem pański przyjaciel, Kuzunow?

Po twarzy Mongajłły przemknął bolesny uśmiech.

— Bo tyś mody, a on stary! Jego już nic nie wyleczy, a ciebie...

— Och! Mnie nie trzeba już leczyć! — wykrzyknął Jerzy z pasją. — Ja pragnę się zemścić! Pragnę zadusić własnymi rękami tę wampirzycę. Panie! — znów przyskoczył do Mongajłły. — Dokąd oni pojechali?

— Nie wiem!

— Pan wie!

— Jeśli nawet wiem, to ci nie powiem! Przestań wariować, kotusik!

— Błagam pana!

Ale ta prośba pozostała bez odpowiedzi i Mongajłło tylko przecząco potrząsnął głową.

Jerzy raptem zachwiał się na nogach i osunął się na stojącą w pobliżu kanapę.

— Jaki ja nieszczęśliwy! — zaszlochał.

Kresowiec popatrzył na niego z politowaniem. Tragiczny i przykry był widok tego płaczącego, niczym dziecko, mężczyzny.

— Słabyś, bardzo słaby, kotusik! — mruknął z

wyrzutem. — Uspokój się. Doprawdy, rozpaczać nie warto!

Marlicz, zawstydzony, przestał płakać. Lecz, wówczas ogarnęła go apatia. Siedział, wtulony w róg kanapy, bezmyślnie patrzył przed siebie i nie odpowiadał na zapytania.

Cóż go teraz obchodziło wszystko!

Zdawało się, że nie słyszał nawet, gdy Mongajłło począł mu mówić, że prócz wiadomości o ucieczce Tamary, przynosi cały szereg innych, bardzo ważnych nowin. Mianowicie, został upoważniony przez Kuzunowa do zlikwidowania wszystkiego w Nizzy.

Przede wszystkim więc, z polecenia bankiera zapłaci jutro rano trzydzieści tysięcy franków, o jakie upomina się Bemer.

Rzecz prosta, Tamara, wyznawszy Kuzunowowi o tym długu, nie nadmieniła w jakich on powstał okolicznościach, wobec tego spadnie Jerzemu największy kłopot z głowy. Następnie, pokojówka spakuje rzeczy Tamary i zostaną one odesłane w kierunku, wiadomym tylko Mongajlle. Wreszcie, Tamara przesyła Jerzemu trzy tysiące franków, aby mógł wybrnąć z obecnej sytuacji.

— Za te pieniądze, kotusik — dodał Mongajłło — powrócisz do kraju! Sam bilet kupię i sam cię wyprawię, resztę gotówki dopiero w ostatniej chwili doręczę. Inaczej, czort wie jakich głupstw mógłbyś narobić, kotusik. Ot, to jest! A o przyszłości też pomyślimy!

— Hm... — szepnął boleśnie, na chwilę wyrywając się z apatii. — Dają trzy tysiące odczepnego i wysyłają do kraju, żebym tam się powiesił!

Rozdział XII

ROZBITEK

Marlicz bez przeszkód powrócił do Warszawy. Prócz pieniędzy, doręczonych mu na dworcu przez Mongajłłę, otrzymał od starego kresowca jeszcze list polecający do niejakiego pana Jedleckiego, właściciela dużego biura komisowego, a kuzyna Mongajłły.

— Pieniądze szybko ci się rozejdą, kotusik! — rzucił ten, całując go na pożegnanie, gdyż sam pozostawał jeszcze w Nizzy. — Idź że więc, do mojego krewniaka, myślę, że da ci jakieś zajęcie bo bardzo prosiłem go o to. Czy spotkamy się kiedy jeszcze? Może i spotkamy! Świat jest taki mały, kotusik!

Przygnębienie, jakie ogarnęło Marlicza od chwili, gdy otrzymał wiadomość o ucieczce przewrotnej kochanki, nie opuszczało go w dalszym ciągu. Nawet, nie podziękował Mongajle za tę pomoc i opiekę i nie obiecywał, że listownie zawiadomi go o swoich losach.

W takim samym nastroju ducha przybył do Warszawy. Wynajął sobie prywatny, dość porządny pokój, a choć początkowo pieniędzy mu nie brakło, nie wychodził prawie z domu, nie odwiedzał modnych restauracji i kawiarni, nie widywał nikogo. Tylko, na stoliku ustawił fotografię Tamary, tę samą, którą w Nizzy cisnął na podłogę, a którą

później zabrał i kupił do niej nową ramkę — i wpatrywał się w nią godzinami. Pod fotografią leżała złota papierośnica, pamiętny prezent kochanki.

Wszystko, co przeżył, wydawało mu się chwilami tylko snem. Ale, sam nie wiedział, czy przyjemnym, czy też koszmarnym i straszliwym. Czasami z tęsknotą wspominał o nocach, spędzonych w ramionach Tamary. O życiu przy jej boku, nawet niebezpiecznych przygodach. Uśmiechał się, gdy w jego wyobraźni rysował się „hrabia Marlicz“, udający wielkiego pana zagranicą, któremu wszyscy zazdrościli przepięknej „żony“ i który postrzelił pułkownika Monsley‘a. Po raz wtóry nie przeżyje podobnej przygody, on, skromny urzędniczek bankowy i nie dla niego to wyżyny życia... Ale wnet przypominały mu się inne obrazy, a wtedy znów chciał chwytać portret Tamary i rozbijać go na kawałki.

Chciał, lecz zawsze w ostatniej chwili brakło mu siły. Tak upłynęło parę miesięcy i w końcu wyczerpał się zapasik pieniędzy Marlicza. Choć trudno mu było teraz naginać się do jakiejkolwiek pracy, przypomniał sobie o liście polecającym, otrzymanym od Mongajłły. Odnalazł wymienione biuro komisowe i zgłosił się do Jedleckiego. Ten, przyjął go we wspaniałym gabinecie i odrazu poznać było można, że jest właścicielem dużego i dobrze prosperującego przedsiębiorstwa.

— Oczekiwałem wcześniej pana! — rzekł, przeczytawszy list i przyglądając się uważnie Marliczowi, jakby był powiadomiony o jego przygodach. — Mój kuzyn, Mongajłło, pisał do mnie jeszcze przed dwoma miesiącami,

prosząc dla pana o pracę.

— Ach, tak! — bąknął. — Nie mogłem wcześniej.

— Mogę panu zaofiarować skromną posadę biurową. Podobno jest pan zdolnym buchalterem. Właśnie, wakuje u mnie taka posada. Na początek, trzysta złotych miesięcznie. Tylko.

Zapewne, nie dodawał, że prosi Marlicza, aby nie robił takich głupstw, jak w banku Kuzunowa.

Marlicz podziękował. Rozumiał doskonale, że szybkie otrzymanie posady będącej taką rzadkością w obecnych czasach, zawdzięczał wyłącznie Mongajle. Dlatego też, rzucił nieśmiałe pytanie:

— Czy pan Mongajłło już powrócił do Polski?

— Jeszcze nie! — zabrzmiała odpowiedź. — Ale o ile wiem, powraca w najbliższych dniach.

Odtąd rozpoczęła się szara, monotonna, biurowa praca, którą starał się spełniać jaknajlepiej. Jakże różna ona była od poprzedniego „świetnego“ życia, ale nie to bolało Marlicza. Dręczyło go, że nie mógł ustalić, gdzie przebywa Tamara, a gdy kilkakrotnie, zmieniwszy głos, zatelefonował do banku Kuzunowa, odpowiadano mu, że pan dyrektor jeszcze nie przyjechał z zagranicy.

Długo tam bawili. Obawiali się, widocznie, Marlicza i pragnęli, żeby uspokoił się i zapomniał.

Zapomniał?

Czyż to było możliwe.

Teraz dzielił swój czas między biuro i dom. Natomiast namiętnie począł czytywać gazety.

Wreszcie, któregoś dnia odnalazł wiadomość, której tak

szukał. Aż drżała mu ręka, trzymająca pismo, gdy ją czytał. Była to korespondencja ze Sztokholmu i brzmiała w sposób następujący:

> „W dniu wczorajszym odbył się w tem mieście ślub niezwykle popularnego bankiera warszawskiego p. Jana Kuzunowa ze słynną z urody p. Tamarą, baronową Drangiel, wdową po zmarłym rosyjskim arystokracie. Pismo nasze załącza jaknajserdeczniejsze życzenia młodej parze, która, jak się dowiadujemy, po krótkim pobycie na Fiordach, ma zamiar niezadługo powrócić do kraju“.

Młodej parze! Ona ma niecałe czterdzieści lat, a on sześćdziesiąt! Do Szwecji uciekli, żeby im nie przeszkodził w ich zamiarach? Więc, obawiali się jeszcze, a może Mongajłło doniósł im o jego rozpaczy? Teraz widocznie sądzą, że uspokoił się już i przestanie napastować Tamarę, skoro zdecydowali się powrócić do kraju.

Uspokoił się?

Bolesny uśmiech wykrzywił wargi Marlicza. Klamka zapadła. Jest cudzą żoną.

Długo znów patrzył na jej fotografię, ale w tym wzroku nie widać było tęsknoty, raczej przebijała nienawiść.

W kilka dni później jego oczy uderzyła inna wzmianka. Ta wywarła na nim nie mniejsze wrażenie. Tytuł był wydrukowany wielkimi literami, mianowicie:

ŚMIERĆ SŁYNNEGO FINANSISTY KONSTANTYNA PANOPULOSA

W Konstantynopolu zmarł nagle na udar sercowy słynny finansista Konstantyn Panopulos, który bezwzględnie po sir Bazylim Zacharowie, cieszył się największymi wpływami na Wschodzie. Obecnie rozegra się wielka batalia pomiędzy spadkobiercami tego finansowego potentata, który zakończył życie nieoczekiwanie, nie pozostawiwszy testamentu, a którego majątek szacują na kilka miliardów franków. Rzeczą jest niezwykle ciekawą, że p. Konstantyn Panopulos, jakby przeczuwając swój zgon, na parę dni przed tym, pozostawił na piśmie tylko jedno zarządzenie. Polecił, aby w razie jego śmierci odesłano wspaniałą brylantową kolię, stanowiącą ozdobę kolekcji biżuterii bankiera, jednej z pań, słynnej z urody, hrabinie Tamarze M., która niedawno bawiła w Nizzy i uchodziła za wielką przyjaciółkę finansisty. Zaznaczył, że kolia winna być odesłana hr. Tamarze M., gdyż stanowi jej własność, a dołączyć do niej należy imitację, bowiem p. Panopulos był na tyle przezorny, że chcąc uniknąć wszelkich zamachów na prawdziwy naszyjnik, sporządził jego imitację, i tę przeważnie wystawiał na pokaz.

Osobliwy ten legat, przy niepozostawieniu innych majątkowych zarządzeń, wywołał liczne komentarze i czynione są nawet zakłady, czy hr. Tamara M. go

przyjmie. Jednocześnie, informują nas, że hr. Tamara M., rozeszła się z mężem hr. Jerzym i ma obecnie wyjść za mąż za jednego z warszawskich bankierów.“

Ha, dobrze miano Tamarę na oku! Informacje były ścisłe, choć dalekie od prawdy!

Więc...

I Panopulos umarł. Choć zmarł naturalną śmiercią, na udar serca, stanowiło to jeszcze jedno ogniwo w długim łańcuchu tajemniczych zgonów, oplatających życie Tamary. Ci wszyscy, którzy bliżej z nią się zetknęli, szybko schodzili z tego świata. Wszak była kobietą, która niosła śmierć. Przed tym, Grek zapisał jej naszyjnik! Marlicz doskonale rozumiał ukryty cel tego na pozór hojnego prezentu.

Otyły i podległy apoplektycznym atakom Panopulos czuł, że nie długo przeżyje. Kochał i nienawidził Tamarę. A kochając ją i nienawidząc, śledził każdy jej krok przez swych detektywów, był powiadomiony o wszystkich jej zamiarach. Musiał dowiedzieć się, że porzuciła Marlicza i złączyła się spowrotem z Kuzunowem. A wtedy, postanowił dokonać zemsty z za grobu. Skompromitować Tamarę tym podarkiem, podkreślając, że była jego przyjaciółką. Nie ofiarowuje się podobnych naszyjników kobietom, z którymi kogoś nic nie łączyło.

Może sądził, że ostudzi to „miłość“ Kuzunowa, i że odsunie się od ukochanej? Że w ten sposób rozbite zostaną małżeńskie projekty?

Uderzenie zostało wymierzone celnie, gdyż sensacja przedostała się na łamy prasy. Przyszła, niestety, zbyt późno, gdyż Tamara już była żoną Kuzunowa.

Ciekawe, czy przyjmie naszyjnik, który odegrał w życiu Marlicza tak fatalną rolę? W każdym razie Panopulos znał ją dobrze. Jeśli zmuszona będzie go odrzucić, wyobrazić sobie można, jak przy swej chciwości będzie wściekła i jaka w jej duszy rozegra się straszliwa walka.

— Et! — mruknął Jerzy, składając gazetę. — Co mnie to wszystko obchodzi! Inne ja z panią Tamarą mam porachunki i inaczej je załatwię!

Jak zazwyczaj, udał się do biura, ale tu oczekiwała go nowa niespodzianka.

Spostrzegł, że w pokoju, w którym pracował, w którym prócz niego znajdował się tylko drugi urzędnik, przy oknie ustawiono stół i że zajmuje przy nim miejsce jakaś młoda osóbka.

Siedziała odwrócona do niego plecami i w pierwszej chwili nie dojrzał jej twarzy.

— Hm... — pomyślał. — Szef przyjął nową korespondentkę! Ciekawe, że nic o tym nie wspominał!

Chcąc zachować formy towarzyskiej uprzejmości, zbliżył się do nowej koleżanki, aby jej się przedstawić. Raptem, odwróciła głowę a wtedy szeroko wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

Przed nim siedziała nieznajoma z Nizzy, ta sama, którą napotkał, wychodząc od Monsley‘a.

— Czemuż pan tak gapi się na mnie? — roześmiała się, widząc jego niezbyt mądrą minę. — Wspomniałam panu

wtedy, że świat jest mały i spotkamy się jeszcze.

— No tak, ale tu, w biurze?

— Dziwi pana, że pracuję w tym biurze i mogę sobie pozwalać na kosztowne zagraniczne wycieczki? Czasami i takie rzeczy bywają możliwe. Pozwoli pan, że przedstawię się panu. Jestem Stella Jedlicka!

— Panna Jedlicka?

— No, tak! Córka pańskiego szefa, właściciela tego biura. Nie lubię siedzieć bezczynnie, więc pracuję u ojca...

Jerzemu rozjaśniło się w głowie.

— Ach, więc jest pani skuzynowana z Mongajłłą! Widywała go pani w Nizzy i stąd posiada pani o mnie wszystkie szczegóły...

— Być może! Teraz przyznam się panu w pokorze ducha, że nie jestem jasnowidzącą.

— Czemuż panią tak zainteresowała moja osoba? — wreszcie rzucił.

Zaczerwieniła się lekko i odwróciła głowę, jakby unikając jego wzroku.

— Hm... — wymówiła po chwili. — Nawet najbardziej praktyczne, jak ja osoby, lubią czasami romantyczne historie. W Nizzy wydawał mi się pan jakimś bohaterem. Urzędniczek bankowy, zamieniony w hrabiego przy boku pięknej, a groźnej kobiety? Kobiety, niosącej śmierć!... Pojedynkuje się, niczym markiz, epoki rococo. Wraz z panem przeżywałam te wszystkie przygody, a gdy wuj Mongajłło opowiadał o nich, niepokoiłam się o pana... Wielką rolę u kobiet odgrywa wyobraźnia...

— A teraz?

— Teraz wydaje mi się pan inny. Więcej szary i zwykły. Czemuż się dziwić, wszak przechodzi pan kurację... Uzdrowienie z miłości!

— Kurację? — skrzywił się, po czym zmienił temat. — Wolno panią zapytać, czy pan Mongajłło też powrócił do Warszawy?

— Przyjechał wraz z nami, to jest z moją matką i ze mną. — Umyślnie przecież dla nas pozostał w Nizzy. Sądzę, że rychło pana odszuka.

Jerzy skinął głową i powrócił do swego biurka. Zatopił się w skomplikowanych rachunkach i tego dnia nie rozmawiał już poufale ze swą nową, biurową koleżanką.

Natomiast, po południu odwiedził go istotnie Mongajłło, gdyż znał jego adres.

— Kotusik, kochanie! — zawołał, wyściskując go swoim zwyczajem. — Cieszę się, że cię widzę! Wcale nieźle wyglądasz. Cóż, wiem, pracujesz! Kuzyn Jedlicki zadowolony z ciebie!

— Staram się jak mogę! — odparł ogólnikowo, sadowiąc w fotelu kresowca. — Panu zawdzięczam moją posadę!

Ten sapnął, popatrzył z zadowoleniem na Marlicza, po czym zaczął prawić:

— A ja tam z początku, kotusik, za granicą niepokoiłem się o ciebie. Nie pisałeś. Nie ładnie, kotusik. Dopiero jak Jedlicki doniósł, żeś do niego się zgłosił i pracujesz, uspokoiłem się... Toć, ja naprawdę cię lubię, kotusik... Może więcej, niż lubię... Prawie, uważam za syna... Dwa razy wyrwałem cię śmierci.

Ton starego rozczulił Marlicza.

— No, tak... — szepnął. — Pojedynek, a później...

— Ze szponów tej diablicy! — z nienawiścią dokończył Mongajłło. — Ona każdego doprowadzi do zguby. Nie wróżę szczęścia Kuzunowowi. Czytałeś, wzięli ślub...

Jerzy skinął głową. Nie nadmieniał nic o Panopulosie, gdyż nie miał ochoty wtajemniczać starego w historię z naszyjnikiem. Tymczasem Mongajłło mówił dalej:

— Niezadługo wrócą do Polski. Cóż, chyba nie bardzo cię to wzrusza? Zapomniałeś o niej? Po tych krzywdach, jakie ci wyrządziła, ostatnim byłbyś draniem, żebyś choć na dnie serca pozostawił resztki uczucia dla tej istoty.

Odwrócił się gwałtownie do okna.

— Pewnie! — bąknął.

— Doskonale! — pochwalił go Mongajłło który nie dostrzegł tego ruchu. — Chyba przejdziesz teraz obojętnie obok niej i nawet na nią się nie popatrzysz. Szczególniej, że ja coś ciekawego powiedziałbym kotusik, tobie.

— Cóż takiego?

— No, to nie odwracaj się ode mnie i nie udawaj głupiego! Sam może już spostrzegłeś? Jest jedna osoba, która bardzo interesuje się tobą!

— Nie wiem! — udał, że się nie domyśla.

— Ha... ha... — zaśmiał się rubasznie kresowiec. — Takiś naiwny? Bardzo ładna i dobra osóbka, kotusik. Niesie życie, nie śmierć... Sam nie rozumiem, dlaczego tak się tobą zainteresowała? Ale zagranicą wciąż dopytywała się co słychać z Marliczem. Poprostu nudziła, aż czasem byłem zły.... A teraz po powrocie słyszałem, prosiła ojca, żeby ją posadził w tym samym pokoju, w którym i ty pracujesz.

— Och! — machnął ręką. — Coś zdaje się panu!

— Kotusik! — ciepło przemówił Mongajłło. — Idź tylko tą drogą jaką idziesz, a naprawdę pięknie możesz ułożyć sobie życie... I jeszcze nazwę cię krewniakiem...

Kiedy kresowiec opuścił Marlicza, ten długo siedział w zadumie.

Rację miał stary. Istotnie pięknie jeszcze mogło ułożyć się przed nim życie, tylko...

Wypadki następnych dni potwierdziły słowa Mongajłły. Panna Stella wyraźnie pragnęła zbliżyć się do Jerzego i wyraźnie była nim zainteresowana. Nietylko pierwsza zaczynała dłuższe pogawędki w biurze, ale nawet zaprosiła go do nich do domu.

W ten sposób Marlicz znalazł się i na obiedzie u Jedlickich i na kolacji.

Rodzice przyjmowali go niezwykle uprzejmie, a Mongajłło, obecny podczas tych wizyt, uśmiechał się z zadowoleniem.

I prawdę powiedzieć, Jerzy odżył w tej atmosferze domowego ciepła. O, jakżeż inna była ta atmosfera cicha i spokojna, całkowicie odmienna od tej, jaka go stale otaczała podczas znajomości z Tamarą. Jakżeż czuł się inaczej i chwilami chwytał się myśli, że warto żyć w ten sposób.

Warto, lecz...

Pozorna odmiana, jaka zaszła w Jerzym, ogarniający go czasami dobry humor zwiodły otoczenie, a przede wszystkim Stellę.

Wyciągała go teraz na przechadzki, a czasami do

kawiarni, sądząc, że wszystko znajduje się na jaknajlepszej drodze. A uśmiech opromieniał jej twarzyczkę, gdy Jerzy zachowywał się beztrosko i żartował. Jedno dziwiło ją nieco. Mimo jej wyraźnej zachęty nie zdobywał się nigdy względem niej na poufalsze słówko, na cieplejsze spojrzenie, mogące służyć jako zadatek ich miłości. Tłómaczyła to tym jednak, że może go onieśmiela to właśnie, że wie wszystko o jego stosunku z Tamarą. Wogóle unikał na ten temat wszelkiej rozmowy, najlżejszego nawet wspomnienia.

Wreszcie któregoś dnia nie wytrzymała. Postanowiła uczynić próbę. Zresztą wiadomość posłyszana przed kilku godzinami od rodziców nie dawała jej spokoju.

Znajdowali się we dwójkę w biurze.

— Wie pan? — rzekła nagle — Kuzunow wraz z żoną powrócili do Warszawy.

— Co? — mało nie krzyknął, lecz pohamował się i możliwie obojętnym tonem zapytał:

— Kiedy?

— Wczoraj wieczorem. Mongajłło powiedział to ojcu, gdyż Kuzunow zawiadomił go o swoim powrocie. Zamieszkał wraz z panią Tamarą w swoim dawnym apartamencie przy Alei Róż.

W Jerzym drżało wszystko. Zdobywał najpotrzebniejsze informacje. W dalszym ciągu nic nie dał znać po sobie.

— Ach, tak! — mruknął.

— Cóż? — zapytała ucieszona jego pozorną obojętnością. — Nie sprawia to na panu wrażenia?

— Najmniejszego! — udawał, że przegląda z zajęciem

buchalteryjną książkę.

— Brawo! — wykrzyknęła. — Więc jest pan wyleczony! A ja wahałam się, czy mam to powtórzyć panu.

— Niesłusznie! — wzruszył ramionami. — Cóż mnie obecnie może obchodzić pani Tamara i pan Kuzunow. Ci ludzie dla mnie umarli...

Radosny uśmiech opromienił twarzyczkę Stelli i przestała mówić o Tamarze.

Tylko później ździwiła się nieco. Mianowicie, gdy skończyły się biurowe zajęcia i już miał udać się do domu, zaproponowała mu zwykłą wieczorną przechadzkę. Na to otrzymała nieoczekiwaną odpowiedź:

— Musi pani mi wybaczyć! — rzekł — ale czuję się dziś fatalnie i nie pójdę na spacer.

— Co za nagła niedyspozycja? — niezadowolenie odbiło się w jej głosie.

— Mam migrenę...

— Tak raptem?

— Nie, dokucza mi od rana!

— Czyżby ją wywołała wiadomość o przyjeździe pani Tamary? — rzuciła złośliwie.

Odwrócił głowę, aby ukryć czerwień, zalewającą jego policzki.

— Och! — zdobył się na drwiący ton. — Jest pani niepoprawna! Wciąż powraca do tego samego tematu.

— Przepraszam! — wymówiła wesoło, wyciągając rączkę na pożegnanie. — Więcej dokuczać nie będę. Daję panu dziś urlop. Niechże pan idzie leczyć swoją migrenę.

Wymówiła to napozór spokojnie, kiedy jednak opuścił

biuro i pozostała sama, troska narysowała się na jej czole.

— Czyżby tylko udawał? — szepnęła. — A ta przeklęta miłość trawi go jeszcze?

Marlicz, kiedy powrócił do domu, nie zjadł nawet obiadu, który mu gospodyni postawiła na stole i długo chodził niespokojnie po pokoju.

Wreszcie przystanął przed portretem Tamary i patrzył na niego uporczywie. Później otworzył szufladę biurka. Znajdował się tam browning, kupiony przed kilku tygodniami. Wtedy, gdy przeczytał pierwszą wzmiankę o powrocie Tamary.

— Dziś! — szepnął i dziko błysnęły mu oczy. — Po cóż dłużej zwlekać?

Wyszedł o północy z domu. Noc była ciemna i mżył drobny deszcz. Skierował się w stronę Alei Róż, ściskając browning w kieszeni.

Wiedział doskonale, gdzie znajduje się mieszkanie Kuzunowa i nie raz tam go odwiedzał. Mieściło się ono na parterze jednej z kamienic oddzielonej od ulicy ogródkiem i o ile przesadziło się niskie sztachety, okalające ten ogródek, łatwo można było dostać się do wewnątrz, lub zobaczyć przez okno, co działo się w środku mieszkania.

Wszystko sprzyjało zamiarom Marlicza. Kiedy znalazł się w Alei Róż, zdala spostrzegł że jedno z okien apartamentu Kuzunowa jest oświetlone.

Więc tam ich odnajdzie! Uważnie rozejrzał się dokoła. Nigdzie, nie widać przechodniów. Wydało mu się tylko, że w głębi uliczki miga jakiś niewyraźny cień. Lecz nie... Pomylił się...

Na palcach, niczym złoczyńca podkradł się do ogródka i przesadził sztachety. Trawa stłumiła odgłos kroków. Prześlizgnął się do oświetlonego okna i wspiął się na mur. Okno było lekko uchylone, a dzięki niedomkniętej sztorze mógł nietylko widzieć ale i słyszeć wszystko.

W luksusowo urządzonym salonie znajdowali się mężczyzna i kobieta. Ci, których spodziewał się ujrzeć. Tamara i Kuzunow. Widocznie zamierzali udać się na spoczynek, bo Tamara miała na sobie lekki szlafrok, a Kuzunow był ubrany w piżamę.

Z całej siły, do krwi zagryzł wargi, aby nie krzyknąć głośno.

Sam nie myślał, że takie wrażenie wywrze na nim widok Tamary.

Przez te kilka miesięcy nie zmieniła się prawie. Przeciwnie jeszcze wypiękniała. Wszak wolna była teraz od trosk i obaw o przyszłość, a na jej twarzy rysowało się zadowolenie. Również Kuzunow miał rozpromienioną minę, a całe jego zachowanie się świadczyło, iż mimo poważnego wieku, pragnął udawać przy swej żonie zakochanego młodzieńca.

Siedział obok niej na kanapie, objąwszy ją ramieniem i raz po raz jego usta zbliżały się do jej policzka:

— Najdroższa!.. — dobiegał Marlicza jego przyciszony namiętny szept.

Marlicz czuł że gotuje się w nim krew. Wyjął browning z kieszeni i odsunął bezpiecznik. Nie długo będzie pieścił ten wstrętny starzec tę, która tyle razy spoczywała w jego ramionach. Wystarczy trochę więcej uchylić okno, a

następnie wycelować przez szparę w sztorze...

Lecz jeszcze nie podnosił broni. Słuchał.

— Najdroższa! — powtórzył bankier. — Naprawdę mnie kochasz?

— Możesz w to wątpić? — odparła z najczarowniejszym ze swoich uśmiechów.

— Podła! — mało nie ryknął Marlicz głośno.

Tymczasem Kuzunow przycisnął ją do siebie.

— Całkowicie zapomniałaś o nim? Bo z tamtymi łączyły cię interesy tylko. O nich nie jestem zazdrosny.

— O kim mówisz, — skrzywiła się wzgardliwie. — O Marliczu?

Skinął głową.

— O tym durniu! — syknęła ironicznie. — Też masz o kim wspominać!

— Przecież uciekłaś z nim zagranicę!

— Gdyż zerwałeś ze mną i nie miałam innego wyboru. Zresztą chciałam cię podrażnić. Ale masz najlepszy dowód, że porzuciłam go na pierwsze twoje skinienie...

— Maro złota...

— Proszę cię bardzo, żebyś nigdy nie wymieniał jego nazwiska. Działa mi to na nerwy. Marlicz, to głupi smarkacz, pajac bez charakteru, a nie mężczyzna. Po stokroć wolę ciebie. Wstydzę się wprost, iż choć przez krótki czas musiałam udawać żonę tego błazna.

Słowa te tak szczerze wyrwały się Tamarze i tyle w nich zadźwięczało pogardy do osoby niedawnego kochanka, że Kuzunow nie mógł wątpić.

— Skarbie mój! — zawołał radośnie. — Nigdy już nie

będzie między nami wzmianki o Marliczu. Uspokoiłaś mnie całkowicie i nie mogłaś mi sprawić większej radości...

— Ach, tak! — leniwie przeciągnęła się Tamara. — Istotnie sprawiam ci tę radość tanim kosztem. Ale, dość o tym głupcu! Czy nie uważasz, że czas udać się na spoczynek...

Kuzunow porwał się z miejsca.

Od dłuższej chwili przed oczami Marlicza wirowały jakieś krwawe plamy. Wyśmiewała się z niego, gardziła nim i teraz była bezwzględnie szczera. Jeśli jeszcze łudził się, że jej poprzednim postępowaniem powodowały inne, ukryte względy i mimo wszystko żywiła dla niego odrobinę uczucia, teraz rozbite zostały ostatecznie te złudzenia.

— Pokaże ci ten pajac bez charakteru! — syknął. — Nikt cię nie będzie pieścił więcej i nie będziesz okłamywała nikogo więcej!

Nie wahał się dłużej. Bez szmeru uchylił okno i już miał wsunąć browning w ten otwór, gdy wtem ktoś pochwycił go za rękę.

— Nie popełni pan morderstwa! — posłyszał szept.

Drgnął, przestraszony. Początkowo sądził, że to spostrzegł go stróż nocny lub spóźniony przechodzień. Ale nie! Przed nim stała kobieta. Rozpoznał ją, wśród mroku.

Tą kobietą była Stella.

— Tak! — mówiła dalej cicho. — Przyznaję się, śledziłam pana bo już w biurze wydało mi się nienaturalne pańskie zachowanie. Na szczęście zdążyłam na czas, żeby przeszkodzić zbrodni.

— Proszę mnie pozostawić! — daremnie usiłował

uwolnić rękę trzymającą browning.

— Nie!

— Wtrąca się pani do nieswoich rzeczy.

— Wiem, co robię.

Niewiadomo jak skończyłaby się ta cała scena, i czy Marlicz wyrwawszy swoją rękę nie spełniłby swoich poprzednich zamiarów gdyby wtem z wewnątrz pokoju nie rozległ się głos Kuzunowa.

— Cóż to za szepty pod oknem. Czyżby ktoś zakradał się do nas!

— Uciekajmy! — mocno szarpnęła Marlicza.

Pod wpływem jej energicznego ruchu, zeskoczył z muru i wślad za nią przesadził spowrotem sztachety. Dopiero gdy znaleźli się na ulicy, ukryci w mroku przed wzrokiem Kuzunowa, który w międzyczasie znalazł się przy oknie, zapytał z gniewem:

— Czemu mi pani przeszkodziła?

— Podziękuje mi pan, skoro ochłonie.

— Czyżby? — syknął z ironią, wciąż trzymając browning w ręku. — Więc powiem pani szczerze... Nie mam celu w życiu... Jeśli pani ją ocaliła, to ja skończę ze sobą...

Podniósł broń do czoła.

— Panie Jerzy! — wykrzyknęła prawie z płaczem. — Co pan robi? Jurku...

Uczepiła się jego ręki i poczęła się z nim szarpać, usiłując mu wyrwać broń z ręki.

— Bum! — wtem huknął wystrzał.

— Ach! — jęknęła cicho i usunęła się na chodnik.

To browning sam wypalił w czasie szarpaniny, trafiając nieszczęsną Stellę prosto w piersi.

Teraz dopiero oprzytomniał.

— Co uczyniłem?! — zawołał z rozpaczą, nachylając się nad leżącą, dokoła której poczęła się tworzyć kałuża krwi.

Tymczasem, dokoła rozległy się niespokojne głosy. Skądciś biegli przechodnie na miejsce wypadku, a w oknie obok Kuzunowa, ukazała się Tamara.

— Ktoś strzelał? Kogoś zabił? — wymówiła, nie mogąc dobrze rozróżnić sylwetki Marlicza w mroku.

— Przeklęta! — ryknął, patrząc z nienawiścią w jej kierunku i w tejże chwili poczuł, że raz na zawsze zagasło w nim wszystko. — To jeszcze jedna twoja ofiara! Czyż nie lepiej było, żebyś ty, zamiast niej poniosła śmierć?

— — — — — — — — — — — — — — —

Ale, Stella, na szczęście nie umarła i rana okazała się niezbyt głęboka. Sama historia nie nabrała rozgłosu, dzięki staraniom jej ojca, Jedlickiego — no i Kuzunowa. Oficjalne tłumaczenie brzmiało, że powracając z przechadzki Aleją Róż, poczęli oglądać browning i strzał nastąpił przypadkowo. Jakie znaczenie posiadał wykrzyknik Marlicza, tego nie zrozumiał żaden z podnieconych świadków tragicznego wypadku.

Tylko Tamara i Kuzunow domyślili się o co chodzi. Dlatego też, nazajutrz bankier błagał Mongajłłę, aby ten coś wymyślił, aby na przyszłość zabezpieczyć się od podobnych „nocnych wizyt“ Marlicza, gdyż o swych

przypuszczeniach nie miał ochoty meldować policji w obawie skandalu.

— To będzie zbyteczne! — odparł na to krótko kresowiec.

— Jakto zbyteczne? — zdziwił się bankier.

— Marlicz napewno, nie napadnie na ciebie więcej, kotusik! Ani na panią Tamarę.. Możecie, nawet otrzeć się o niego na ulicy...

Kuzunow nic nie zrozumiał, ale Mongajłło wiedział, co mówił.

Krew Stelli wymazała całkowicie z serca Jerzego wspomnienie Tamary.

Stellę, która znajdowała się w lecznicy odwiedzał codziennie i przy jej łożu spędzał długie godziny. Sam sobie się dziwił, że mógł ją nawet porównywać z Tamarą. Czuł, że w jego duszy budzi się coś czystego, pięknego, wspaniałego i że odradza się całkowicie. Że ogarnia go potężnym płomieniem uczucie dla Stelli, oparte nie na zmysłach, a na tym co człowiek ma w sercu najszlachetniejszego.

A gdy wspominał, że cierpiała przez niego, palący wstyd, złączony z bólem aż ściskał go za gardło.

— Najdroższa! — szeptał, nachylając się nad łóżkiem. — Poświęciłaś się dla mnie i cierpisz przeze mnie!

Wtedy, na jej wargach pojawił się uśmiech, pełen szczęścia.

— Głupstwo! — szeptała. — Niezadługo powrócę do zdrowia! Ale, najważniejsze, żeś ty zupełnie wyleczony!

KONIEC

1. ↑ Błąd w druku; przypuszczalnie mogłoby być: *spojrzał na Marlicza*.
2. ↑ Numeracja niespójna z pozostałymi rozdziałami.
3. ↑ Tekst druku nieczytelny.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Stanisław Antoni Wotowski.*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: Kobieta, która niesie śmierć. Powieść - całość

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 4.0[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Seboloidus
- Maire
- Alenutka
- Rocket000
- ChrisiPK
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR
- Rei-artur
- Zanimum

---

1. ↑ https://pl.wikisource.org
2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/

3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki
4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium